WITOLD GADOWSKI W ROZMOWIE Z „DO RZECZY":

Polska jest największym przegranym tej wojny

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 43/652 20–26 PAŹDZIERNIKA 2025
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Wielomski: Jak Niemcy forsują budowę europejskiego imperium

INNE CZASY, INNE OBYCZAJE – JOANNA BOJAŃCZYK O NIEDOSTATKACH SAVOIR-VIVRE'U

Chrześcijaństwo przegrywa z islamem

DLACZEGO UKRAIŃCY BRONIĄ BANDERYZMU?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

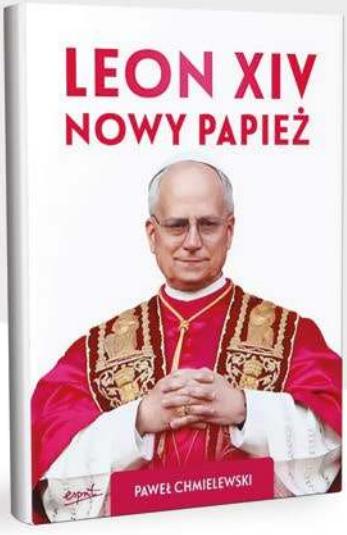

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

PAWEŁ CHMIELEWSKI: „LEON XIV. NOWY PAPIEŻ"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~788~~ ZŁ

293,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 495 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 43498c26b4

W RZECZY SAMEJ

Nasza cywilizacja zachodnia

PAWEŁ LISICKI

Najbardziej zaskakującą rzeczą bywa czasem cisza. I tak właśnie jest teraz, kiedy to za sprawą obecnego ministra sprawiedliwości, Waldemara Żurka, następuje obalenie polskiego porządku prawnego. Głosy protestu są nieliczne. Ci, którzy przez lata domagali się praworządności, zamilkli. Na wszelki wypadek czekają, co z tego wyjdzie. A wyjdzie z tego, łatwo zauważyć, katastrofa.

Bo jak inaczej nazwać sytuację, w której minister nie tylko publicznie sugeruje, że prezesami sądów mogą być tylko jego zaufani ludzie (tak powiedział!), ale i jednym pociągnięciem pióra przekreśla działający w Polsce od czasów ministra Zbigniewa Ziobry system losowania sędziów? Przypomnę, że zgodnie z obecnie obowiązującą ustawą skład sędziowski w trybie odwoławczym ustalany jest w drodze losowania. Powód wprowadzenia tej zmiany był prosty: chodziło o to, by obywatel miał pewność sprawiedliwego, to jest bezstronnego osądzenia sprawy. Chodziło o to, by urzędnik państwowy reprezentujący władzę wykonawczą, a więc właśnie minister, nie mógł swobodnie desygnować sędziów do rozpatrywania niewygodnej dla siebie sprawy. Czy to dlatego, że mogło to uderzać w jego własne (lub jego partii) interesy, czy też dlatego, żeby nie mógł przy pomocy sędziów zwalczać swoich przeciwników politycznych. Sprawiedliwość oznacza bezstronność. Nie można wierzyć w sprawiedliwy proces w żadnej sprawie ocierającej się o politykę, jeśli wyroki wydają ludzie, którzy są zaufanymi ministra. Ba, nawet i w zwykłych sporach trudno o zaufanie, skoro wiedząc, kto ma władzę, można próbować u niego załatwić właściwe rozstrzygnięcie. Co ciekawe, o tę reformę, a więc o wprowadzenie systemu losowania, starało się przez lata wiele organizacji pozarządowych. Gdzie jest teraz ich głos protestu?

Jednak minister nie tylko zmienił system sprawiedliwy na dowolny i arbitralny, ale jeszcze zrobił to z pogwałceniem wszelkich możliwych reguł prawa. Mimo że ustawa jest aktem prawa wyższego rzędu niż rozporządzenie, które musi się do niej stosować, minister zniósł system losowania za pośrednictwem rozporządzenia. I, co absolutnie kuriozalne, powołał się przy tym na „rozproszoną kontrolę konstytucyjności" – absurd tego posunięcia zauważyła nawet Gazeta.pl, publikując skądinąd ciekawy wywiad z Bartoszem Pilitowskim, szefem fundacji monitorującej polskie sądy Court Watch Poland.

Doprawdy, pomysł, żeby to przedstawiciel władzy wykonawczej, a więc rządzącej w danym momencie partii, sam decydował po uważaniu, jak należy interpretować konstytucję, przechodząc do porządku dziennego nad ustawami, jest w ścisłym tego słowa znaczeniu orwellowski. W ten sposób praktycznie każdy minister może sobie na ustawy bimbać. Wystarczy, że powoła się na konstytucję i ogłosi, że to, co robi, nie jest z nią sprzeczne, tylko stanowi formę jej kontroli.

Nie mniej szokujące są praktyczne decyzje podejmowane przez ministra, a więc samowolne odwołania w trakcie kadencji 46 prezesów i wiceprezesów sądów. Mimo że zakazuje tego ustawa, mimo że decyzje ministra zostały zgodnie odrzucone przez kolegia sędziów, pan Żurek prawem kaduka próbuje powołać w te miejsca, wciąż obsadzone, swoich nominatów. Co ciekawe, a co też zauważa Bartosz Pilitowski, „ci ludzie [46 prezesów i wiceprezesów] byli często obrażani, przypisywano im bezpodstawnie jakieś straszne rzeczy, powiązania z poprzednią władzą. Część z nich nie była nawet tzw. neosędziami, czyli nie awansowali w czasach Ziobry".

Skądinąd zabawne, że ekspert Gazety.pl musi przyznać, że nawet najgorszy wróg, którym był w jego oczach minister Zbigniew Ziobro, „robił to [zmieniał prawo] ustawami. Był formalistą". Szkoda, że nie powiedział jasno jeszcze jednego: nie zgadzałem się ze zmianami ministra Ziobry, ale ponieważ wprowadzono je na drodze legalnej, stanowią obowiązujące w Polsce prawo. Ale przynajmniej jedno jest oczywiste i nawet co bardziej trzeźwi przeciwnicy PiS, jak pan Pilitowski, to dostrzegają: „Innowacja Żurka z punktu widzenia obywatela jest groźniejsza niż innowacje Ziobry".

Dlaczego? Dlatego że minister Żurek usiłuje wprowadzić ręczne sterowanie sędziami. Dlatego że tworzy układ wprost przeniesiony z systemów totalitarnych, nawet nie autorytarnych, w których to tak służby specjalne, jak organy ścigania, prokuratura i sędzia znajdują się w ręku władzy politycznej, rządzącej. Tak, jeśli zamiary ministra Żurka się powiodą, to polski obywatel w roku 2025 będzie znajdował się w gorszej sytuacji prawnej, co się tyczy szansy na bezstronny wyrok, niż poddany carskiej Rosji po reformach Aleksandra II lub II Rzeszy Bismarcka! Minister Żurek tworzy system domknięty i z natury rzeczy niepozwalający obywatelowi na obronę i dochodzenie swoich praw.

A wszystko to dokonuje się za cichą zgodą Unii Europejskiej, w państwie, które twierdzi, że stoi na straży cywilizacji zachodniej (ulubiony zwrot polskich polityków). Naprawdę, koń by się uśmiał. ©℗

eprasa.pl 43498c26b4

TEMAT TYGODNIA

14 ŁUKASZ WARZECHA
ZAMYKANIE OCZU NA NIEWYGODNĄ PRAWDĘ
Dlaczego Ukraińcy bronią banderyzmu?

KRAJ

18 PIOTR SEMKA
DIALOG BEZ POŚREDNIKÓW
Profesor Andrzej Nowak gościem AfD

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ŻUREK – LABORANT POSTDEMOKRACJI

22 ROZMOWA Z WITOLDEM GADOWSKIM
PIS JUŻ NIGDY NIE POWINIEN RZĄDZIĆ SAMODZIELNIE

26 KAJA GODEK
SKAZANA ZA OSTRZEGANIE PRZED ABORTEREM

30 ROZMOWA Z DARIUSZEM CUPIAŁEM
OJCOSTWO JEST SPRAWĄ PUBLICZNĄ

32 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
DZIECKO WCIĄGNIĘTE W POLITYCZNE GIERKI

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK
TEN WIELKI GATSBY
Nowe interpretacje tajemniczego dzieła

36 KRZYSZTOF MASŁOŃ
NOWACKA NA PLACU BRONI

37 GRZEGORZ KONDRASIUK
„RĘKOPIS ZNALEZIONY W SARAGOSSIE" DLA OPORNYCH

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

42 ADAM WIELOMSKI
W DRODZE KU IMPERIUM EUROPEJSKIEMU
Czy Europa chce wojny?

45 KRYSTIAN KRATIUK
CHRZEŚCIJAŃSTWO PRZEGRYWA Z ISLAMEM

48 PAWEŁ CHMIELEWSKI
ŚWIATŁO NA CZAS CHAOSU

50 FILIP MEMCHES
KTO POLSCE SZYKUJE KATASTROFĘ DEMOGRAFICZNĄ?

52 MARIUSZ DZIERŻAWSKI
TRUTKA W SZKOLE

HISTORIA

54 ROZMOWA Z TOMASZEM KROKIEM
W SIECI ZDRADY
Afera teozofów

ŚWIAT

58 MACIEJ PIECZYŃSKI
REALISTA SKANDALISTA
Arestowycz versus Ukraińcy

62 ROBERT BOGDAŃSKI
POKOCHAĆ BOMBĘ? KOREA PÓŁNOCNA – „PRZYBOCZNY" CHIN

EKONOMIA

66 JACEK PRZYBYLSKI
BOGATY JAK POLAK
Polska w gospodarczej ekstraklasie

70 PIOTR WŁOCZYK
METALICZNY UŚCISK SMOKA

72 ROZMOWA Z WOJCIECHEM IWANIUKIEM
KTO NIE RYZYKUJE, TEN NIE PIJE SZAMPANA

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK
INNE CZASY, INNE OBYCZAJE
Chamstwo „klasy wyższej"

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (57), PRZYBYLSKI (64), GABRYEL, WARZECHA (69), KOMUDA (76), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 43498c26b4

SPÓŁKA AKCYJNA DO RZECZY

Zainwestuj w akcje Do Rzeczy S.A

Twoje media. Wspólna sprawa.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy,

Jesteśmy Wam ogromnie wdzięczni za wsparcie rozwoju naszego tygodnika – zarówno poprzez codzienny kontakt z „Do Rzeczy", jak i zaangażowanie w przygotowania do naszego debiutu na alternatywnym rynku Giełdy Papierów Wartościowych – NewConnect. Wasze ogromne zainteresowanie pierwszą publiczną emisją akcji Do Rzeczy S.A. utwierdziło nas w przekonaniu, że wspólnie bronimy zdrowego rozsądku, wolności słowa, przedsiębiorczości, polskiej tożsamości kulturowej oraz interesu narodowego.

Choć pierwsza emisja spotkała się z dużym odzewem, nie udało się osiągnąć pełnego zakładanego budżetu, co zmusiło nas do rozważenia ograniczonego planu rozwoju. Wraz z Zarządem uznaliśmy jednak, że postawiliśmy sobie ambitne cele, które za wszelką cenę zamierzamy zrealizować.
Dlatego postanowiliśmy dać Wam kolejną szansę na zostanie częścią Do Rzeczy.

Właśnie rozpoczęła się druga publiczna oferta akcji Do Rzeczy S.A., w której każdy z Państwa może wziąć udział jako inwestor indywidualny. Szczegóły dostępne są na stronie: www.dorzeczy.pl/gielda

Paweł Lisicki
REDAKTOR NACZELNY
TYGODNIKA „DO RZECZY"

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom Maklerski INC S.A.

eprasa.pl 43498c26b4

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Na kłopoty prezydent?

Trwające od momentu wyborów prezydenckich animozje między Prawem i Sprawiedliwością a Konfederacją zamieniają się z ostrej rywalizacji w daleko posuniętą wrogość. Konfederaci uskarżają się, że Jarosław Kaczyński chce im narzucić, iż są skazani na sojusz z PiS po wyborach w 2027 r. Z kolei PiS cały czas podejrzewa, że Sławomir Mentzen może dać się przekupić Platformie Obywatelskiej i porzuci hasło radykalnych zmian.

O tym, jak złe są relacje pomiędzy obiema partiami opozycyjnymi, świadczą obrazki z antyimigracyjnego wiecu PiS na placu Zamkowym z 11 października br. Konfederacja uznała za stosowne wysłać na miejsce tego zgromadzenia własną grupę z transparentem: „Rząd PiS wydał 366 tysięcy wiz dla imigrantów z Afryki i Azji". A Sławomir Mentzen na platformie X zwrócił się do kierownictwa PiS słowami: „Za każdym razem, gdy będziecie manifestować przeciwko imigracji, będziemy tam, żeby przypomnieć, że nikt nie sprowadził do Polski tylu migrantów co wy".

No cóż. Tak pisze się manifesty wypowiadające wojnę totalną. Tymczasem ostatni sondaż United Surveys wskazuje na to, że wszystkie partie obecnej koalicji rządowej nie mogłyby razem liczyć na sejmową większość, dysponując jedynie 201 mandatami. Za to ewentualna koalicja PiS i Konfederacji miałaby szansę na solidną większość – 238 mandatów. Tak więc teoretycznie alternatywa dla ekipy Donalda Tuska jest. Tyle że dwaj główni aktorzy tej potencjalnej koalicji są w ostrym konflikcie.

Jeśli tak, to wielu wyborców prawicy z nadzieją przyjęło spotkanie prezydenta Karola Nawrockiego ze Sławomirem Mentzenem w poniedziałek 13 października. Wiadomo, że głowa państwa rozmawiała o szansach na prawicowy pakt senacki między PiS a Konfederacją. Po spotkaniu Mentzen tłumaczył, że stara się nie eskalować konfliktu z PiS „ponad miarę". Wyraził nadzieję, że być może prezydent za jakiś czas weźmie na siebie jakąś odpowiedzialność za zawarcie paktu. „Widać, że [prezydent] wolałby, żeby atmosfera po prawej stronie sceny politycznej była troszeczkę sympatyczniejsza".

Czy Karol Nawrocki zdecyduje się na podjęcie roli patrona rozmów o pakcie senackim prawicy? Szef Kancelarii Prezydenta, Zbigniew Bogucki, przypomina, że Nawrocki „jest, był i [...] pozostanie patronem środowisk konserwatywnych, prawicowych".

Jednak taka rola wciąga prezydenta do bieżącej gry politycznej. Dotąd gospodarze Belwederu unikali takich wyzwań. Jednocześnie Karol Nawrocki nie kryje, że chciałby zmian w konstytucji, a do nich może dojść tylko w wypadku stworzenia prawicowej większości w Sejmie i Senacie. Tyle że prezydent nie może ciągle godzić dwóch głównych sił polskiej sceny politycznej. Jeśli PiS i Konfederacja nie będą same z siebie w stanie stworzyć jakiegoś modus vivendi, to wygranym tego stanu rzeczy będzie Platforma Obywatelska. Wówczas nie będzie istotne, jak bardzo Tusk rozczarowuje Polaków. Jeśli dwie główne partie prawicy utkną w ślepym zaułku wzajemnej niechęci, to PO przetrwa. ©℗

TRUMP Z PUTINEM... W BUDAPESZCIE

Amerykański prezydent oznajmił w czwartek, że poczynił ogromne postępy podczas rozmowy telefonicznej z Władimirem Putinem. Donald Trump ogłosił również, że w najbliższych tygodniach kolejny raz spotka się z prezydentem Rosji, aby „położyć kres tej haniebnej wojnie między Rosją a Ukrainą". W piątek – już po zamknięciu tego numeru „Do Rzeczy" – Trump miał spotkać się w Waszyngtonie z prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim. Rozmowę z Putinem miał zaś odbyć premier Węgier Viktor Orbán. ***(jap)*** ©℗

ZŁOTA OFENSYWA POLSKI

Polska była największym nabywcą złota na świecie zarówno w roku 2024, jak i w pierwszej połowie obecnego roku, wyprzedzając nawet Chiny oraz Indie – wynika z najnowszego raportu Światowej Rady Złota (World Gold Council). To wynik strategii NBP, który od 2018 r. systematycznie powiększa rezerwy królewskiego kruszcu. Narodowy Bank Polski ma już 522 tony złota, czyli więcej niż np. Europejski Bank Centralny. Polska ma też więcej kruszcu niż takie kraj jak Portugalia czy Wielka Brytania. ***(jap)*** ©℗

AKT OSKARŻENIA W SPRAWIE KAMIŃSKIEGO I WĄSIKA

Prokuratura Okręgowa w Warszawie 16 października skierowała do sądu akt oskarżenia przeciw europosłom PiS Mariuszowi Kamińskiemu i Maciejowi Wąsikowi. Według śledczych Kamiński i Wąsik nie zastosowali się do prawomocnego wyroku sądu o zakazie pełnienia funkcji publicznych, gdy w grudniu 2023 r. uczestniczyli w obradach Sejmu. ©℗

eprasa.pl 43498c26b4

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Yuriy Dyachyshyn/AFP/East News**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKA WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl;
tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

WARZĄD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Zakazu hodowli chcą ci, którzy nie kochają zwierząt

Niedawno w Sejmie odbyło się drugie czytanie ustawy zakazującej hodowli zwierząt na futra. Pomysłodawcy chcą zlikwidować jeden z rodzajów produkcji zwierzęcej, a rolnikom proponuje się żenująco niskie rekompensaty.

Dziwnym zbiegiem okoliczności produkcja ta jest i będzie prowadzona w innych krajach UE, takich jak: Finlandia, Grecja, Hiszpania czy Dania. Rozwija się mocno w Chinach, Rosji, na Ukrainie czy w Stanach Zjednoczonych i przynosi w tych krajach znaczące wpływy do budżetów krajowych. Ewentualny brak produkcji w Polsce to większa produkcja w innych krajach [...].

W Unii Europejskiej, w tym w Polsce, mamy najwyższe wymogi odnośnie do dobrostanu zwierząt, również zwierząt futerkowych. Wprowadzenie zakazu hodowli nie wpłynie na zmniejszenie popytu na futra w Polsce czy na świecie. Spowoduje przesunięcie produkcji do innych krajów, najczęściej poza wspólnotę, gdzie dobrostan jest na o wiele niższym poziomie lub nawet nie ma go wcale. Będzie to skutkowało hodowlą w o wiele gorszych warunkach, tylko nie będziemy tego widzieli. Takie zachowania można określić jako hipokryzję, a osoby walczące o zakaz hodowli zwierząt futerkowych w Polsce jako osoby niekochające zwierząt, ponieważ skazują ich część na życie w gorszych warunkach niż obecnie.

Rolnicy mają świadomość tego, że dziś chcą zakazać hodowli zwierząt futerkowych, a jak im się to uda, to będą walczyć o zakaz hodowli drobiu, świń czy bydła. Taka jest ideologia ekokomunistów, dlatego nie ma zgody na żadne zakazy.

Marcin Wroński,
Związek Zawodowy Rolnictwa „Samoobrona"

eprasa.pl 43498c26b4

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Nowa droga

Jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, to w sobotę zawinął do portu w Gdańsku chiński (pod banderą Singapuru) statek „Istanbul Bridge", załadowany kontenerami z eksportem z Państwa Środka.

Nie jest ważne, z czym przypłynął – ale którędy. Otóż to pierwszy wielki transport chińskich kontenerów, skierowany do Europy nową trasą, wzdłuż północnych wybrzeży Rosji. Trasą o jedną trzecią krótszą niż najczęściej dziś używana – przez Ocean Indyjski i Kanał Sueski. W dodatku wolną od różnego rodzaju piratów i rebeliantów, od których roi się Morze Czerwone, i w większości kontrolowaną przez Rosję, która z kolei już teraz w większości kontrolowana jest przez Chiny, i zależność ta może w najbliższych latach tylko rosnąć.

Krótszy i bezpieczniejszy szlak żeglowny, to kolejna przewaga, którą dopisać trzeba do i tak już długiej listy chińskich atutów. Fakt, „północy jedwabny szlak", jak go już nazwano, ma pewną wadę: wymaga stałego używania lodołamaczy. Ale, po pierwsze, tym się zajmie na swój koszt wspomniany już rosyjski wasal, a po drugie, z każdym rokiem lodu jest mniej. Odkąd bowiem zaczęto to mierzyć – w drugiej połowie XIX w. – czapy lodowe bieguna północnego topnieją, rok w rok, w niezmiennym tempie. Owo niezmienne tempo, nawiasem mówiąc, jest mocnym argumentem przeciwko histerii, jakoby przyczyną zmian klimatu była emisja CO_2 i innych poczciwych gazów, ale histerykom to nie przeszkadza.

Chin zmiany klimatyczne nie wprawiają w histerię – Chiny je wykorzystują dla zbudowania i ugruntowania swej potęgi, zresztą na wiele sposobów. Podobnie jak wykorzystały do tego pojawienie się wirusa COVID-19. Państwo chińskie wykazuje niezwykłą umiejętność wyciągania korzyści z każdego zdarzającego się kryzysu, nawet jeśli, jak wspomniany wirus, dotyka on bezpośrednio Chin. Pod tym względem jest przeciwieństwem coraz bardziej oderwanej od rzeczywistości cywilizacji Zachodu, zarządzanej przez zideologizowane, lewicowe elity, skupione wyłącznie na przedłużaniu swego trwania u władzy. Słabo nam to wróży… ©℗

MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Suplement inauguracyjny

W przemówieniu inauguracyjnym prezydenta Nawrockiego padły słowa niezwykłe, bo rzadko słyszane: jesteśmy Polakami, więc mamy obowiązki polskie. To nowy ton: politycy lubią Polakom mówić o prawach, obowiązki to tabu. Wobec dobra wspólnego zakłada się raczej, że Ojczyzna to wielka zbiorowa należność.

Szkoda jednak, że prezydenckie przypomnienie powszechności narodowych obowiązków nie zostało skonkretyzowane w odniesieniu do najważniejszej kwestii, która bezpośrednio zależy właśnie – od wszystkich. Jeśli bowiem nadal maleć będzie liczba rodzin i dzieci, jeśli nie przełamiemy kryzysu demograficznego – to nie pomogą żadne antyimigracyjne zaklęcia. Wymiana ludności stanie się nieuchronna, a jej praktyczna konieczność zmiecie każdy rząd, który będzie się temu zbyt mocno opierał. Chyba że będzie umiejętnie udawał opór, wtedy – oszukując rzeczywistość – może przetrwa.

Wybór jest więc prosty, należy do każdej rodziny: Polska będzie trwać albo będzie zanikać. Przywódcy polityczni powinni społeczeństwu to uświadomić, a także odważnie stanąć po stronie rodzin chcących mieć więcej dzieci, choć dziś stanowią społeczną (i wyborczą) mniejszość. Ta mniejszość jednak to po prostu najlepszy sort Polaków!

Paradoks naszych czasów polega na tym, że reakcja na kompromitację liberalizmu przybrała charakter populistyczny: dokonuje się w imię praw, nie obowiązków. Jest to więc tylko (i aż) koniunktura. Wykorzystanie jej dla dobra wspólnego narodu to zadanie dla nowej generacji polityków. W każdym razie czasu do stracenia już nie ma, pora na reakcję.

Wszystko zresztą ma swoją porę. Cykl moich komentarzy, w których przez pięć lat dzieliłem się tu opiniami na temat problemów i wydarzeń, pomału dobiega końca. Zresztą wydarzenia zmieniają się ciągle, problemy rzadziej, a kryteria zawsze pozostają niezmienne. ©℗

eprasa.pl 43498c26b4

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIECZEŃ RZYMSKA

Wierzenia postępowych Włochów

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

Pokojowy deal Trumpa kompletnie zbił włoskich progresistów z pantałyku. Co więcej, amerykański prezydent przy otwartej kurtynie przedstawienia w Szarm el-Szejk komplementował pogardzaną przez postępowców premier Giorgię Meloni. Nawet powiedział, że jest piękną kobietą, co musiało załamać prowadzących przeciw niej we włoskich postępowych mediach i w sieci dość obrzydliwą kampanię „bodyshamingu" (że mała, gruba i źle się ubiera).

A wszystko szło tak świetnie... Udało się przekonać sporą część ludu, który w akcie solidarności z Palestyńczykami tłumnie wyległ na ulice, że włoski rząd jest współwinien ludobójstwa w Gazie, bo nie zerwał współpracy z Izraelem. Udało się też zorganizować kilka strajków generalnych i imponujących wieców, na których palono portrety i kukły Meloni oraz Netanjahu.

I wszystko wzięło w łeb: mamy wreszcie zawieszenie broni między Hamasem a Izraelem. Co robią zszokowani postępowcy? Nadal demonstrują i okupują uniwersytety, a nawet licea. Po co? Nie bardzo wiadomo. Tak czy inaczej, w dniu podpisania porozumienia w Szarm el-Szejk, wieczorem, banda agresywnych młodych ludzi, w tym kobiety i dziewczęta, na propalestyńskiej manifestacji w Mediolanie kilka godzin biła się z policją. O wolną Palestynę.

A zdezorientowani propagandyści rozbiegli się po studiach telewizyjnych, gdzie opowiadają duby smalone. Tu drobny wtręt. Dawno temu w Londynie z angielskim kolegą oglądałem mecz Holandia – Anglia. Gdy Barnes huknął piękną bramkę z wolnego, Steve zamiast wiwatować, ukrył twarz w dłoniach i jęczał: „Czemu on?! Czemu on?!". Nie znosił Barnesa. Tak jak włoscy postępowcy nie znoszą Trumpa.

Gdy ich spytać, czy w Szarm el-Szejk Trump odniósł sukces, z całą powagą tłumaczą, że porozumienie osiągnięto przede wszystkim dzięki ogromnemu rozgłosowi towarzyszącemu przygodom Flotylli, która popłynęła do Gazy z pomocą humanitarną, a także, jakżeby inaczej, strajkom generalnym i masowym manifestacjom propalestyńskim w Italii oraz w całej Europie. Amen. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 43498c26b4

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

NAUKA KULTURY

Niektórym by się przydała. Nauka kultury, rzecz jasna. Influencer Mikołaj Bagiński ps. Bagi, członek internetowej grupy Dresscode, bierze udział w nowej edycji programu „Taniec z gwiazdami" w Polsacie. Wraz ze swoją taneczną partnerką „Bagi" odwiedził Kanał Zero Krzysztofa Stanowskiego. Najciekawsze wydarzyło się po nagraniu. Dwudziestoczterolatek spotkał w redakcji KZ dziennikarza Roberta Mazurka. Gdy

FOT. JERZY BONCZYK/FOTONOVA

chciał się z nim przywitać i wyciągnął dłoń, Mazurek postanowił dać mu lekcję. – Ja ci podaję rękę pierwszy, cześć – oznajmił Mazurek, czym wprawił Bagińskiego w niemałe osłupienie (influencerów się nie poucza, Szanowny Redaktor o tym nie wie?!). – Jak podejdziesz do prezydenta, to polecisz do niego z łapą pierwszy? – pytał Robert Mazurek. Bagiński odparł, że myślał, iż tak się robi. – Serio tak miałem, że odebrałbym to jako kulturalne – wskazał. – Tak samo jak ci kobieta podaje rękę. Nie podajesz kobiecie ręki pierwszy – kontynuował „lekcję" dziennikarz.

Cała ta scenka została pokazana na kanale na YouTube „Bagiego" i miała swoją kontynuację. Później 24-latek spotkał aktora Tomasza Karolaka, który również występuje w „Tańcu z gwiazdami". – Słuchaj, dzisiaj byłem w Kanale Zero i pan Mazurek, ja słucham wbijam do Kanału Zero i mówię: „Dzień dobry, Mikołaj, cześć", a on do mnie, że jestem młodszy i nie powinienem mu łapy podawać pierwszy – relacjonował influencer. Karolak, mówiąc językiem młodzieżowym, nieźle się „odpalił". – Niech on się w dupę pocałuje ku..a ten cwaniak, dobra – wypalił. – Co to ma być, daj spokój. Co to za ku..a zwracanie uwagi, co on ku..a kobietą. A weź – stwierdził oburzony aktor. Jak zaznaczyłam na początku, niektórym nauka kultury by się przydała.

EWA NIE PRZESTANIE ŚWIECIĆ

Trenerka fitness Ewa Chodakowska pokazała na Instagramie kolejną porcję zdjęć. Jak zawsze podkreśla nienaganną sylwetkę, a szczególnie wyćwiczone pośladki. Jak zwykle też „Choda" nie powstrzymała się przed rozważaniami niemal filozoficznymi. „Obiecuję, że przestanę epatować swoim home made – uczciwie wypracowanym – tyłkiem, jak tylko skończę 70 lat" – zaczęła wpis. „Nie wierz w to, co widzisz – mówi się dziś. Cóż, na żywo słyszę: »Myślałam, że jesteś wyższa« (168 cm wzrostu); »Jak pięknie wyglądasz, nie poznałam Cię« – i tu myślę, że lepiej w tę stronę. Wiem, że w necie można dziś wszystko! Ale! Mój tyłek nie jest efektem ani filtra, ani Photoshopa, ani skalpela chirurgicznego" – zapewniła. Ewa Chodakowska idzie dalej i porównuje pośladki z umysłem. „Mój tyłek mówi wiele o moim charakterze. Jest efektem lat pracy, dyscypliny i wyborów, których dokonuję codziennie. Ha! I jestem dumna z mojego tyłka, tak samo, jak z moich szarych komórek. Bo i jedno, i drugie trzeba było wypracować – systematycznie, bez skrótów, bez ściemy" – podkreśla fitinfluencerka. Czy kogoś zdziwi, gdy dodamy, że na koniec Chodakowska zachęciła obserwatorki do kupna jej cateringu? Nie? No szok!

WŁADCY UMYSŁÓW

Ekshibicjonizm intelektualny celebrytów nie ma granic. Podczas ostatniej serii pytań i odpowiedzi na Instagramie Zofia Zborowska odpowiedziała na pytanie o to, dlaczego jest osobą niewierzącą. Całą tę skomplikowaną kwestię wyjaśniła w charakterystyczny dla siebie sposób. „Bo mamy XXI wiek i (jak dla mnie) oczywiste jest, że każda religia (bez wyjątku) została stworzona po to, aby władać ludźmi. Dlatego np. wiele lat Biblii się nie tłumaczyło i czytało się ją w kościele po łacinie lub po grecku. Co oznaczało, że ogromna część ludzi nie miała pojęcia, czego słucha, ale brzmiało poważnie, mistycznie, tajemniczo" – stwierdziła. Jednocześnie zaznacza, że jest tolerancyjna. „Ale żeby była jasność: nie mam najmniejszego problemu, że ktoś wierzy w coś – serio, dla mnie ważne jest, żeby być dobrym człowiekiem i tyle. No i żeby fakt, że ktoś wierzy w Pana Boga, nie sprawiał, że ja również mam w niego wierzyć, bo nie jest to jedyna i absolutna prawda" – zastrzegła Zborowska. Uff, dobrze, że inni mogą.

BEZ ZAPROSZENIA

Rozstanie Marcina Hakiela i Katarzyny Cichopek nie należało do przyjemnych. Chociaż od dawna pozostają w nowych związkach, to co rusz wbijają sobie szpileczki. W wywiadzie dla „Faktu" tancerz wskazał, że obecnie dialog z byłą żoną odbywa się wyłącznie e-mailowo. „Słuchaj, my ze sobą w ogóle nie rozmawiamy. Wysyłamy sobie tylko maile, gdzie piszemy »dzień dobry« i »z poważaniem« na końcu. Albo »szanowna pani, szanowny panie«" – opowiada gorzko. W tej suchej korespondencji dochodzi do spięć. „Nie ma też zgody odnośnie różnych spraw związanych z wychowywaniem dzieci. Mieliśmy ostatnio właśnie na mailach taką przerzucankę. Dostałem maila od mojej byłej, że jakieś tam zachowanie jest niedopuszczalne – moje zachowanie. No i ja jej odpisałem na tego maila, ale też do jej prawnika, jakie zachowania są niedopuszczalne w pracy. I z kim! Nie dostałem odpowiedzi" – mówi Hakiel. Marcin nie dostał też zaproszenia na ślub Kasi, który ma mieć miejsce już wkrótce. „Oj nie, nie dostałem zaproszenia. Ale ma maila mojego!" – podsumował ze śmiechem. Może wpadł do spamu? ©℗

eprasa.pl 43498c26b4

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jeśli mieliście jakiekolwiek wątpliwości dotyczące tempa rozwoju tego kraju, iż możemy niedostatecznie szybko gonić Zachód – uspokajamy. Minister Domański ogłosił, iż w 2026 r. Polska będzie (według prognoz MFW) najszybciej rozwijającą się dużą gospodarką w Europie. A wiadomo – jak rząd coś ogłosił, to ogłosił.

No i fajnie, ale to jednak tylko gospodarka. A co, jeśli chodzi o pozostałe obszary życia codziennego? Co zrobimy z delegalizacją samochodów i ogłoszeniem całej Polski strefą bez transportu drogowego? Co z równouprawnieniem waginoosób i kiedy wreszcie będą mogły zakładać firmy? Co z rozdziałem Kościoła od państwa?

My serio rozumiemy, iż pis strasznie przeszkadza i trudno sprawować rządy w kraju, gdzie niekonstruktywna opozycja torpeduje wszystkie próby reform (to takie polskie ehhh) i gdzie oświecona część społeczeństwa musi żyć pod terrorem tej części gorzej wykształconej i warcholącej.

Jednak skupianie się wyłącznie na gospodarce to oddawanie pisowi pola w innych dziedzinach życia, na co nie możemy sobie pozwolić, jeśli poważnie myślimy o tym, iż moglibyśmy zostać poważnym europejskim graczem. Dlatego apelujemy do rządu – odsuńcie pis od władzy i róbcie swoje!!!

Kochani, na pewno śledzicie, jako ludzie uwrażliwieni na kulturę wysoką, tegoroczny Konkurs Chopinowski? Jak na każdego porządnego intelektualistę przystało? No cóż, my też nie xD. Jako iż mamy z tym konkursem oraz też osobą samego Chopina parę problemów.

No, może nie z samym Chopinem, ale jego percepcją w tym kraju. Of kors chodzi nam o to przywłaszczanie i zawłaszczanie jego postaci przez prawicowe środowiska w tym kraju, które spolszczają jego nazwisko do Szopen i usiłują go przedstawiać jako polskiego romantyka (jakby mało było tych wszystkich Sienkiewiczów i innych). Dlatego też nie podbierajmy Francuzom ich kompozytora i tej słynnej badaczki – madame Curie, to nie wypada.

Po drugie, naprawdę nie sądzimy, iż kultura wysoka musi być sprowadzana do tzw. konkursów, które bardziej kojarzą się z aktywnością fizyczną i rywalizacją sportową. Taki Nawrocki na przykład – na konkursy sportowe, a więc mecze, chodzi. Na konkurs gry na fortepianie nie poszedł – a więc nawet on rozumie, iż to tak naprawdę żaden konkurs, tylko granie muzyki. Stąd też nasz sprzeciw wobec przekładania języka używanego przy okazji fashystoffskich świąt poświęconych kultowi cielesnemu na sytuacje kulturotwórcze.

Po trzecie – my naprawdę doceniamy i of kors znamy muzykę poważną, wiemy np., kim był Mozart, ale nie rozumiemy, jak granie na fortepianie może być oceniane, skoro wszyscy uczestnicy grają tak samo xD. No naprawdę – przecież każdy ma ten sam instrument i te same nuty, no to czym się mają te występy od siebie różnić? To przecież jak z przepisem na kanapkę – z takich samych składników każdy zrobi to samo. A więc szanujemy i rozumiemy, jeśli ktoś ma zajawkę na Konkursy Chopinowskie, no ale jednak nie jest to dla nas. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Piątka na wino

Nie jest dobrze, Jarku. Nie rośnie nam.
Mariusz, ty mi nie mów tego, co ja sam widzę. Ty mi mów, co zrobić, żeby rosło.

Ja ci proponowałem różne rozwiązania, ale nic nie chcesz.
Co na przykład?

Do młodych miałeś przemówić i rap w tym celu nagrać...
Rap jest już niemodny, nie nadążasz.

Na hulajnodze miałeś się przejechać.
Na hulajnodze to ten darwinista Mentzen jeździł.

Cameo mogłeś nawet u Machulskiego w „Vinci 2" zagrać.
Tego menela, który podchodzi do Cumy i prosi o piątkę na wino? Kombinuj dalej. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Czy Karol Nawrocki jest groźniejszy dla państwa i demokracji niż Andrzej Duda?".

ALEKSANDRA PAWLICKA, *dziennikarka, w programie „Trójkąt polityczny" (TVP Info)*

eprasa.pl 43498c26b4

dwaj panowie g

No i dwa lata minęły jak z bata strzelił! A biorąc pod uwagę dokonania aktualnie rządzącej koalicji, to nawet jak strzelił z bykowca lub kota o dziewięciu ogonach. Zmieniają się karbowi, a batożenie Polski przez koalicję 13 grudnia trwa, ze szczególnym uwzględnieniem wymiaru sprawiedliwości. A właściwie nawet bez wymiaru. Po prostu: batożenie sprawiedliwości.

Zły Donald z Sopotu na dwulecie swego rządu spotkał się z mieszkańcami Piotrkowa Trybunalskiego i podsumował swe dokonania słowami: „Polska jest skazana na wielkość". Zgadzamy się, ale jedynie częściowo. Na razie jest tylko skazana.

Ponieważ bardzo lubimy celebrować rozmaite okazje, poważnie zastanawialiśmy się nad tym, czy z okazji drugiej rocznicy istnienia nowego rządu Tuska nie powinniśmy koalicji wręczyć jakiegoś prezentu. Po namyśle doszliśmy do wniosku, że nie ma to sensu. Najwspanialszy, wymarzony prezent ten rząd już ma. To skuteczność, z którą walczy z nim opozycja.

Uważamy natomiast, że prezenty powinna dostać opozycja. To znaczy część opozycji. Właściwie wszyscy w opozycji, oprócz Grzegorza Brauna. Uważamy bowiem, że batożenia Polski nie da się przerwać bez ciężkiej pracy i wielkiego wysiłku, które przemienią się w wynik ponad stan. A na razie jedyny, który osiąga wyniki ponad stan, to Braun. Stąd nagroda. Nie będziemy się rozdrabniać, kiedyś zasługiwał na gaśnicę. Teraz – na cały wóz strażacki.

Swoją drogą mamy dla PiS bardzo ciekawe, ale aktualne pytanie, które w dodatku konsultowaliśmy z paroma ludźmi od sondaży. Jest to pytanie do kierownictwa PiS, które komunikuje, że trudno mu sobie wyobrazić przyszłą koalicję rządową z nieludzką kapitalistyczną Konfederacją Mentzena. Nasze pytanie brzmi: A jak wyobrażacie sobie koalicję z Konfederacją Brauna, gdyby okazało się, że z arytmetyki sejmowej wynika, iż to jedyna droga do większości rządowej?

Tymczasem w PiS. Ogłoszenie – choć nieformalne – Przemysława Czarnka delfinem partii przez najważniejszego ze wszystkich Jarosławów nie przysporzyło sympatii byłemu ministrowi edukacji. W sensie: na razie nie przysporzyło. Co prawda, są osoby, które nieśmiało próbują tytułować Czarnka, ten jednak reaguje na to alergicznie. I wcale się nie dziwimy. Wszak sami dobrze pamiętamy, że niedoszły premier z Krakowa obecnie robi za Tołstoja z Bieszczadów.

Swoją drogą zastanawiamy się, co miała na myśli nasza wiewiórka, mówiąc: „Niektórzy ośmielają się Przemysława Czarnka tak tytułować". To znaczy jak? Zwracając się do niego, mówią: „panie delfinie"? Śmiemy powątpiewać. Bo w odważnych, którzy walą: „panie prezesie", to nie wierzymy. W każdym razie byle nie „neoprezesie".

Przeciw Czarnkowi sprzymierzają się inni niedoszli lub doszli, acz byli premierzy. Choć nie wszyscy. Wiadomo jednak, że premier Mateusz nie porzucił swoich myśli o powrocie na białym koniu. Była premier Bełata na brukselskim wygnaniu też nie próżnuje. No i Mariusz też nie odpuszcza. A nie są to wszyscy pretendenci. Jest też tzw. frakcja młodych. Czyli 40+. Składa się głównie z ludzi wylansowanych przez Ziobrę. Ci jednak siedzą cicho, pomni losu swojego szefa, który też kiedyś robił za delfina.

Wszystko to przypomina nam wiecznie aktualną anegdotę sprzed lat. Otóż dawno, dawno temu, kiedy „Rzepa" jeszcze nie należała do Sorosa, Wojtek Wybranowski poświęcił wiele czasu na napisanie tekstu pokazującego dokładnie mapę wpływów

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl 43498c26b4

wszystkich frakcji w PiS. Było ich wiele, ale po cichu przedstawiciele każdej z nich mówili, że tak naprawdę istnieje tylko jedna. Frakcja Jarosława Kaczyńskiego.

Niektórzy pracują dla Polski, przebywając na wygnaniu. Na przykład taki Marcin Romanowski. Chłop nie ma zbyt wiele obowiązków, a w dodatku nie jest obciążony rodziną, za to niezmiernie pracowity. Siedzi sobie raz w Budzie, a raz w Peszcie i przygotowuje reformę wymiaru sprawiedliwości. Coś niecoś o tym wiemy. I jedno możemy powiedzieć: drwal Żurek przy Romanowskim to, jak mawiał nieoceniony mecenas Qń, ciamciaramcia.

À propos Żurka. Trwają intensywne prace nad skręceniem sprawy trzymania przez obecnego ministra krokodyla bez wymaganych zezwoleń. Łatwe to nie jest, bo są na to konkretne paragrafy. Na szczęście dla ministra organa na razie nie znalazły truchła. Aczkolwiek ustaliły, że gadzina została zakonserwowana po opuszczeniu tego padołu łez. Jednak gdzie przebywa eksponat – tego na razie nie udało się nam ustalić. Organom też.

Mamy w związku z tym pewien pomysł. Właśnie wróciliśmy z Polski Wschodniej, gdzie usłyszeliśmy bardzo ciekawą historię. Otóż w pewien piątkowy wieczór na jednym z pól odnaleziono truchło żubra pozbawione głowy i nóg. Wszyscy się już szykowali do świętowania piąteczku, prasowali stroje na sobotnie wesela i chrzciny, więc nikomu nie chciało się przerywać tych świętych nieomal czynności. A ubicie króla puszcz to nie jest popierdółka, jak w przypadku jakiejś sarny czy innego dzika. Sprawę rozwiązał wezwany weterynarz. Spojrzał na truchło i stwierdził: „No, ja tu widzę jelenia". Ani policjant, ani leśniczy nie wdawali się w polemikę. Bo przecież nie będą dyskutować z człowiekiem, który latami zgłębiał tajniki weterynarii. Truchło żubra zutylizowano. Proponujemy, żeby minister Żurek oświadczył, że nie był to żaden krokodyl, tylko zwykła jaszczurka.

Tymczasem w wolnych chwilach przeglądamy sobie plan konwencji programowej PiS, która już tuż-tuż. I chcieliśmy poinformować, że po pierwsze, będą na niej gościnnie także paneliści z Litwy. I ze Szwecji. I z Francji. Ale mało. Co nie zmienia faktu, że możemy konwencję dzięki temu nazwać międzynarodową.

Jak wcześnie pisaliśmy, najciekawsza jest analiza arytmetyczna planowanych sesji i paneli. Im bowiem ktoś częściej występuje, tym jest wyżej w aktualnej hierarchii na Nowogrodzkiej. I tak np. Mariusz Błaszczak wystąpić ma pięć razy. A Mateusz Morawiecki – dwa. Podobnie jak Beata Szydło. Niewielką obecność Morawieckiego nadrabia Michał Dworczyk – trzy. Uwaga: Czarnki są tylko dwa. A Bocheński – jeden.

W szczegóły programu nie chcemy się zagłębiać, z jednym wyjątkiem. Otóż wielce ciekawie zapowiada się panel o bezpieczeństwie Polaków i polskim wojsku. A to dlatego, że zaplanowano w nim udział trzech niekoniecznie kompatybilnych osobowości: Mariusz Błaszczak, Michał Dworczyk i dawno niewidziany Antoni Macierewicz. Kupujemy popcorn.

Bardzo rozbawił nas plan Platformy Obywatelskiej, która szykowaną na 24 i 25 października konwencję PiS chce przykryć własnym eventem. Ten event czy, jak niektórzy mówią, iwent, to konwencja 25 października, na której mają zostać dokonane epokowe zmiany. Przedstawimy je w telegraficznym skrócie: Platforma nada sobie NIP.

Już wyjaśniamy: na konwencji ma zapaść decyzja o historycznym zjednoczeniu sił demokratycznych i europejskich. To znaczy o zjednoczeniu z Nowoczesną i Inicjatywą Polską. To wiekopomne wydarzenie zapisze się bez wątpienia w annałach, tak jak kongres zjednoczeniowy Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej, w wyniku którego powstała PZPR. Na wszelki wypadek przypominamy, że w naszej wpływowej rubryce używaliśmy nazwy „Polska Zjednoczona Platforma Obywatelska" już w roku 2013. Jeden z Panów G. nawet nazywał się jeszcze wtedy Gursztyn. Drugi z Panów G. zawsze nazywał się tak, jak nazywał.

Oczywiście konwencja PO nas bardzo cieszy. Bez NIP trudno funkcjonować we współczesnym świecie. Gdyby jednak z jakichś powodów – w co trudno uwierzyć – odrzucono na konwencji nazwę „Polska Zjednoczona Platforma Obywatelska", to proponujemy, żeby po prostu poskładać literki tworzące skróty nazw wszystkich trzech partii: PO, N i Inicjatywa Polska. Jak nic wychodzi NIPPO.

Na zakończenie ważne pytanie. Wiemy, że właśnie je sobie zadajecie. Brzmi ono: Co to, u licha, jest ta Inicjatywa Polska? No właśnie. To jest bardzo dobre pytanie. W księgowości nie wiedzą, w kadrach nie wiedzą, na portierni nie wiedzą. Pytaliśmy wszędzie, więc wam nie pomożemy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 43498c26b4

Zamykanie oczu na niewygodną prawdę

Łukasz Warzecha

Ukraiński nacjonalizm nie wisi w próżni. Jest systemem zbudowanym na konkretnym historycznym fundamencie – terroryzmu, zbrodni, współpracy z hitlerowskimi Niemcami i ludobójstwa. Te wszystkie elementy nadal tam są, tyle że zamiecione pod dywan. Chwilowo

Profesor Andrzej Nowak na zaproszenie polityków Alternatywy dla Niemiec wygłosił w Berlinie, w sali spotkań komisji Bundestagu, wykład o polsko-niemieckiej historii. Ściągnęło to na niego gromy ze strony obecnej władzy. Gromy całkowicie bezzasadne, bo – po pierwsze – to jednak AfD, a nie partnerska dla KO i PSL CDU/CSU zaprosiła historyka bardzo twardego na punkcie obrony prawdy o polskiej

eprasa.pl 43498c26b4

Pikieta we Lwowie z okazji 116. urodzin Stepana Bandery, 1 stycznia 2025 r. FOT. MYKOLA TYS/EPA/PAP

historii; po drugie – bo goście spotkania usłyszeli od prof. Nowaka wiele mocno dla siebie niekomfortowych stwierdzeń, dotyczących m.in. niemiecko-rosyjskiego imperializmu czy niemieckich zbrodni z okresu drugiej wojny światowej.

Można mieć wiele zastrzeżeń do komentarzy dotyczących historii, które wygłaszali politycy AfD. Można mieć również bardzo wiele uwag do tego, w jaki sposób Niemcy podchodzili i nadal podchodzą do niechlubnych kart ze swojej przeszłości. Powinien to być dla nas jednak punkt odniesienia czy porównania z tym, jak do podobnych kwestii podchodzi nasz podobno bliski – według niektórych bliższy niż Niemcy – partner: Ukraina. Jak na ironię, w stosunku do Kijowa ten sam prof. Andrzej Nowak wykazywał wielokrotnie znacznie dalej posuniętą tolerancję wobec sposobu rozprawiania się ze swoją przeszłością niż w stosunku do Niemców, o Rosjanach nie mówiąc.

INACZEJ NIŻ NIEMCY

Można postawić tezę, że o ile Niemcy jednak swoją przeszłość jakoś przetrawili i mimo wszystko jest w tej sprawie wciąż postęp, choćby umiarkowany (nawet jeżeli odbywa się na zasadzie „dwa kroki naprzód, krok w tył"), o tyle Ukraina żadnego postępu nie czyni. Jest nawet przeciwnie: odbywa się regres. Tam działa zasada „jeden krok naprzód, pięć w tył".

W sferze pamięci, historii, a także ideologii, która stanowi dzisiaj symboliczną siłę napędową państwa ukraińskiego, na pierwszym planie jest to, co w Polsce określa się ogólnie mianem banderyzmu. Nie wdając się w nadmierne historyczne detale, można ten pogląd ogólnie zdefiniować jako agresywny, ekspansywny nacjonalizm, którego skutkiem było stworzenie i wykonanie planu czystki etnicznej na terenach uznawanych przez ukraińskich nacjonalistów za należące do Ukrainy. Działania te wypełniają przesłanki ludobójstwa. Sięgnijmy jeszcze po definicję, która znalazła się w prezydenckim projekcie zmian w ustawie o IPN oraz Kodeksie karnym. Penalizowane miałoby zatem być pochwalanie ideologii Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (frakcja Stepana Bandery) i Ukraińskiej Armii Powstańczej, a także zbrodni członków i współpracowników tychże struktur „oraz innych ukraińskich formacji kolaborujących z Trzecią Rzeszą Niemiecką", którą jest „zbrodnia ludobójstwa dokonana na terytorium II RP w latach 1943–1945".

Dzisiaj Ukraina próbuje przedstawiać banderowską ideologię jako oderwaną od swojego paskudnego tła i kontekstu historycznego. Zajrzyjmy do oświadczenia ukraińskich historyków z 1 października 2025 r., pod którym podpisał się m.in. Wołodymyr Wiatrowycz, były szef Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej, znany z antypolskich poglądów. Czytamy tam: „Próby wbicia klina [przez Rosję] między Ukrainę a naszego strategicznego partnera Polskę znacznie nasiliły się wraz z początkiem pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę w lutym 2022 r. Obecnie nacisk kładzie się na potępienie działalności UPA i zakaz jej symboliki, która dziś kojarzy się z bohaterstwem ukraińskich żołnierzy, którzy własnym życiem bronią przed rosyjskim najazdem zarówno Ukrainę, jak i całą Europę". Do tego oświadczenia jeszcze wrócimy, bo w Polsce poświęcono mu zdecydowanie zbyt mało uwagi.

ZAMACHY NA POLSKICH POLITYKÓW

Ukraińskiego nacjonalizmu nie sposób tymczasem – wbrew tego typu głosom – widzieć w oderwaniu od jego historycznych korzeni. Te korzenie to historia brutalnego terroryzmu, wymierzonego jeszcze przed wojną w Polaków, i to najczęściej tych, którzy opowiadali się za polsko-ukraińskim porozumieniem i wypracowaniem akceptowalnych ram koegzystencji. To nie tylko najgłośniejszy zamach, w którym w czerwcu 1934 r. zamordowany został minister spraw wewnętrznych Bronisław Pieracki. Stało się to w Warszawie przy ul. Foksal, lecz Pieracki – najbardziej znana ofiara ukraińskiego nacjonalizmu – nie doczekał się dotychczas ulicy czy choćby skweru swojego imienia.

Ukraiński nacjonalistyczny terroryzm to również zabójstwo w roku 1908 namiestnika Galicji Andrzeja hr. Potockiego przez studenta Józefa Myrosława Syczyńskiego. Hrabia pomógł wcześniej Syczyńskiemu, gdy ten został wydalony ze szkoły za udział w antyrządowej demonstracji. Na audiencji u namiestnika student pojawił się oficjalnie po to, by prosić o pomoc w uzyskaniu nauczycielskiej posady. Zamiast tego wyciągnął z kieszeni surduta rewolwer i zamordował swojego dobroczyńcę, aby następnie oddać się w ręce policji i ogłosić: „Zabiłem tego łotra". Hrabia Potocki był zwolennikiem łagodnego kursu wobec Ukraińców.

Ironią historii jest to, że sprawcy karę śmierci zamieniono na 20 lat. W 1911 r. uciekł z więzienia w Stanisławowie, wyjechał do Szwecji, przeżył wojnę, zamieszkał w USA i tam dalej wspierał aż do śmierci agresywny ukraiński nacjonalizm.

eprasa.pl 43498c26b4

Ukraiński nacjonalistyczny przedwojenny terroryzm to również tak mało znane epizody jak nieudana próba zamordowania w roku 1933 we Lwowie tamtejszego kuratora szkolnego, Jerzego Gadomskiego, przez Seweryna Madę, nakłonionego do tego przez samego Banderę. Zamach się nie udał, bo kurator miał policyjną ochronę. Mada zastrzelił jednak jednego z policjantów. Ten schemat przypomina bliskowschodni terroryzm islamski i tak działała Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów: przywódca rekrutował często prostych ludzi, mamiąc ich i zwodząc wizją wielkiej Ukrainy, ci ludzie narażali się, przeprowadzając terrorystyczne akcje, podczas gdy sam Bandera czy Andrij Melnyk, inna ważna postać obozu nacjonalistycznego, pozostawali bezpiecznie na tyłach. Było to jak posyłanie ludzi z pasami szahida do samobójczych ataków przez bezpiecznie schowanych radykalnych imamów.

Nie sposób też wykasować kontekst z okresu drugiej wojny światowej. Ukraińscy nacjonaliści uznawali Polaków za swoich wrogów w stopniu nie mniejszym niż Sowietów, stąd upatrywali nadziei w Adolfie Hitlerze i III Rzeszy. Na kongresie OUN w Rzymie 27 sierpnia 1939 r. Andrij Melnyk jasno mówił, że sprawę ukraińską trzeba połączyć z polityką Niemiec Hitlera. Ba, OUN brała nawet pod uwagę, aby tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej zorganizować w Małopolsce Wschodniej powstanie, skierowane przeciwko polskiemu wojsku. Niemcy byli wstępnie zainteresowani tym pomysłem.

Sam Hitler nie był zwolennikiem powołania nawet w pełni kontrolowanego ukraińskiego państwa i, jak wiadomo, do tego nie doszło. Stepan Bandera w czerwcu 1941 r. posłał do Führera memorandum (konkurował już wtedy z frakcją melnykowców), w którym oznajmiał, że Berlin powinien się liczyć z interesami Ukrainy i nie powinien rozmawiać z Ukraińcami z pozycji siły.

Następstwem wydania przez Banderę i jego współpracowników deklaracji o odnowieniu państwa ukraińskiego było osadzenie go przez Niemców w obozie w Sachsenhausen w 1941 r. Przebywał tam na specjalnych prawach i w warunkach dalece lepszych niż zwykli więźniowie. Nawet podczas tego pobytu nie porzucił nadziei na współpracę nacjonalizmu ukraińskiego z niemieckim, wysyłając stamtąd kilkakrotnie do Berlina płomienne deklaracje dotyczące konieczności hitlerowsko-ukraińskiego współdziałania, ale na partnerskich zasadach.

Może pora, aby Ukraińcy zaczęli się ze swoich historycznych win rozliczać, w ten sposób wytrącając z ręki argumenty rosyjskim agentom wpływu?

ZEŁENSKI, CZYLI IRONIA DZIEJÓW

Polscy obrońcy Bandery wskazują na to, że nie może on być obarczany winą za rzeź na Kresach, skoro w tym okresie przebywał w niemieckim obozie. To jednak dzielenie włosa na czworo. Nie ma żadnych wątpliwości, że Stepan Bandera był zwolennikiem użycia siły w imię nacjonalizmu i jeśli nawet nie sprawował w okresie ludobójstwa bezpośredniego kierownictwa nad UPA, to stworzył ideologiczne podstawy dla mordu.

Ukraiński nacjonalizm w jego współczesnej postaci sprawił również, że w narracji państwa ukraińskiego nie istnieje w zasadzie rozdział współpracy Ukraińców z Niemcami w realizacji zbrodniczych działań III Rzeszy podczas drugiej wojny światowej. Przypomnijmy tylko dwa przykłady.

W latach 1941–1944 w Trawnikach na Lubelszczyźnie istniał obóz szkoleniowy SS, gdzie przygotowywano członków formacji SS-Wachmannschaften (Wachmannschaften des SS- und Polizeiführers in Distrikt Lublin). Do tej formacji należeli sowieccy jeńcy wojenni, w przeważającej części Ukraińcy, którzy zgłaszali się do SS-Wachmannschaften na ochotnika. Formacja ta odegrała istotną rolę w realizacji akcji Reinhardt, czyli wymordowania Żydów z Generalnego Gubernatorstwa. Jej członkowie pełnili funkcję strażników, często odznaczając się niebywałym sadyzmem, w sieci obozów stworzonych specjalnie dla realizacji akcji, np. w obozie śmierci w Bełżcu. Ironią historii jest to, że jeden z promotorów ukraińskiego nacjonalizmu jako państwowego mitu, prezydent Wołodymyr Zełenski, sam jest pochodzenia żydowskiego.

Wspomnienia o bestialstwie ukraińskich strażników pojawiają się również w relacjach więźniów obozu koncentracyjnego na Majdanku. Ukraińcy szczególną nienawiścią mieli darzyć polskich osadzonych.

Bardziej znanym przykładem jest batalion „Nachtigall" (Battalion Ukrainische Gruppe Nachtigall), którego powstanie w 1941 r. było bezpośrednim skutkiem starań OUN. Członkowie batalionu bardzo aktywnie brali udział w pogromie Żydów po zajęciu Lwowa przez Niemców. Mieli również uczestniczyć w obławie i egzekucjach lwowskich profesorów, czemu starają się zaprzeczać ukraińscy historycy, m.in. znany w Polsce Jarosław Hrycak, zresztą jeden z sygnatariuszy wspomnianego wcześniej oświadczenia ukraińskich historyków.

O samej zbrodni na polskich Kresach nie trzeba już pisać, sprawa jest bowiem znana w swoich najdrastyczniejszych szczegółach. Trzeba natomiast przypomnieć, że działania nacjonalistów nie ograniczyły się do 1943 r., np. zbrodnia w Puźnikach, gdzie ofiary niedawno wreszcie doczekały się pochówku, miała miejsce w lutym 1945 r. W Muzeum Kresów w Lubaczowie (skądinąd bardzo ciekawym) można natomiast zobaczyć kartkę z tego samego roku, zapisaną na maszynie, na której po ukraińsku „gierienowyj prowidnik OUN" nakazuje Polakowi opuszczenie „etnicznych ziem ukraińskich" w ciągu 24 godzin, zabraniając zabierać cokolwiek z inwentarza. Za niewykonanie polecenia grozi śmierć. Tego typu kartki były częścią większej akcji ukraińskich nacjonalistów, którzy próbowali groźbami zmusić Polaków do wyniesienia się za San już po przejściu frontu.

To historyczne tło nacjonalistycznej ideologii ukraińskiej trzeba opisać, żeby zrozumieć, z jakim bagażem zmaga się współczesne państwo ukraińskie. A właściwie – wcale się nie zmaga, bo nie przyjmuje do wiadomości jego istnienia, a nawet więcej: uznaje tę ideologię za swoją, ignorując całkowicie wspomniany bagaż. Kilka miesięcy temu w „Do Rzeczy" opublikowaliśmy moją rozmowę ze znanym kompozytorem Krzesimirem Dębskim, którego rodzice

eprasa.pl 43498c26b4

zaręczyli się podczas obrony plebanii kościoła w Kisielinie dokładnie 11 lipca 1943 r., a więc w dniu apogeum wołyńskiego ludobójstwa. Dębski bardzo trafnie zauważył, że o ile niemal każdy cywilizowany kraj, który ma w swojej historii nieciekawe momenty, umiał się z nimi lepiej czy gorzej rozprawić, wziąć je na historyczny warsztat, a przynajmniej na początek przyznać, że po prostu są faktem, o tyle Ukraina jest do tego dotychczas całkowicie niezdolna.

Oświadczenie ukraińskich historyków, najprawdopodobniej inspirowane przez czynniki rządowe, a będące odpowiedzią na prezydencki projekt penalizacji banderyzmu, dowodzi tego aż nadto. Trzeba tutaj zacytować jego obszerne fragmenty (pisownia oryginalna):

W Ukrainie z niepokojem przyjęto inicjatywę niektórych sił politycznych dotyczącą wprowadzenia zmian do obowiązujących aktów prawnych Polski, mających na celu ustawowe potępienie UPA i OUN(b) [OUN frakcja Bandery]. Przy tym inicjatorzy tych zmian jednostronnie obarczają Ukraińców winą za wszystkie wydarzenia związane z Tragedią Wołyńską.

W tym kontekście przedstawiciele środowiska historycznego Ukrainy podkreślają konieczność unikania upolityczniania kwestii naszego wspólnego dziedzictwa historycznego z Polską, zwłaszcza tych tragicznych kart historii, które doprowadziły do masowych ofiar po obu stronach.

Obecnie historycy podejmują wysiłki na rzecz stworzenia obiektywnego obrazu wszystkich okoliczności nie tylko zbrodni popełnionych wobec ludności ukraińskiej i polskiej na Wołyniu i w Galicji, ale także przyczyn, które doprowadziły do tak ostrego konfliktu. Do dziś brak również ostatecznych badań i wniosków dotyczących wpływu specjalnych oddziałów reżimów okupacyjnych ZSRR i nazistowskich Niemiec na wydarzenia, które doprowadziły do tego ukraińsko-polskiego starcia.

Dlatego dość wątpliwe są próby zrównania antyimperialnej, narodowowyzwoleńczej w swojej istocie działalności UPA i OUN(b) z praktykami ludobójczymi i neoimperialnymi totalitarnymi reżimami nazistów i komunistów, przeciwko którym przede wszystkim walczyli ukraińscy powstańcy.

Z tego powodu strona ukraińska zaproponowała polskim kolegom wznowienie formatu profesjonalnych dyskusji w ramach Forum Historyków Ukrainy i Polski, którego działalność mogłaby sprzyjać bezstronnemu ustaleniu obiektywnego obrazu wydarzeń przeszłości.

W warunkach trwającej agresji zbrojnej Rosji przeciwko Ukrainie i całej cywilizowanej społeczności międzynarodowej uważamy za niedopuszczalne działania, które będą osłabiać Ukrainę, a tym samym Polskę, co właśnie stanowi strategiczny cel rosyjskiego agresora, który od kilku stuleci robi wszystko, aby zniszczyć zarówno Ukraińców, jak i Polaków.

Wyrażamy szczerą wdzięczność Państwu Polskiemu i Narodowi polskiemu za udzieloną Ukrainie pomoc w przeciwstawianiu się rosyjskiej agresji. [...]

Próby wbicia klina między Ukrainę a naszego strategicznego partnera Polskę znacznie nasiliły się wraz z początkiem pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę w lutym 2022 roku. Obecnie nacisk kładzie się na potępienie działalności UPA i zakaz jej symboliki, która dziś kojarzy się z bohaterstwem ukraińskich żołnierzy, którzy własnym życiem bronią przed rosyjskim najazdem zarówno Ukrainę, jak i całą Europę.

Przyjęcie wspomnianego projektu przez stronę polską z pewnością wywoła negatywną reakcję w Ukrainie. Zgodnie z dotychczasową praktyką strona ukraińska będzie również zmuszona podjąć działania odwetowe i przyjąć na szczeblu ustawowym odpowiednie akty dotyczące oceny działań niektórych oddziałów Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich, które, jak wiadomo, dopuszczały się zbrodni wobec ludności cywilnej ukraińskiej w okresie II wojny światowej i w pierwszych latach powojennych.

[...] Apelujemy do naszych polskich kolegów – historyków, polityków, działaczy społecznych – o maksymalną rozwagę w ocenie niezwykle tragicznych wydarzeń naszej wspólnej historii. Taka wspólna historia wymaga wspólnego rozważenia i wspólnych decyzji. Jesteśmy gotowi do obiektywnego, profesjonalnego i bezstronnego dialogu.

Uważamy, że najbardziej optymalną drogą rozwiązania kwestii wspólnej tragicznej historii byłaby kontynuacja prac poszukiwawczo-ekshumacyjnych na terytorium obu krajów w celu godnego upamiętnienia ofiar tamtych wydarzeń – zarówno Ukraińców, jak i Polaków.

[...] Jesteśmy przekonani, że wraz z naszymi polskimi kolegami musimy wykazać się mądrością i odpowiedzialnością oraz znaleźć porozumienie w sprawie najtrudniejszych kart naszej przeszłości dla wspólnej europejskiej przyszłości i wspólnym wysiłkiem pokonać naszego odwiecznego rosyjskiego wroga.

NIE MA SYMETRII

Brzmi to absolutnie fatalnie. Mamy w tym oświadczeniu otwarte stwierdzenie, że ideologia banderowska jest dzisiaj podstawą motywacji obrońców Ukrainy przed Rosją. Mamy też uporczywe próby zrównania polskich działań wobec Ukraińców z ludobójstwem na Polakach. Historycy nie piszą, o które polskie działania im chodzi – zapewne dlatego że pokazałoby to, jak nieakceptowalne jest stawianie na jednym poziomie tych poczynań oraz zbrodni ukraińskich. Można zakładać, że mają na myśli działania będące odpowiedzią na poczynania OUN, takie jak tzw. pacyfikacja Małopolski Wschodniej w 1930 r., która nie niosła za sobą strat ludzkich, jedynie materialne, oraz akcje o podobnym charakterze wymienione w oświadczeniu BCh i AK z okresu drugiej wojny światowej.

Mamy wreszcie zgrany chwyt, polegający na oskarżeniu o sprzyjanie Rosji każdego, kto przypomina o ukraińskich zbrodniach. Może zatem pora, aby Ukraińcy sami zaczęli się ze swoich historycznych win rozliczać, w ten sposób wytrącając z ręki argumenty rosyjskim agentom wpływu?

W naszym kraju poseł Koalicji Obywatelskiej Paweł Kowal uchodzi za skrajnego ukrainofila, a duża część jego wypowiedzi budzi zrozumiałe oburzenie. Jak się jednak dowiedziałem, nawet on, spotykając się z ukraińskimi partnerami, traci cierpliwość. Ukraińcy mieli od niego usłyszeć w ostatnim czasie, że jest ostatnią osobą z polskiej strony, która chce jeszcze z nimi rozmawiać w przyjaznym tonie.

Poseł Koalicji Obywatelskiej Paweł Kowal uchodzi za skrajnego ukrainofila, ale nawet on, spotykając się z ukraińskimi partnerami, traci cierpliwość

Od momentu, gdy Ukraina z chwilą ataku Rosji na swoje terytorium postawiła na nacjonalistyczny fundament, wskazuję, jakie niesie to ze sobą zagrożenie. Obrońcy współczesnej Ukrainy twierdzą, że nawiązywanie do Bandery czy Romana Szuchewycza – również bardzo popularnego, którego imieniem nazywane są place, ulice, szkoły i któremu stawiane są pomniki – jest wyłącznie skierowane przeciwko Rosjanom. To zamykanie oczu na niewygodną prawdę: ukraiński nacjonalizm nie wisi w próżni. Jest systemem zbudowanym na konkretnym historycznym fundamencie – terroryzmu, zbrodni, współpracy z hitlerowskimi Niemcami i ludobójstwa. Te wszystkie elementy nadal tam są, tyle że zamiecione pod dywan. Chwilowo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 43498c26b4

Piotr Semka

Profesor Andrzej Nowak (drugi od lewej) na konferencji w Berlinie FOT. AFD-FRAKTION BUNDESTAG/YOUTUBE

Dialog bez pośredników

Na zorganizowanym przez Alternatywę dla Niemiec spotkaniu z prof. Andrzejem Nowakiem bogato reprezentowane były niemieckie media. Liczyły one na jakiś skandal, którego jednak nie było. Gdy okazało się, że obie strony rozmawiały spokojnie i rzeczowo, zainteresowanie spotkaniem wyraźnie spadło. To jedna z oznak nienormalności we wzajemnych kontaktach polsko-niemieckich

Niedawna wizyta prof. Andrzeja Nowaka w berlińskim Bundestagu na zaproszenie trzech polityków partii Alternatywa dla Niemiec to wydarzenie, które pokazuje, że możliwy jest dialog polsko-niemiecki także po prawej stronie sceny politycznej. Zarówno AfD, jak i partie polskiej prawicy były wypychane z oficjalnych ram debat o historii obu państw. I właśnie też z tego powodu prawicowcy z obu stron Odry doskonale rozumieją, jak pozorny bywa przemysł pojednania, który bardzo często zamienia się w kicz rekoncyliacji. Jednocześnie wśród wyborców AfD wciąż silne są antypolskie uprzedzenia i urazy. Spróbujmy przeanalizować, z jakim przesłaniem prof. Nowak przybył do swych niemieckich gospodarzy.

AfD to z punktu widzenia modelu demokracji przypadek dość szczególny. Partia, która zajmuje w sondażach drugie miejsce, dochodząc niekiedy do 30 proc., jest w życiu politycznym marginalizowana wskutek zgodnej postawy wszystkich innych partii. Ta partia prawicy nie może nawet uzyskać miejsca w prezydium Bundestagu z powodu obstrukcji wszystkich innych ugrupowań. To znaczy formalnie może i pro forma jest dla niej zarezerwowane jedno miejsce, ale pozostaje ono puste, gdyż koalicja wszystkich innych odrzuca kolejnych kandydatów AfD na to stanowisko. Partia, którą w sondażach wybiera prawie jedna trzecia wyborców, jest wyłączana z rad mediów publicznych i bardzo rzadko zapraszana do głównych mediów. Dlatego Alternatywa próbuje się z tej marginalizacji wyrywać, jak tylko może. I właśnie takie mogły być intencje organizatorów konferencji w Bundestagu na temat przyszłego pomnika polskich ofiar w Berlinie.

Bardzo znamiennych było trzech organizatorów tej imprezy. Doktor Götz Frömming to polityk AfD z Berlina – nauczyciel i absolwent wydziałów germanistyki, historii i filozofii. Drugi organizator, kolejny poseł – Aleksander Wolf – ma 58 lat, jest znanym prawnikiem i urodził się w Lipsku, czyli na terenie dawnego NRD. W 1979 r. jego rodzinie udało się uzyskać zgodę władz na wyjazd na zachód. I wreszcie trzecim organizatorem imprezy był Adam Balten. Urodził się w 1983 r. w Sosnowcu, ale w wieku pięciu lat wyjechał z rodziną do Niemiec Zachodnich. Mówi swobodnie po polsku i często odwiedza swoją rodzinę na terenie Zagłębia Dąbrowskiego. Jest przykładem mało znanego w Polsce fenomenu osób mających polskie korzenie, które wybierają AfD, instynktownie stawiając na konserwatyzm. To właśnie tych trzech polityków Alternatywy zaprosiło prof. Andrzeja Nowaka do Berlina.

PRZEOCZONA POLSKA

„Nie można wyznaczać jedynego politycznie poprawnego modelu dialogu polsko-niemieckiego". Od tej opinii zaczął swoje wystąpienie gość z Krakowa. Na samym początku zaznaczył, że występuje jako osoba prywatna, choć oczywiście nie jest tajemnicą, że ma oficjalny tytuł doradcy prezydenta RP.

Profesor Nowak zaczął od przypomnienia niemieckiego badania z 2019 r., w którym respondentom zadano pytania: Kto powinien być upamiętniany w Niemczech jako ofiary drugiej wojny światowej? Respondenci najczęściej wskazywali na ofiary żydowskie – 82 proc. Na kolejnej pozycji znajdowały się osoby z grupy Sinti i Roma – 44 proc. Na trzeciej pozycji wskazywano osoby niepełnosprawne mordowane w ramach programów eutanazyjnych III Rzeszy – 4 proc. Pierwszą piątkę zamykali komuniści – 5 proc. i homoseksualiści – 4 proc. Profesor Nowak stwierdził, że to bardzo charakterystyczne, że mało kto wskazał w tym badaniu Polskę. A przecież w czasie wojny zginęło przynajmniej 1,4 mln mieszkańców ziem polskich nieżydowskiego pochodzenia. Temu niezauważaniu polskich ofiar sprzyja traktowanie ofiar socjologicznie, a nie według klucza narodowego. Oczywiście z wyjątkiem uczynionym dla narodu żydowskiego.

Historyk zapoznał się z projektem Bundestagu w sprawie planowanego miejsca pamięci polskich ofiar i przypomniał, że skupia się ono na trzech zadaniach – upamiętnianiu, wzajemnych spotkaniach i na budowaniu zrozumienia. Tyle że takie porozumienie będzie niemożliwe, jeśli z przyczyn poprawności politycznej strona niemiecka będzie pomijać czynnik narodowy przy ocenie hitlerowskich zbrodni. Jako przykład prof. Nowak podał doświadczenia swego znajomego z Rady Muzeum Obozu w Ravensbrück, gdzie w trakcie jednego posiedzenia padła opinia, że tak naprawdę obóz był głównie miejscem prześladowania kobiet. Wtedy gorąco zaprotestował. Polskie więźniarki Ravensbrück trafiały tam, bo były polskimi patriotkami o bardzo wyraźnym poczuciu narodowym, a nie ofiarami jakiejś mizoginii męskiego patriarchatu.

To dobry przykład, jak poprawność polityczna może poprowadzić do fałszowania historii.

eprasa.pl 43498c26b4

Jak zauważył prof. Nowak, planowana ekspozycja w Domu Polsko-Niemieckim ma dzielić się na trzy części: pierwsza dotyczy 1000-letniego sąsiedztwa Polski i Niemiec, druga – drugiej wojny światowej i wreszcie trzecia – mozolna droga do nawiązania relacji między dwoma krajami. Profesor Nowak podkreślił, że w Niemczech bardzo słabe jest zrozumienie udziału Prus w rozbiorach Rzeczypospolitej jako czynnika, który zantagonizował Polaków i Niemców.

Zdaniem prof. Nowaka Polska jest w świadomości historycznej Niemców niedostrzegana. Jego zdaniem to nie jest przejaw wrogości, lecz raczej pomijanie. Zjawisko to ma ścisły związek z przekonaniem naszych sąsiadów zza Odry, że na wschód od Niemiec znajduje się przede wszystkim Rosja. Owo przekonanie miało odbicie w lapsusach językowych Angeli Merkel, która wielokrotnie nazywała Rosję sąsiadem Niemiec, mimo że oba te państwa nie mają wspólnej granicy. Profesor Nowak zwrócił uwagę na to, że mimo iż Polska słabo jest obecna w zbiorowej świadomości Niemców, to po USA, Chinach i Francji jest czwartym pod względem wielkości obrotów handlowych partnerem RFN. Ten brak zauważania Polski łączy się bardzo często z przekonaniem Niemców, że w relacjach z Polakami należy im się rola nauczyciela. W wypowiedzi historyka pojawiła się gorzka konstatacja, że bardzo długo mówiono o Niemcach jako adwokatach Polski w procesie wchodzenia do UE i NATO, tak jakby Polska była na ławie oskarżonych.

Odnosząc się do drugiej części planowanej wystawy dotyczącej wojny, prof. Nowak wskazał, że nie można czarnego epizodu w relacjach Polski i Niemiec sprowadzać wyłącznie do okresu rządów Adolfa Hitlera. Nie może być dialogu, jeśli pomijana będzie wrogość Republiki Weimarskiej wobec naszego kraju. Idąc dalej, nie sposób zrozumieć paktu Ribbentrop-Mołotow, jeżeli zapomni się o tajnych, antypolskich i militarystycznych klauzulach układu z Rapallo między Niemcami weimarskimi a Rosją Sowiecką.

Profesor Nowak przypomniał też postać historyka niemieckiego Reinharta Koselleckа, który sam był w czasie wojny żołnierzem Wehrmachtu, a po wojnie wzięty do niewoli zmuszony został grzebać trupy na terenie obozu Auschwitz-Birkenau.

Koselleck wskazywał w 2005 r., że jak długo żyją świadkowie wojny, zachowują oni swe prawo weta wobec prób przeinaczania historii. Ale ci ludzie odchodzą i dziś jest ich garstka. A po odejściu najstarszych z nich o wiele łatwiejsze będzie korygowanie historii.

Profesor Nowak zwrócił uwagę na rozwadnianie tego, co było istotą polityki niemieckiej wobec Polaków w trakcie istnienia okupacyjnego Generalnego Gubernatorstwa

Historyk wskazał też na to, że w niemieckiej historiografii tzw. wojna na wyniszczenie datowana jest na okres po ataku III Rzeszy na ZSRS. Takie spojrzenie ignoruje epizod np. zbrodni pomorskiej, w której trakcie niemiecki Selbstschutz, złożony z niemieckiej mniejszości żyjącej na terenie Polski przy wsparciu esesmanów z Einsatzkommando, dokonywał eksterminacji polskich elit. Między 1 września a listopadem 1939 r. na terenie Pomorza, Wielkopolski i Górnego Śląska rozstrzelano 40 tys. Polaków. Potem doszło aż do czterech konferencji gestapo i NKWD na temat likwidacji polskiej inteligencji.

AROGANCJA I BRAK TAKTU

Wreszcie prof. Nowak nawiązał do motywu, który pojawił się w projekcie Domu Polsko-Niemieckiego, a który zaakcentował historyk prof. Peter Oliver Loew z Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich w Darmstadt. Był to postulat, by w opowieści Domu Polsko-Niemieckiego uwzględnić wątek kolaboracji Polaków z III Rzeszą i ich współudziału w Holokauście. Profesor Nowak oświadczył, że, owszem, były przykłady kolaboracji pod okupacją niemiecką, ale wprowadzanie tego tematu do ekspozycji w charakterze aktu oskarżenia pod adresem Polaków sprawia wrażenie, jakby ktoś próbował przekierować winę na nich i się nią podzielić.

Końcowa uwaga prof. Nowaka dotyczyła prób korekty nazwy pomnika, który ma stanąć w Berlinie. Początkowo wydawało się czymś bezdyskusyjnym, że monument ten ma być poświęcony pamięci polskich ofiar drugiej wojny światowej, a w szczególności ofiar niemieckiej okupacji Polski. Teraz jednak zaczynają się pojawiać ze strony niemieckiej propozycje, by pomnik był zadedykowany wszystkim ofiarom hitlerowskiej okupacji Polski bez wyszczególniania narodowości. Profesor Nowak zauważył, że znów rozwadnia to istotę polityki niemieckiej w trakcie istnienia okupacyjnego Generalnego Gubernatorstwa. Jej celem była likwidacja oprócz Żydów także narodu polskiego. Jeśli więc pomnik ma mieć sens, to jego nazwa musi to podkreślać.

Krakowski historyk zwraca uwagę na dwojakość reakcji internautów pod relacją ze spotkania zamieszczoną na stronie AfD. Z jednej strony można było tam zauważyć pochwały, że dochodzi do nieskrępowanego polityczną poprawnością dialogu, z drugiej – przypominano Polsce fakty, które pokazują, jak głębokie urazy wobec naszego kraju tkwią w prawicowym elektoracie niemieckim. Przeczytać można było o tym, że Polska powinna zapłacić za wygnanie pół miliona Niemców jeszcze w okresie II Rzeczypospolitej lub zadośćuczynić Niemcom przetrzymywanym w obozie w Łambinowicach po drugiej wojnie światowej.

Komentując wydarzenie dla tygodnika „Do Rzeczy", prof. Andrzej Nowak powiedział: – To pierwsze takie spotkanie. Ważne, że taki dialog w ogóle się zaczął. Musimy nauczyć się rozmawiać bez pośredników.

Historyk miał na myśli kontakty środowisk prawicowych z Polski i Niemiec bez pośrednictwa establishmentowych kręgów obu krajów.

Na zorganizowane przez AfD spotkanie zaproszeni byli deputowani do Bundestagu ze wszystkich partii. Co jednak znaczące, nikt z innych ugrupowań nie przyszedł. Było za to kilkadziesiąt osób zainteresowanych bądź dialogiem historycznym, bądź relacjami polsko-niemieckimi. Bogato reprezentowane były też niemieckie media, ale te, jak się wydaje, w sporej części liczyły na jakiś skandal, którego jednak nie było. Gdy się okazało, że obie strony rozmawiały spokojnie i rzeczowo, zainteresowanie spotkaniem wyraźnie spadło. To też oznaka nienormalności we wzajemnym dialogu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 43498c26b4

Komisarz UE do spraw wymiaru sprawiedliwości Michael McGrath (po lewej) i minister sprawiedliwości Waldemar Żurek w Warszawie, 29 września 2025 r.
FOT. CEZARY STRAWIANKO/MS

Żurek, laborant postdemokracji

Rafał A. Ziemkiewicz

Opozycja zdaje się w tej chwili żyć w błogim przekonaniu, że w obozie władzy panują dekadencja i świadomość nieuchronnej klęski. Nic podobnego: jest przemyślany plan, są dla niego pozyskani zagraniczni patroni, są tworzone narzędzia do unieważnienia ewentualnych niekorzystnych rozstrzygnięć wyborców

Z perspektywy krajowej może się wydawać, że Waldemar Żurek, zupełnie jawnie i otwarcie gwałcąc konstytucję i ustawy, zmierza ku jakiejś przepaści. Żaden prawnik – poza tymi, których Żurek sam opłaca – nie jest w stanie, i nawet nie próbuje, bronić prawomocności jego działań jakąkolwiek, choćby najbardziej pokrętną wykładnią. Większość dotychczasowych dostarczycieli żółtych pasków dla TVN24 nabrała wody w usta.

A jednak Żurek ma określony plan. Zdradził go bliski władzy prawnik prof. Marek Chmaj na antenie Polsat News. Owszem, działania obecnego ministra na ten moment zawieszone są w prawnej próżni, ale zostaną z czasem zalegalizowane przez orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego i Krajowej Rady Sądownictwa.

Jakże to, skoro obecna władza Trybunału ani KRS nie uznaje? Ano proste – niebawem upłyną kadencje członków obu tych ciał i obecna większość sejmowa wybierze nowych, własnych. I wtedy zarówno TK, jak i KRS staną się „istniejące", choć wybór ma zostać przeprowadzony według tej samej procedury, co poprzednio – tej, której rzekoma „wadliwość" i „niekonstytucyjność" były pretekstem do kolejnych, krok po kroku idących coraz dalej, bezprawnych działań rządu Donalda Tuska.

PIS JAK NSDAP

Jaśniej nie można. Wszystkie argumenty, użyte przez pomagdalenkowe elity w ciągu ostatnich 10 lat, rzekoma troska o „praworządność", o „kon-sty-tuc-ję" etc. były tylko doraźną propagandą i oszustwem. Tak naprawdę chodzi wyłącznie o jedno: o to, żeby rządzili nasi, żeby usunąć z aparatu przymusu wszelkie ciała obce, których lojalność wobec rządzącej neonomenklatury nie jest pewna. W mowie Tuska ukuto pojęcie „zabetonowania" przez PiS aparatu sprawiedliwości, które to „zabetonowanie" wręcz czyni obowiązkiem „europejskiej" władzy sięgnięcie po przemoc, do czego zresztą wpływowy niemiecki publicysta Klaus Bachman, niebezpodstawnie postrzegany jako nieoficjalny rzecznik elit europejskiego hegemona, otwarcie namawiał Tuska już na samym początku jego rządów. Jeśli „logika demokracji walczącej" nie jest dla „działań nadzwyczajnych" wystarczającym usprawiedliwieniem, to minister Żurek znalazł ostatnio jeszcze jedno: jest nim „formuła Radbrucha". W prawniczej łacinie brzmi ona: „lex iniustissima non est lex". Prawo w jaskrawy sposób niesprawiedliwe nie jest prawem.

O co chodziło niemieckiemu filozofowi prawa, Gustawowi Radbruchowi? Dokładnie o to samo, o co Karlowi Loewensteinowi, twórcy pojęcia „demokracji walczącej" – o poradzenie sobie z dziedzictwem nazistów, którzy objęli w ich kraju władzę legalnie, z woli niemieckiego narodu, dzięki czemu wszystkie akty prawne wprowadzić mogli „lege artis", stosownymi ustawami przegłosowanymi przez parlament (z początku wcale nie wyłącznie głosami NSDAP, lecz także innych partii).

Tusk, a teraz Żurek dokonują więc zrównania ustaw przyjętych przez dwa legalnie wybrane przez Polaków parlamenty i podpisanych przez dwukrotnie zwycięskiego w wolnych wyborach prezydenta, z niemoralnymi z zasady ustawami norymberskimi. Na czym polegała niemoralność tamtych ustaw, wiadomo – odebrały one części obywateli podstawowe prawa z uwagi na ich pochodzenie. Na czym polegać ma „iniustitissima" powołania przez poprzednie parlamenty RP

eprasa.pl 43498c26b4

sędziów Trybunału Konstytucyjnego oraz Krajowej rady Sądownictwa, możemy się tylko domyślać. Na naruszeniu niepisanej zasady ustrojowej, na której ufundowano Polskę Okrągłostołową. Zasady, że odpowiedzialność za państwo spoczywa na barkach oświeconej, reformatorskiej elity „z obu stron historycznego podziału", która ma wręcz obowiązek przed Bogiem (skądinąd, jej zdaniem nieistniejącym) i Historią nie dopuścić do popsucia tego państwa przez populistów, negujących podstawy „historycznego kompromisu" i przez społeczeństwo, jak otwarcie wyjaśnił to śp. Bronisław Geremek, „niedojrzałe jeszcze do demokracji", obarczone (to z kolei Adam Michnik) „czarnosecinnym, pogromowym potencjałem".

O to w gruncie rzeczy toczy się cała polityczna walka w Polsce od czasu „wojny na górze" i pierwszych wyborów prezydenckich. Dla tej części postmagdalenkowej klasy panującej, która wywodzi się ze środowisk „opozycji demokratycznej", a więc za młodu wyćwiczyła się w leninowskim myśleniu „mądrością etapu", była to oczywista racjonalizacja postszlacheckiego, inteligenckiego poczucia wyższości nad polską ciemną masą. Dla tych, których droga do rządzenia III RP wiodła przez partyjne szkolenia PZPR, był to kolejny „wybór sytuacyjny" (określenie Andrzeja Gduli, zastępcy gen. Czesława Kiszczaka), równie dobrze uzasadniające ich przywileje, jak w poprzednim ustroju marksizm.

Klucz do naszej obecnej sytuacji to fakt, że choć innymi drogami, to ewolucja klasy panującej III RP dała bardzo zbliżony rezultat do ewolucji warstw wyniesionych do znaczenia w zachodnich „demokracjach liberalnych". Dlatego Donald Tusk, jak wcześniej politycy postkomunistyczni oraz ci autoryzowani przez „salon" Unii Demokratycznej, w oczach elit rządzących Europą są naturalnym partnerem czy też narzucającym się narzędziem do realizowania dotyczących Polski zamierzeń. Szczególnie teraz, w chwili, gdy owym zachodnioeuropejskim elitom (do momentu odsunięcia przez Donalda Trumpa od władzy demokratów jednomyślnych w tym z elitami amerykańskimi) zagląda w oczy ta sama groza. Jest ona nazywana „populizmem", ale nie jest to określenie istoty problemu, jaki stanął przed „liberalną demokrację". Nie są tym problemem politycy, przywódcy, rzekomo sięgający po populistyczne narzędzia – jest nim sam zachodni „demos", wyborcy. Zachodnie społeczeństwa czują się po prostu źle zarządzane, pozbawione poczucia bezpieczeństwa, wpychane w jakieś groźne, ideologiczne szaleństwa, przeczące zdrowemu rozsądkowi i pozbawiające nadziei nie tylko na lepszą przyszłość, lecz także na zachowanie obecnego dobrobytu. A że elity polityczne, medialne i intelektualne nie są w stanie tych obaw rozproszyć, przeciwnie, rozjeżdżają się ze swymi społeczeństwami coraz bardziej – pragną te elity wymienić. Przecież, wmówiono im, mają do tego prawo. Przecież żyją w demokracji.

Jeśli Polska chce zachować suwerenność i nie dać się zamienić w wyzyskiwaną prowincję niemieckiej Europy, to musi stanąć do walki

I rzeczywiście – ideologia, na której opiera się władza coraz bardziej niechcianej klasy panującej, zakłada „rządy większości". Gdy bunt, którego wyrazem jest popularność z jednej strony postnacjonalizmu Braci Włochów, AfD, Zjednoczenia Narodowego czy Vox, a z drugiej – ekstremizmów postmarksistowskich, zaczyna pozyskiwać większość i „koalicje kordonowe" (co w tej chwili najlepiej widać w Paryżu) coraz bardziej trzeszczą i prują się, jest to dla rządzących Europą problem analogiczny do tego, jakim dla nomenklatury PRL, formalnie legitymizującej swą władzę reprezentowaniem „klasy robotniczej", był sierpień 1980 r., czyli masowy bunt robotników.

POLSKA – POLETKO DOŚWIADCZALNE

Teoretycy „liberalnej demokracji" rozważają więc zupełnie otwarcie: Jak wyłączyć mechanizmy demokracji, by ocalić demokrację? Jak odebrać głos większości, która okazała się nieoświecona, by oświecone elity mogły, dla jej dobra oczywiście, nadal realizować demokratyczne „pryncypia", które tylko one jedne właściwie rozumieją?

Praktycy zaś patrzą z nadzieją na Polskę – poletko doświadczalne, laboratorium, w którym testowany jest ten proces. I nie zamierzają pozostawić jej bez „bratniej pomocy". Jeśli ktoś łudzi się, że bezprawie, czynione przez Tuska rękami Żurka, zostanie potępione tylko dlatego, że np. Komisja Wenecka stwierdziła całkowitą sprzeczność promowanej przez niego ustawy z elementarnymi zasadami europejskiego prawa, to jest naiwny. Komisja Wenecka jest tylko ciałem doradczym. A w praktyce o tym, co jest „europejskim prawem", a co nie, orzekają Komisja Europejska i TSUE. Oba ciała całkowicie niedemokratyczne, wskazywane przez europejską nomenklaturę.

Naiwnym polecam zamieszczony kilka dni temu w polskojęzycznym portalu Deutsche Welle obszerny wywiad z Michaelem McGrathem – nowym unijnym zarządcą „do spraw sprawiedliwości, praworządności i demokracji", notabene zilustrowany wspólnym zdjęciem z Waldemarem Żurkiem. Komisarz stawia sprawy jasno: prawo unijne nadrzędne jest wobec praw krajowych. Mechanizm Wieloletnich Ram Finansowych, uzależniających każdorazową wypłatę środków unijnych od oceny „praworządności" przez KE, będzie wdrożony i realizowany. Jeśli prezydent Karol Nawrocki zawetuje ustawy „przywracające praworządność", Polska zostanie ukarana.

Opozycja, zarówno PiS, jak i Konfederacja, zdaje się w tej chwili żyć w błogim przekonaniu, że w obozie władzy panują dekadencja i świadomość nieuchronnej klęski, że Żurek, wypuszczony przez Tuska do „mission impossible", miota się na oślep, to tylko maska skrywająca panikę. Nic podobnego: to przemyślany plan, są dla niego pozyskani zagraniczni patroni, są tworzone narzędzia do unieważnienia ewentualnych niekorzystnych rozstrzygnięć wyborców. „Wygraj w polu, a wygrasz i w sądzie" – jak uczy nasz narodowy poemat. Dla Tuska i jego neonomenklatury tym polem, gdzie zwycięstwo ma się ostatecznie zadecydować, jest, wobec bierności polskiego społeczeństwa, Unia Europejska.

Po raz kolejny w swoich dziejach Polska, jeśli chce zachować suwerenność i nie dać się zamienić w wyzyskiwaną prowincję niemieckiej Europy, musi stanąć do walki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 43498c26b4

FOT. YOUTUBE/GADOWSKITV

Z Witoldem Gadowskim, pisarzem, publicystą, współzałożycielem Ruchu Obrony Polaków, od niedawna autorem cotygodniowych komentarzy wideo na portalu DoRzeczy.pl

rozmawia Ryszard Gromadzki

Słudzy Ukrainy

RYSZARD GROMADZKI: Z czego bierze się bezkrytyczny ukrainocentryzm zdecydowanej większości polskiej klasy politycznej ?

WITOLD GADOWSKI: Po pierwsze z poczucia niskiej wartości własnej polityków, którzy się w to angażują. Po drugie, z chęci przypodobania się silniejszym – mam na myśli Stany Zjednoczone i Izrael. Po trzecie, z powodu działalności obcych służb specjalnych w Polsce, które wpływają na polityków albo wręcz obsadzają nimi ważne urzędy w Polsce. Wszystko to razem sprawia, że sytuacja jest niewytłumaczalna, bo jeżeli idą wielkie pieniądze, a nie wiadomo, kto podejmuje decyzje o ich wydatkowaniu, co więcej, ich wydatkowanie następuje bez żadnych zabezpieczeń, to zawsze wytłumaczeniem jest mechanizm korupcyjny albo mechanizm podległości wynikający z działalności służb. Oczywiście można powiedzieć, że to teoria spiskowa. W takim razie niech ten, kto tak twierdzi, zaproponuje inne racjonalne wytłumaczenie. Rozumiem, że wielostronna pomoc Polski dla Ukrainy jest inwestycją. Pytam zatem: Jak zabezpieczona jest ta inwestycja?

Jakiej dywidendy powinno oczekiwać państwo polskie z tej inwestycji?

Tak, jaka płynie z niej dywidenda? Na czym zabezpieczone są środki, które Polska tam zainwestowała? Na jakich nieruchomościach? Na jakich zobowiązaniach? Wreszcie na jakich podstawach prawnych realizowany jest ten transfer? Odpowiedzią jest głuche milczenie albo inwektywa „ruska onuca". Każdy, kto stawia tego rodzaju pytania, jest „ruską onucą". Zwracam uwagę, że jest wielu propagandystów, nie tylko po stronie „Gazety Wyborczej",

eprasa.pl 43498c26b4

lecz także „Gazety Polskiej", którzy posługują się tego rodzaju logiką po trepanacji czaszki.

To również logika PO i PiS. A jeśli tak, to czy polska racja stanu w sprawie Ukrainy jest czystą fikcją?

W tej wojnie nie ma żadnej polskiej racji stanu, ponieważ Polska jest największym przegranym tej wojny. Liczby mówią same za siebie. Czyżby liczby też były propagandą? Jesteśmy dwa razy bardziej zadłużeni od Ukrainy, która prowadzi wojnę. Nasze zadłużenie przekracza 2 bln zł, a nie widzimy żadnego efektu wykorzystania tych pieniędzy w naszej przestrzeni. Gdzie więc te pieniądze idą? Jeżeli obecnie 45 proc. prądu dostarczanego na Ukrainę z zagranicy idzie z Polski, to pytam: Jak to jest zabezpieczone? Kiedy będzie zwrócone? Czy w ogóle będzie zwrócone? Rozumiem, że są pewne decyzje, które mają charakter polityczny. Wykładamy pieniądze, oczekując politycznych efektów, w tym wypadku ze strony rządu w Kijowie, który będzie kierował się także polską racją stanu a nie tylko ukraińskimi roszczeniami.

A cóż mamy w zamian? Chamstwo, butę i wstawianie stopy w drzwi i coraz bardziej bezczelne rozpychanie się w Polsce. Już mówi się głośno o tym, co jeszcze niedawno przypisywane było ludziom wyznającym teorie spiskowe, że Ukraińcy będą tworzyć własne organizacje polityczne i domagać się pełnoprawnego uczestnictwa w polskich wyborach. Różni analitycy na Ukrainie mówią bez ogródek o potrzebie tworzenia ukraińskiego lobby w Polsce, tak aby wpływało ono na korzystne decyzje polskich władz dla reżimu rządzącego w Kijowie. Mówię „reżimu", bo ideologią obozu Zełenskiego w coraz większym stopniu staje się banderyzm.

O tym, że banderyzm na Ukrainie rozkwita, świadczyć może historia ze Lwowa: bokserski mistrz świata wagi ciężkiej Oleksandr Usyk przeznaczył sporo pieniędzy na odbudowę muzeum Romana Szuchewycza, zbrodniarza odpowiedzialnego za ludobójstwo Polaków na Wołyniu i Galicji Wschodniej w czasie drugiej wojny światowej. Usyk to na Ukrainie prawdziwy idol, człowiek sukcesu.

Jakiś czas temu polskie służby graniczne na lotnisku w Krakowie potraktowały Usyka przez palce. Sprawa dotyczyła substancji psychoaktywnych przewożonych przez jego towarzysza. Teraz Usyk ogłosił, że podarował 100 tys. hrywien na odbudowę muzeum Szuchewycza. Takie promujące zbrodniczą ideologię spod znaku OUN-UPA zachowania ze strony przedstawicieli Ukrainy są codziennością. Mam na myśli grożenie przez ambasadora Ukrainy, pana Bodnara, retorsjami za próby penalizacji banderyzmu w Polsce.

Polska jest największym przegranym tej wojny. Liczby mówią same za siebie. Jesteśmy dwa razy bardziej zadłużeni od Ukrainy, która prowadzi wojnę

Nawiasem mówiąc, pan Bodnar powinien być deportowany z Polski za występowanie przeciw polskiej racji stanu, bo penalizacja banderyzmu to w czystej postaci polska racja stanu. Oni nie ustąpią, będą się po turańsku, na wschodni sposób w Polsce rozpychać, bez żadnej wrażliwości na nasze racje. Jedyną receptą na takie zachowania jest natychmiastowe zamknięcie polskiego korytarza tranzytowego na Ukrainę. Gwarantuję, że po tygodniu będziemy słyszeć skomlenie: „pane przepraszam, pane przepraszam" ze strony władz w Kijowie.

W takim razie czy prezydent Nawrocki powinien jechać do Kijowa z oficjalną wizytą? Przecież to Ukraina jest naszym petentem. Jak Zełenski chce coś w Polsce załatwić, niech przyjedzie do Warszawy.

To jest sedno problemu. Polski prezydent powinien wezwać do siebie Zełenskiego, a nie odwrotnie. Prezydent Nawrocki nie ma czego szukać w Kijowie, chyba że chce stracić poparcie społeczne, bo Polacy zaczynają już bardzo dobrze rozumieć kwestię naszych stosunków z Ukrainą. Szantaż emocjonalny, oparty na mantrze, że „jak nie pomagacie Ukrainie, to wspieracie Ruskich", jest fałszowaniem rzeczywistości. Przez swoją głupią politykę możemy wyhodować w Kijowie nie tyle niechętny, bo taki już jest, ile wręcz wrogi Polsce reżim. Chcemy nadal wzmacniać państwo, które rządzone albo przez promoskiewskich oligarchów, albo banderowski reżim może zwrócić się wprost przeciw nam? Już teraz jesteśmy w paradoksalnej sytuacji, w której Unia Europejska wspiera kosztem Polski – pełnoprawnego członka Wspólnoty Europejskiej – Ukrainę niespełniającą żadnych kryteriów przynależności.

Jaskrawym przykładem takiej polityki jest zawarta przez Unię Europejską niezwykle korzystna dla Ukrainy umowa o handlu artykułami rolno-spożywczymi.

Ta umowa uderzy w tysiące polskich gospodarstw rolnych. Dodajmy do tego unijne regulacje premiujące ukraińskie firmy transportowe kosztem naszego sektora transportowego.

Prezydent Nawrocki wystąpił z inicjatywą ustawy penalizującej ideologię banderyzmu w Polsce, ale wcześniej podpisał inną ustawę, na mocy której z polskiego budżetu przez kolejny rok popłyną miliardy złotych do Ukraińców. Czy ta antybanderowska ustawa ma zatrzeć złe wrażenie, które na wielu wyborcach Nawrockiego wywarła prolongata rozdawnictwa pieniędzy z polskiego budżetu dla Ukraińców?

Tak właśnie jest. Rzeczywiście to próba zatarcia złego wrażenia po kapitulacji w obronie interesów polskiego podatnika. Pytam, dlaczego bez naszej zgody mamy utrzymywać Ukraińców. Chciałbym usłyszeć jeden logiczny powód. Dlaczego Ukraińcy nie mogą utrzymywać się sami, tak jak pozostali obcokrajowcy, którzy chcą w Polsce żyć i pracować? Ta sprawa to ewidentna kapitulacja Nawrockiego. Zobaczymy, czy będzie on konsekwentny w postulacie penalizacji banderyzmu, bo już dziś, w oparciu o istniejące przepisy Kodeksu karnego, można ścigać banderyzm jako przejaw nazizmu, z sankcją do trzech lat więzienia.

Na razie to martwe prawo.

Prawo jest martwe, choć obowiązuje. Może należałoby o nim przypomnieć, uszczegóławiając właściwy artykuł Kodeksu karnego, wymieniając banderyzm jako formę nazizmu.

W związku z procedowaniem ustawy o penalizacji banderyzmu zaproponowanej przez prezydenta Nawrockiego uderza pewien dysonans związany z podjęciem przez ukraiński IPN poszukiwań szczątków członków UPA w miejscowości Jurkowo na Podkarpaciu, na co kilka miesięcy temu

eprasa.pl 43498c26b4

zgodziło się kierownictwo Instytutu Pamięci Narodowej. Przy okazji w części mediów pisze się o poszukiwaniu szczątków „bojowników UPA", co tworzy wrażenie fałszywej symetrii, godząc w pamięć ofiar bestialskich mordów popełnionych przez UPA na Polakach.

Już w 2017 r. Adam Michnik użył figury, że „bojownicy UPA" to polscy Żołnierze Wyklęci. Takie określania urągają pamięci naszych bohaterów.

Czy prezydent Nawrocki, poddany presji, nie pójdzie śladami Andrzeja Dudy, który sam obsadził się w roli „sługi Ukrainy"?

Nie chciałbym, żeby tak było. Ciągle się łudzę, że z tej prezydentury da się wykrzesać coś polskiego, coś co poprawi nam morale. Ale niestety po świetnym początku ta prezydentura zaczyna buksować, i to niestety buksować w sprawach ukraińskich, w tej chwili najważniejszych dla Polski. Jeżeli nie ułożymy sobie stosunków z Ukrainą, to po pierwsze wyhodujemy sobie piątą kolumnę wewnątrz Polski, po drugie utracimy całkowicie sterowność państwa, po trzecie będziemy mieli u siebie próbę ustanowienia „Banderlandu 2.0", czyli wprowadzenia na terenie Polski przez agenturę ukraińską czy niemiecko-ukraińską agendy i symboli banderowskich, przy pominięciu opinii Polaków.

Czy to nie straszenie Polaków wizją „Ukrpolu"?

Nie, to przejaw zdroworozsądkowego myślenia, opartego na trzeźwej ocenie rzeczywistości. W każdym razie nie chciałbym więcej oglądać nocnego składania kwiatów przez pana Błaszczaka i jego świtę przed pomnikiem w Domostawie. Obiecałem Andrzejowi Pityńskiemu, autorowi tego pomnika, doprowadzenie do jego posadowienia za pieniądze społeczne i tę honorową obietnicę spełniłem. Mówię o tym dlatego, że dobrze pamiętam postawę Błaszczaka i polityków PiS, którzy nie tylko byli przeciwni odsłonięciu pomnika, lecz także szkodzili, jak mogli, tej inicjatywie. Nagłe nawrócenie się PiS i jego polityków na realizm w stosunkach z Ukrainą i Ukraińcami już z daleka pachnie hipokryzją. To wynik najnowszych sondaży, pokazujących coraz gorsze nastroje w społeczeństwie. Czujemy się upokorzeni tym, że kraj, który ma o wiele mniejszy dorobek, naród, który ma niższy poziom kultury, zaczyna dominować nad polskim żywiołem w Polsce. To być może publicystyczna przesadnia, ale uważam, że warto takie tezy stawiać wyraziście.

Labilność PiS w kwestii ukraińskiej każe poważnie brać pod uwagę wariant, że jeśli w rezultacie kolejnych wyborów partia Kaczyńskiego odzyskała władzę, to może znów wykonać proukraiński zwrot.

Płynie stąd jeden wniosek: PiS już nigdy nie powinien rządzić samodzielnie. Jeżeli PiS miałby wrócić do władzy, a wygląda na to, że w pewnym sensie jesteśmy zakładnikami tej partii, to PiS musi rządzić w koalicji z silnym, podmiotowym partnerem, który ma propolskie, bliskie polskiej racji stanu poglądy.

Konfederacja spełnia ten warunek?

Pytanie, czy to jest Konfederacja pana Bosaka czy Konfederacja pana Mentzena. Jeżeli byłaby to Konfederacja pana Krzysztofa Bosaka, to ufam, że byłaby znaczącą przeciwwagą dla labilności i ideologicznej chwiejności PiS. Natomiast jeśliby była to Konfederacja zdominowana przez pana Mentzena, to mam pewne wątpliwości, ponieważ często nie rozumiem zachowań pana Mentzena.

Gdyby koalicja PiS i Konfederacji doszła do skutku, kto powinien stanąć na czele rządu: Morawiecki czy Bosak?

Pan Morawiecki jest niewiarygodny, kiedy mówi o propolskich ideach. Nie wiem, czy kiedy udawał się z pokłonami do Juwala Harariego, także wyznawał propolskie poglądy. Morawiecki nie jest uosobieniem moich marzeń o propolskim polityku. Moim zdaniem szefem takiego rządu powinien zostać pan Krzysztof Bosak. Nie jestem jakimś bezkrytycznym wielbicielem pana Bosaka, ale w sytuacji bezrybia na polskiej scenie politycznej, wobec braku charakterów u ludzi, którzy odgrywają główne role, pan Bosak jest przynajmniej logiczny i konsekwentny w tym, co mówi i robi. Więc to on powinien być szefem takiego rządu, bo wtedy będzie to rokowało, że będzie to rząd propolski.

Wielu konserwatywnych wyborców liczy, że to prezydent Nawrocki zbuduje szeroki propolski front polityczny, wykraczający poza PiS, a nawet Konfederację. Czy nadal ma taki potencjał?

Ma, ale ten potencjał słabnie. Jeszcze dwa czy trzy tygodnie temu wypowiadałbym się w tej sprawie w sposób bardziej pewny, myśląc, że Nawrocki ma taką misję dziejową. Teraz ten potencjał słabnie, bo okazuje się, że są siły, przed którymi pan prezydent musi skłonić głowę.

Testem wiarygodności prezydenta będzie decyzja w sprawie obchodów żydowskiego święta Chanuka? W kampanii prezydenckiej Karol Nawrocki mówił, że po wyborze się z nich wycofa.

To będzie istotna symboliczna próba. Uważam się za człowieka środka, chrześcijańskiego demokratę, jeśli chodzi o przekonania, i nie widzę żadnych powodów, żeby celebrować Chanukę – ani demograficznych, ani dziejowych, ani jakichkolwiek innych. Sądzę, że prezydent, który deklaruje się jako katolik, nie może propagować sprzecznej z katolicyzmem ideologii.

Ruch Obrony Polaków, którego jest pan współzałożycielem, odpowiada na potrzebę czasu?

To projekt, który nieco ewoluował po doświadczeniach partii Polska Jest Jedna, która nieźle wystartowała, ale została zmarnowana. Ruch Obrony Polaków chce być ruchem kadr dla Polski. Chcemy, żeby ci ludzie działali w terenie. Pierwsze efekty będą już niedługo, bo nasze gniazda mocno wsiąkają w lokalną Polskę i zaczynają tam być widoczne. To są ludzie sprawdzeni, jeśli chodzi o kręgosłup moralny i ideowy. Chcemy oddać tych ludzi dla służby ojczyźnie. Nie mamy naszych partykularnych interesów, szukamy ideowych kadr, żeby później oddać je Polsce. W różnych projektach, które rozwijamy, począwszy od projektu nowej konstytucji, a skończywszy na tak szczegółowym projekcie jak Polski Bank Komunalny, powołany ustawą sejmową, który będzie obligatoryjnie skupiał wszystkie rachunki samorządowe w Polsce. Do dzisiaj tego nie zrobiono.

Bo nie jesteśmy właścicielami swojego państwa?

Nie tylko swojego państwa, lecz także swoich funduszy lokalnych czy centralnych. Potrzebujemy więc rewolucji, ale żeby ją przeprowadzić, musimy sprawdzić, co Polsce jest potrzebne. Musimy stać kilka kroków od wydarzeń bieżących i przemyśleć strategię, do której chcemy dążyć. Po to jest Ruch Obrony Polaków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 43498c26b4

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 43498c26b4

Skazana za ostrzeganie przed aborterem

Kaja Godek

To historia najbardziej niezwykłego procesu, który się odbył w ostatnich latach w Polsce. Sprawa ta ujawniła wszelkie patologie tzw. układu – umocowanego zarówno na poziomie centralnym, jak i lokalnie. W Polsce muszą się o siebie bać prawi obywatele, a przestępcy i ich poplecznicy mogą spać spokojnie

Zanim przeczytają państwo poniższy tekst, proszę wygodnie usiąść i zapiąć pasy. Bo to wszystko, co państwo przeczytają, nie jest normalne. I choć przyzwyczailiśmy się już do wysłuchiwania o patologiach w wymiarze sprawiedliwości, to jednak ta historia przebija wszystko, co do tej pory państwo słyszeli.

KTO DO TRUDNEJ CIĄŻY?

Jest wiosna 2022 r. Pani Weronika, mieszkanka Starogardu Gdańskiego, spodziewa się narodzin trzeciego dziecka. Siedzi w Internecie i pisze sobie z innymi mamami o ciąży, porodzie, opiece nad niemowlakiem. Na Facebooku, na forum Spotted & Hejted: Starogard Gdański, pojawia się zagubiona kobieta, która pyta o lekarza do prowadzenia trudnej ciąży. Ktoś rzuca w komentarzu nazwisko Piotra A. Weronika zna A. Szybko odpisuje: „Jeżeli to trudna ciąża, to pan A. […] się do tego nie nadaje. Proszę poczytać opinie, to się pani dowie, o co chodzi. Bardzo polecam doktora [tu nazwisko innego lekarza], ale to niestety już nie prywatnie".

Dołączają i inne mamy, także niezadowolone z usług A. Jedna z nich pisze: „A. […] nie! Dzięki niemu mojego dziecka nie ma już ze mną". W kolejnym wpisie dopowiada: „Moje dziecko zmarło w moim brzuchu, a on mi po USG w twarz mówi, że »jakby miało być chore, to niech idzie z Bogiem«".

Weronika potwierdza: „Dokładnie o tym piszę… moje dziecko też chciał zabić, dwukrotnie proponował aborcję. Syn urodził się zdrowy, cudowny. Każdemu, komu mogę, odradzam tego pseudolekarza". Wspomina też, że chwalił się przed nią wykonywaniem aborcji: „Niech pani Bogu dziękuje, że dziecka pani nie chciał wyskrobać, wręcz namawiając do tego, chwaląc się, jak to wyskrobuje inne dzieci".

Za swoje komentarze zostanie wkrótce skazana w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej przez sądy dwóch instancji.

PIERWSZE SPOTKANIE Z A.

Cofnijmy się do roku 2016. Weronika jest w swojej drugiej ciąży, umawia się na USG do specjalisty polecanego jako ekspert od ultrasonografii. Z badania wynika, że u jej dziecka są podwyższone markery wady genetycznej. Same wyższe markery niekoniecznie świadczą od razu o wadzie, większość kobiet z podobnymi wynikami rodzi zdrowe dzieci. Tymczasem ginekolog Piotr A. na podstawie tych niepewnych wskaźników jednoznacznie diagnozuje zespół Downa. I od razu namawia na aborcję. „Po co ci w domu down?" – pyta przerażoną pacjentkę, która właśnie dowiedziała się, że urodzi niepełnosprawne dziecko. „Lepiej zajść w nową ciążę". Potem rozpoczyna opowieść, jak to w przeszłości abortował dzieci. Zaprasza Weronikę do swojego gabinetu na terminację. Już sama taka propozycja wskazuje, że coś jest nie tak. W 2016 r. aborcja „na zespół Downa" była legalna, ale wyłącznie w szpitalu.

Młoda mama jest cała w nerwach. Zaczyna zbierać informacje o zespole Downa, dowiaduje się, co będzie dziecku potrzebne po narodzinach, próbuje jakoś przeorganizować życie swoje i swoich bliskich. Kolejne miesiące mijają jej w ogromnym napięciu. Nie donosi do terminu porodu, rodzi w ósmym miesiącu ciąży. A. się mylił: chłopczyk nie ma zespołu Downa. Ma za to inne problemy wynikające z wcześniactwa.

Po jakimś czasie, idąc na rutynową wizytę do przychodni, Weronika spotyka na parkingu doktora A. Podchodzi z synkiem i robi lekarzowi wyrzut: „Co pan opowiadał? Dziecko nie ma zespołu Downa, a pan chciał mi zrobić aborcję. Dziś nie miałabym tego chłopca ze sobą". A. milczy, pakuje się do samochodu i odjeżdża.

Wydawałoby się, że historia się zakończyła.

WEZWANIE NA WYDZIAŁ KRYMINALISTYKI

I z powrotem rok 2022. Przychodzi sierpień. Pani Weronika, już w dziewiątym miesiącu ciąży z trzecim maluchem, odbiera awizo z policji. Dowiaduje się,

eprasa.pl 43498c26b4

FOT. ADOBE STOCK

że toczy się przeciwko niej postępowanie z art. 212. Kodeksu karnego. Wpisy, w których ostrzegała przed dr. A., zostały zakwalifikowane jako zniesławienie lekarza za pomocą środków masowej komunikacji. Grozi jej do roku więzienia. Ma stawić się na komisariacie na Wydziale Kryminalistyki celem… pobrania materiału biologicznego – odcisków palców i próbek śliny. Dzwoni na komisariat, bo nie wierzy. Funkcjonariuszka, słysząc, że to zaawansowana ciąża, tym bardziej naciska, żeby nie przekładać terminu, bo co to będzie, jak Weronika wcześniej urodzi, oni muszą mieć tę ślinę i odciski.

Nie, to nie pomyłka. Z artykułu, z którego miewają procesy dziesiątki dziennikarzy, polityków, działaczy społecznych i innych uczestników życia publicznego, toczy się postępowanie, w którym od podejrzanej pobiera się materiał biologiczny. Co będą sprawdzać śledczy? Podobne procedury stosuje się wobec podejrzanych o zabójstwa lub gwałty, gdy na ciele ofiary poszukuje się śladów sprawcy. Postępowanie w sprawie zniesławienia przez Internet nie wymaga zebrania śliny ani odcisków palców i nigdy się tego nie robi! Wszystko wygląda po prostu na celowe upokarzanie i zastraszanie młodej kobiety.

Dosłownie kilka dni przed porodem trzeciego dziecka do Weroniki dociera kolejna szokująca informacja: jej oskarżycielem jest prokurator rejonowy w Starogardzie Gdańskim. To sytuacja nadzwyczajna, bo art. 212 Kodeksu karnego mówi, że ściganie zniesławienia odbywa się z oskarżenia prywatnego. Kto i jak doprowadził zatem do tego, że w sprawę zaangażował się prokurator?

PROKURATOR SIĘ WYCOFUJE, A. IDZIE W ZAPARTE

Weronika dzwoni po organizacjach pro-life i szuka pomocy. Trafia na Fundację Życie i Rodzina, dostaje obrońcę, a do tego wsparcie mentalne, bo już sama nie wie, co się wokół niej dzieje. Od tego momentu pro-liferzy jeżdżą z nią na rozprawy, towarzyszą jej na korytarzach i robią pikiety wsparcia pod sądem. Żeby czuła, że nie jest sama, i żeby mniej się bała. Na pierwszej rozprawie w sądzie – na początku 2023 r. – Prokuratura Rejonowa w Starogardzie Gdańskim na szczęście wycofuje się ze sprawy. Przez chwilę wydaje się, że lokalny starogardzki układ poszedł po rozum do głowy i procesu w ogóle nie będzie. Sędzia zarządza, że trzeba teraz poczekać na decyzję samego Piotra A. – jeśli podtrzyma oskarżenie jako prywatne, to proces będzie się toczył. Jeśli nie podtrzyma, to sprawa idzie do umorzenia.

A. decyduje jednak, że przystępuje do procesu i będzie się sądził jako oskarżyciel prywatny. I proces trwa. A w tym czasie okazuje się, że A. popełniał przestępstwa aborcji i w przeszłości był prawomocnie skazany za zabicie licznych nienarodzonych dzieci…

„PRZYWRACA MIESIĄCZKI", ZASTRASZA NIEWYPŁACALNYCH KLIENTÓW

Początek lat dwutysięcznych. Gabinet lekarski przy ul. Przemyskiej, na gdańskim osiedlu Ujeścisko. W gazecie ogłoszenia: „Ginekolog – zabiegi, narkoza, dyskretnie, profesjonalnie". Plus numer telefonu. Piotr A. dopuszcza się aborcji na życzenie – regularnie i masowo. Do tego w warunkach, które zagrażają także matkom. O sprawie wiadomo sporo, bo gdy już wyjdzie ona na jaw, media dość szczegółowo relacjonują proces. A. udziela nawet dziennikarzom wywiadu. Twierdzi, że radził sobie dobrze, a jego „pacjentki były zadowolone".

A jak jest naprawdę? A. nie ma uprawnień anestezjologa, a jednak usypia kobiety do zabiegów, posiada także plik pustych recept do wypisania, z pieczątkami innych lekarzy. Fałszuje dokumentację medyczną, łamie prawo i procedury. Współpracuje z bezrobotną pielęgniarką oraz kierowcą ochroniarzem. Ten ostatni wymusza zapłatę za aborcję, gdy ktoś nie chce uiścić należności. Ceny za zamordowanie dziecka: od 500 do 2000 zł (ówczesna pensja minimalna to ok. 500 zł netto).

eprasa.pl 43498c26b4

Nie wiadomo dokładnie, jak długo trwa przestępczy proceder, ale w akcie oskarżenia prokuratura pisze o półtora roku. Aborter wpada wiosną 2002 r., gdy jeden z klientów nie ma pieniędzy, aby pokryć koszt zabiegu przeprowadzonego u jego narzeczonej. A. mówi wówczas do swojego współpracownika: „Pojedź z nim po pieniądze, a jak nie będzie miał, to wywieź do lasu i tam go prądem albo coś innego". Panowie jadą po pożyczkę do siostry dłużnika, Wioletty Z., ale ona też nie chce zapłacić. W odpowiedzi słyszy, że współpracownik abortera spali jej dom i zrobi krzywdę bratu. Gdy mężczyźni się oddalą, pani Wioletta natychmiast idzie na policję.

ABORTER Z WYROKIEM SĄDZI SIĘ O SWOJE DOBRE IMIĘ

Okazuje się, że A. nielegalnie aborto-wał co najmniej 90 dzieci. Policja sprawdza billingi i znajduje blisko 100 kobiet. W śledztwie opowiadają wszystko, podają też, ile musiały zapłacić za zabicie swoich dzieci. Na współpracę z organami ścigania idzie też pielęgniarka, która pomagała A., a która teraz bardzo boi się o siebie. Na 100 proc. udaje się udowodnić ok. 20 aborcji.

Sąd w Gdańsku obchodzi się z aborterem łagodnie. Choć prokurator podkreśla dużą szkodliwość społeczną czynów i wskazuje na okoliczności obciążające A. w znacznym stopniu, to jednak wyrok jest śmiesznie niski: dwa lata więzienia w zawieszeniu na pięć lat. Do tego 1 tys. zł grzywny, przepadek mienia czerpanego z przestępstwa – w wysokości 11 tys. zł oraz dozór kuratora. I najważniejsze: Piotr A. może dalej prowadzić praktykę jako ginekolog, bo mimo stosownego wniosku prokuratury sędzia nie odbiera mu prawa wykonywania zawodu. Nawet na symboliczny okres kilku miesięcy lub lat!

Ile trzeba mieć w sobie pychy i buty? I jak bardzo pewnie trzeba się czuć w lokalnym układzie policja-prokuratura-sądy, aby mieć na koncie wyrok za aborcję, a mimo to mieć czelność ścigać kobiety, które ostrzegają się wzajemnie przed tego rodzaju „usługami"?

A. jest pewny swego. I już w pierwszej instancji uzyskuje wyrok skazujący Weronikę. W trakcie procesu dochodzi do symptomatycznych wydarzeń. Podczas jednej z rozpraw sędzia Sądu Rejonowego w Starogardzie Gdańskim, Wojciech Jankowski, spontanicznie wysyła policjantów pod budynek, gdzie odbywa się pikieta pro-life wspierająca oskarżoną. Funkcjonariusze doprowadzają na rozprawę jedną z manifestujących, a sędzia zaczyna ją przesłuchiwać. Daje jej do ręki wyniki badań Weroniki i każe interpretować, choć dziewczyna nie jest lekarzem. Pyta też, kiedy się zaczyna życie. To niejedyne przedziwne zdarzenie na sali rozpraw, niestety, nie o wszystkich mogą się państwo dowiedzieć, bo sprawa toczy się z wyłączeniem jawności. Proszę po prostu przyjąć, że chwilami bywało niestandardowo… Na koniec sędzia Jankowski uznaje oskarżoną za winną zniesławienia, zasądza jej zwrot 1812 zł kosztów procesu dla abortera, dorzuca cztery miesiące prac społecznych oraz nakazuje publiczne przeprosiny. I tak to właśnie ofiara ma zadośćuczynić sprawcy.

Czy ktoś choć przez chwilę zastanowił się, co czuje dziecko, które dowiaduje się, że matka ma wyrok, bo nie zgodziła się go zabić?

W Sądzie Okręgowym w Gdańsku wyrok zostaje podtrzymany. Sędzia Mariusz Kaźmierczak zmniejsza jedynie wymiar kary z czterech do trzech miesięcy, pozostałe punkty utrzymując w mocy. Wyrok staje się prawomocny. Kasację do Sądu Najwyższego mógłby złożyć prokurator generalny (Waldemar Żurek) lub rzecznik praw obywatelskich (Marcin Wiącek). Jednak obaj panowie angażują się w działania polityczne za aborcją i jest jasne, że żadnej kasacji nie będzie.

DZIECKO PYTA MAMĘ, ZA CO JEST TEN WYROK

Weronika już zadeklarowała, że nie przeprosi abortera. Wystarczy, że musiała tłumaczyć swojemu synowi, za co została skazana. To kolejny wątek w sprawie: Czy ktoś choć przez chwilę zastanowił się, co czuje dziecko, które dowiaduje się, że matka ma wyrok, bo nie zgodziła się go zabić, a potem ostrzegła przed zabójcą inne mamy?

Co grozi skazanej, gdy nie będzie wykonywała wyroku? Komornik ściągnie z konta pieniądze – aż do skutku, do pełnej zasądzonej kwoty z odsetkami. Natomiast sąd będzie mógł postanowić o umieszczeniu skazanej w zakładzie karnym. Który sąd? Ten znajomy, w Starogardzie Gdańskim. Z pewnością zasądzi prawidłowo, a troje dzieci przez bliżej nieokreślony czas będzie musiało poradzić sobie bez mamy.

Jest jedno rozwiązanie, które położyłoby kres wszystkim absurdom, które już zaistniały. Chodzi o ułaskawienie Weroniki przez prezydenta Karola Nawrockiego. Prawo łaski jest właśnie po to, aby usuwać rażącą niesprawiedliwość, jeśli taka wystąpi w sądzie. Jest po to, by korygować błędy sędziów, a te błędy w opisywanej sprawie są aż nadto widoczne, są uderzające.

Jeśli nie zastosować prawa łaski wobec matki, która odmówiła zabicia własnego syna, a potem ostrzegła inne kobiety przed aborterem i za to właśnie dostała wyrok, to wobec kogo miałoby być zastosowane to prawo? Nie ma sytuacji bardziej odpowiedniej.

Donald Trump już kilkadziesiąt godzin po zaprzysiężeniu wypuścił z więzień obrońców życia, których wsadzili tam ludzie Joe Bidena. „To wielki zaszczyt móc to podpisać" – powiedział amerykański przywódca, składając podpis przed kamerami.

ŻYCZENIA DLA MINISTRA ŻURKA

Pełnomocnik Piotra A., adwokat Krzysztof Woliński, na swoim Facebooku 8 października, już po prawomocnym wyroku wobec Weroniki, wstawia publiczny post: zdjęcie dyń leżących równo w rządku na polu, gotowych do zbioru. Obok zdjęcia Woliński pisze: „Ile dyń na polu , tyle życzeń dla Pana Ministra Żurka : bogatych plonów w dobrej robocie , żeby między Władzą Sądowniczą i Wykonawczą zapanował ład i porządek jak na załączonej fotce . Serdeczności Pani Ministrze !" [ortografia i interpunkcja oryginalne].

Przesympatyczne!

Panie Prezydencie, matka bohaterka czeka na Pański ruch.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest Członkiem Zarządu Fundacji Życie i Rodzina (www.RatujZycie.pl).

eprasa.pl 43498c26b4

Kochać i chronić

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

4 listopada 2025 r., Kielce

Wojewódzki Dom Kultury im. Józefa Piłsudskiego

Na Gali nagrodzimy najlepsze inicjatywy, ludzi, organizacje i firmy z województwa świętokrzyskiego działające na rzecz ochrony dzieci i młodzieży, dzięki którym ich dzieciństwo jest harmonijne a świat bezpieczny. Widzimy w naszych dzieciach przyszłość dla wszystkich dzieł naszego życia.
W każdym narodzie istnieje cel nadrzędny, czyli szczęśliwe i bezpieczne dzieci wychowywane przez kochające rodziny, wśród prawdziwych przyjaciół, pedagogów, w przyjaznych placówkach oświatowych i otoczeniu. Wychowanie to musi być osadzone mocno w wartościach bliskich także redakcji tygodnika „Do Rzeczy".

PARTNER GŁÓWNY

URZĄD MARSZAŁKOWSKI WOJEWÓDZTWA ŚWIĘTOKRZYSKIEGO

PATRONAT HONOROWY

PATRONAT MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA ŚWIĘTOKRZYSKIEGO RENATY JANIK

PARTNER

WDK Wojewódzki Dom Kultury w Kielcach

eprasa.pl 43498c26b4

Z dr. Dariuszem Cupiałem, założycielem Tato.Net
rozmawia Radosław Wojtas

Ojcostwo jest sprawą publiczną

RADOSŁAW WOJTAS: Upraszczając, można powiedzieć, że Tato.Net to społeczność mężczyzn, którzy chcą być lepszymi ojcami. Co przyciąga dziś mężczyzn do takich społeczności?

DR DARIUSZ CUPIAŁ: Potrzeba inspiracji i wspólnoty. Mężczyźni zawsze czerpali od innych mężczyzn mądrość, doświadczenie, wzorce. Ojciec w naszej kulturze nigdy nie był samotnym wilkiem. Istniały pewne struktury, które pomagały chłopcom stawać się mężczyznami, a mężczyznom – ojcami. Ojczyzna to dziedzictwo ojców, to ziemia ojców. Świat się zmienił, struktury te się załamały. Ale jedno się nie zmieniło – ojciec jest ważny, podobnie jak matka, zarówno w życiu syna, jak i w życiu córki.

Współcześni mężczyźni to samotnicy, którzy rozwiązują swoje problemy w pojedynkę i po cichu?

I tak, i nie. Niezmiernie ważne jest, aby współczesny mężczyzna miał możliwość znalezienia wsparcia wspólnoty i odkrycia, że jako ojciec nie jest samotną wyspą. Ma społeczność, która może być dla niego wsparciem i dla której on może być wsparciem. Dyskurs o ojcostwie często spycha się dziś do narożnika, w którym jedynym tematem jest schemat, w którym ojciec w indywidualnej gonitwie za pieniędzmi, pozycją społeczną, zapomina o dzieciach i jest w ich życiu nieobecny. Tak się oczywiście zdarza, ale nie sposób tematu rodzicielstwa spłycić tylko do takiego poziomu. Ojcostwo jest sprawą publiczną, bo takie będą Rzeczpospolite, takie ich młodzieży chowanie, jakie będzie ojcostwo. Silni, odporni ojcowie to silne dzieci i rodziny, to następnie silna ojczyzna.

Nie każdy ma dobre wzorce, ale jeśli są dobre, to może wystarczy kierować się tym, co robili nasi ojcowie?

Dobre wzorce i mądrość naszych rodziców i dziadków są bardzo cenne (jeżeli je mamy i jeżeli przeszliśmy suchą stopą przez Morze Czerwone komunizmu). Dzisiaj żyjemy w czasie dynamicznych zmian w każdym obszarze. Mężczyzn, którzy wchodzili na drogę ojcostwa 10 lat temu, dzielą już lata świetlne od mężczyzn, którzy zostają ojcami dziś. Żyjąc w świecie, w którym jedynym pewnikiem jest zmiana, przemyślenie tematu ojcostwa jest kwestią priorytetową i strategiczną. Pewne schematy, skrypty, struktury, które działały w epoce naszych ojców i dziadków, a nawet w dwóch ostatnich dekadach, dziś już nie zadziałają. Na tegorocznym 17. Międzynarodowym Forum Tato.Net pod hasłem: „BYĆ i CHCIEĆ – Obecność, która buduje Odporność" rozmawialiśmy np. o wyzwaniach ojców w epoce AI, o których jeszcze 10 lat temu nikt nie myślał.

Krąży taki gorzki mem: „Dla facetów 40 lat to świetny wiek. Jeden zostaje dziadkiem, u drugiego rodzi się dziecko, a trzeciemu matka do tej pory szuka żony". Żaden z tych modeli dziś nie dziwi. Gdzie ci mężczyźni? – można zapytać. Co się stało z wzorem męskości?

W Tato.Net skupiamy się na odkrywaniu ojcostwa, które jest dla mężczyzny zasadniczym obszarem życiowego spełnienia, mimo tendencji, które obserwujemy dziś w kulturze masowej, a które mówią, że można się realizować i spełniać jako mężczyzna bez podejmowania roli ojca. Niektórym marzy się powrót do dekadencji patriarchalnej, czegoś, co było 100 czy 200 lat temu, ale to się nigdy nie uda. To mrzonki takie same jak podejmowane z drugiej strony próby unieważnienia wartości, na których zbudowana jest nasza cywilizacja. Myślę, że warto poważnie potraktować słowa Zbigniewa Herberta, który mówił, że cywilizacja europejska ostoi się jedynie wówczas, gdy wróci do etosu rycerskiego.

Tylko że z całych sił stara się nas do takich wartości, tak jak do ojcostwa, zniechęcać. Ostatnio znów czytałem na jednym z portali artykuł o tym, jakim strasznym, najgorszym wręcz koszmarem dla rodziców, i w ogóle dla Polaków, są dzieci.

Nasze społeczeństwo potrzebuje wzmocnić swoją odporność na odradzające się wpływy antynatalistyczne, które usiłują wszczepić w myślenie młodego pokolenia paradygmat, że ludzie powinni zrezygnować z prokreacji, ponieważ jest ona moralnie zła. Taki jest dziś świat, kreowany przez media. Na szczęście w naszym społeczeństwie mamy wiele przykładów pięknych rodzin, które świadczą o pięknie i dobru, które niosą ojcostwo i macierzyństwo. A w moim środowisku współpracuję z wieloma mężczyznami, którzy spełniają się w ojcostwie. Spotykam także mężczyzn, którzy bardzo cierpią z powodu tego, że nie mogą mieć dzieci. Takich przypadków jest coraz więcej. Jak mówi klasyk biznesu, Stephen Covey, patrząc z perspektywy końca na

eprasa.pl 43498c26b4

całe nasze życie, nie będziemy żałować, że za mało czasu poświęciliśmy na jakiś projekt biznesowy, ale że nie poświęciliśmy dość czasu najbliższym, albo że trwałe więzi z innymi, takie jak właśnie ojcostwo, w ogóle w naszym życiu nie zafunkcjonowały.

Od ojców często oczekuje się dziś, że będą drugą mamą. Rodzicem numer dwa. A przecież rola ojca i rola matki są i powinny być różne.

Lubię powtarzać, że tata nie jest „mamą bis", a zdarza się, że oczekuje się od niego, iż będzie pomocnikiem „rodzica numer jeden". Z takim oczekiwaniem mężczyźni spotykają się nie tylko ze strony swoich żon, lecz także ze strony różnych instytucji. Mężczyzna, który bierze odpowiedzialność za swoje potomstwo, bywa traktowany jak pomocnik. Trzeba to zmienić. Dziecko, które rozwija się w obecności i miłości obojga rodziców, którzy pozostają sobą: ojcem i matką, mężczyzną i kobietą, otrzymuje zupełnie inną stymulację do rozwoju. Badania naukowe, w tym z dziedziny neurobiologii, potwierdzają, że dziecku do prawidłowego rozwoju potrzebni są mama i tata. Tata, który nie jest jedynie „kopią", zastępcą mamy, ale jest sobą i pozwala nabierać dziecku kompetencji w odmienny od mamy, ale nie sprzeczny, bo komplementarny sposób. Już od okresu niemowlęcego ojciec, który pielęgnuje dziecko, bawiąc się z nim, czytając mu czy karmiąc i kąpiąc je, dostarcza zupełnie inne bodźce rozwojowe niż te, które dziecko dostaje od matki. I tu nie chodzi o żadne konkurowanie mamy i taty, ale o komplementarność, a ostatecznie o zdrowie, siłę i odporność dziecka.

A tymczasem w Kanadzie sąd stwierdza, że dyskryminowanie „rodzin wielorodzicielskich" jest niekonstytucyjne, i zezwala trzem mężczyznom na adopcję kilkuletniej dziewczynki. Dziecko wychowa się bez matki, ale za to będzie miało trzech „tatusiów".

Za 20–30 lat, a może i wcześniej przekonamy się, jakie będą konsekwencje takich decyzji. Obawiam się, że nie będzie to nic dobrego, zwłaszcza dla dzieci, których takie decyzje dotykają bezpośrednio. Przed laty obserwowałem dramat pewnej rodziny, w której trzy pokolenia samotnych matek mieszkały razem. Dwie starsze panie były matkami córek. I w trzecim pokoleniu pod tym dachem pojawił się chłopczyk. Jakie cechy męskie może ten chłopiec w sobie wykształcić w relacji z mamą, babką i prababką? Jak bardzo zniewieściały będzie? Zwłaszcza że pójdzie do przedszkola, później do szkoły, gdzie mężczyzn jest jak na lekarstwo, bo przeważają panie nauczycielki. Tacy chłopcy szukają swoich dróg tożsamościowych po omacku i często podejmują złe decyzje, krzywdząc siebie i innych. Z takich przykładów jak ten z Kanady powinniśmy wyciągać wnioski i tworzyć dla naszej rodziny jej własny system immunologiczny, jeśli nie chcemy, żeby nasza rodzina zainfekowała się takim światem.

Trudne zadanie, gdy ten system immunologiczny jest atakowany ze wszystkich stron.

Tak, ale mamy w sobie odporność społeczną i pamięć, która pomogła nam przetrwać zabory, wojny, komunizm. Już to w Polsce praktykowaliśmy w czasach PRL, kiedy powstawały różne ruchy dające opór komunizmowi. Na czele z działaniami ks. Franciszka Blachnickiego, który np. rozpoczął kampanię promującą abstynencję. Te działania, podejmowane w skrajnie niesprzyjającym środowisku, poprzedziły powstanie Solidarności i budowały nasz narodowy system immunologiczny. Wszystko zaczyna się w rodzinie. Tak jak rodzice dbają o wykształcenie, kondycję fizyczną, dietę swoich dzieci, tak powinni zadbać o ich odporność na treści, które konsumują w Internecie, o dietę, ale cyfrową. A także o duchowość. Życie nie jest sielanką, przynosi brutalne wydarzenia, musimy znaleźć w sobie siłę, by stawić im czoła, a wiara bez wątpienia daje taką siłę.

Czym są Ojcowskie Kluby Tato.Net?

Ojcowski Klub Tato.Net to lokalna wspólnota mężczyzn, którzy regularnie spotykają się, by wspierać się w roli ojca, wymieniać doświadczenia i rozwijać swoje kompetencje rodzicielskie. Omawiając aktualne wyzwania i gorące ojcowskie tematy, szukają optymalnych rozwiązań, dzielą się praktyką życia i wierzą w mądrość grupy, która inspiruje do bycia coraz lepszym tatą. To coś więcej niż męskie rozmowy i wspólne spędzanie czasu. To wspólnoty przyszłości – miejsca, gdzie rodzi się nowa kultura ojcostwa. W świecie narastającej samotności, anonimowości i relacji o-line to właśnie tutaj mężczyźni odzyskują sens wspólnoty i obecności. W O.K. Tato.Net przyszli i obecni ojcowie budują fundamenty dla kolejnych pokoleń – świat, w którym młodzi mężczyźni będą pragnęli i mogli być ojcami. Świat, w którym „być" i „wspólnie" znów staną się ważniejsze niż „mieć" i „indywidualnie". To ruch, który łączy pokolenia i przywraca nadzieję – że prawdziwa siła ojca tkwi w relacji, a nie w roli. Coraz więcej mężczyzn uświadamia sobie, że ojcem się nikt nie rodzi, że trzeba się tego uczyć, i wybiera też warsztaty Tato.Net, poświęca dzień czy cały weekend, by pracować nad sobą, a to najcięższa forma pracy dla każdego mężczyzny.

Jedną z rzeczy, których uczycie, jest to, aby rodzice, którzy mają kilkoro dzieci, nie zapominali o spędzaniu czasu z każdym z nich na osobności. Dlaczego to takie ważne?

Znam wiele takich dobrych praktyk, historii, ale przytoczę tylko jedną. Kiedyś zapytałem jednego z uczestników warsztatów dla ojców i nastoletnich córek, czy przyniosły mu wymierną korzyść. Powiedział, że uratowały jego dziecko. On jest bardzo zajętym człowiekiem, jego córki też mają dużo różnych aktywności. Dopiero kiedy poświęcił cały dzień tylko jednej z nich, ona otworzyła się przed nim i wyznała, że ma za sobą dwie próby samobójcze. W rodzinie szok, nikt nie miał o tym pojęcia. Znaleźli specjalistę, przepracowali ten temat, zaczęli budować swój rodzinny system immunologiczny. Młode pokolenie dramatycznie potrzebuje uważności. Potrzebuje ojców, którzy potrafią usłyszeć to, czego nie potrafi usłyszeć nikt inny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

FOT. EMIL WITTSTOCK

dr Dariusz Cupiał *– założyciel i prezes Fundacji Cyryla i Metodego, inicjator Tato.Net (https://tato.net), trener. Absolwent KUL. Członek Stowarzyszenia Innowatorów Społecznych ASHOKA oraz Stowarzyszenia Diakonia Światło-Życie. Jest autorem i współautorem wielu publikacji, m.in. „Kolumbowie naszego pokolenia" oraz „Czas na tatę". Uczestniczył w pracach Rady Rodziny przy Ministrze Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej oraz Narodowej Rady Rozwoju przy Prezydencie RP.*

eprasa.pl 43498c26b4

Sara Małecka-Trzaskoś zaczęła przychodzić do Sejmu w wieku 10 lat FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

Dziecko wciągnięte w polityczne gierki

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Na zasięgach generowanych w Internecie przez 12-letnią Sarę korzystali politycy różnych opcji. Rzecznik praw dziecka umywa ręce

Marcin Józefaciuk z KO, były minister sprawiedliwości Adam Bodnar, Marcin Horała z PiS, Miłosz Motyka z PSL, Dariusz Wieczorek z Lewicy, współprzewodniczący Partii Razem Adrian Zandberg, prezes Konfederacji Korony Polskiej Grzegorz Braun. To tylko część z dużej grupy posłów i przedstawicieli władzy, z którymi wywiady przeprowadziła Sara Małecka-Trzaskoś. Najszerszym echem odbiła się rozmowa z prezesem PiS, w której Jarosław Kaczyński powiedział: „Wolność słowa nie jest dla dzieci. Odejdź". Nie chciał rozmawiać z „reporterką", za co spadła na niego fala krytyki.

„Nie mogę tego przemilczeć, bo są to słowa szkodliwe i oczywiście nieuprawnione" – oburzał się były rzecznik praw dziecka Marek Michalak. Obecna RPD Monika Horna-Cieślak komentowała: „Chcę stanowczo podkreślić, że każde dziecko ma prawo do wyrażania swojego zdania, do zadawania pytań i uczestniczenia w życiu publicznym. To fundament demokratycznego społeczeństwa, które szanuje prawa człowieka i dąży do wychowania świadomych obywateli". Teraz okazuje się, że Kaczyński, nie chcąc wspierać „kariery" Sary, mógł mieć rację.

Rozmowy dziewczynki z politykami (ale nie tylko; są tam też materiały niebudzące kontrowersji, np. relacja z wizyty w zoo) można obejrzeć na jej koncie na TikToku „Perspektywa Sary". Szybko jednak okazuje się, że bardziej niż perspektywę dziewczynki poznajemy perspektywę jej rodziców, w opisie kanału czytamy: „Kanał »Perspektywa Sary« jest prowadzony przez rodziców Sary Małeckiej-Trzaskoś". Taka adnotacja pojawiła się dopiero po krótkim zawieszeniu konta (zgodnie z regulaminem z serwisu można korzystać od 13. roku życia).

FORMA TERAPII?

Dziecko zaczęło przychodzić do Sejmu w wieku 10 lat. Towarzyszyło swojemu ojcu. Franciszek Małecki-Trzaskoś był jej „operatorem". To postać związana ze światem mediów, pracował wówczas dla serwisu Iboma.media, prowadzonego przez byłego dziennikarza tygodnika „Nie". Dziewczynka wchodziła do Sejmu nie na podstawie stałej akredytacji dziennikarskiej, ale dzięki jednorazowym kartom wstępu dla mediów. Po rozmowie

eprasa.pl 43498c26b4

z prezesem PiS, oprócz oburzania się na Kaczyńskiego, zaczęto stawiać pytania, dlaczego dziewczynka z Gdańska, zamiast być w szkole, rozmawia w czasie godzin lekcyjnych z posłami w Warszawie. Trudne tematy, jak np. wojna na Ukrainie i prześladowania Żydów w PRL, również nie wydają się odpowiednie dla dziecka. Pod wpływem presji opinii publicznej szef Kancelarii Sejmu Jacek Cichocki w sierpniu 2024 r. odebrał Sarze prawo wejścia do Sejmu. Powołał się przy tym na zarządzenie o ochronie małoletnich w budynkach sejmowych, zgodnie z którym nie ma zgody na „złośliwą, agresywną i wulgarną komunikację z dziećmi". Zarządzenie głosi, że „rozmowy z najmłodszymi nie mogą wzbudzać też w najmłodszych poczucia winy, zagrożenia, obniżać ich poczucia wartości oraz upokarzać". Wcześniej ojciec Sary przekonywał w wywiadzie dla Wirtualnych Mediów, że edukacja córki ma się dobrze. „Sara spędza dwa dni w miesiącu nauki szkolnej na terenie parlamentu. W zasadzie jednak sprowadza się to do kilku godzin. W tym czasie nagrywa kilkanaście rozmów, które potem publikuje w sieci. Poza tym córka mieszka w Gdańsku, uczy się pilnie w szkole, a jednocześnie realizuje swoją pasję" – mówił Franciszek Małecki-Trzaskoś. Ojciec przekonuje, że Sara nie jest „projektem", a jej zaangażowanie narodziło się spontanicznie. „Sara mieszka jakieś 5 minut spacerku od Europejskiego Centrum Solidarności. Kiedy po raz pierwszy zobaczyła ECS w bramie Stoczni Gdańskiej, to z tablicy postulatów utkwiła jej w pamięci wolność słowa. Kiedy zorientowała się, że moja praca polega na obecności w Sejmie (kręciliśmy film o pandemii), stwierdziła, że też by chciała tam być. Powiedziała: »Chcę rozmawiać z politykami, chcę zadawać pytania«" – przekonywał. Ojciec przyznał, że dziewczynka cierpi na afazję, czyli zaburzenia mowy. Twierdził, że ganianie po korytarzach za posłami (dosłownie ganianie; autorka niniejszego tekstu zna „pościgi" za politykami z sejmowego doświadczenia), to... forma terapii logopedycznej. Zapewniał, że córka nie czyta hejterskich komentarzy na swój temat pod filmami.

Po tym, gdy Sara pojawiła się w Sejmie, „Tygodnik Powszechny" opublikował duży materiał poświęcony jej rodzinie. Okazuje się, że „Perspektywa Sary" nie jest pierwszą próbą wykreowania dziecka na internetową gwiazdę. W przeszłości tematem były jej trudności. Rodzice prowadzili konto w jednym z serwisów, gdzie udostępniali wiele treści, również tych mocno prywatnych. Na jednym z nagrań „widać, jak matka zmusza wówczas czteroletnią córkę do nauki pisania, przytrzymując jej rękę. Na innych, jak przymusza pięcioletnie dziecko do ćwiczeń logopedycznych, przytrzymując obie ręce Sary i siłą odwracając jej głowę, gdy dziewczynka chce spojrzeć w bok". „Rodzice udostępnili też dyplom z danymi dziecka, a także informacje o poradniach psychologiczno-pedagogicznych, ośrodku terapii behawioralnej, przedszkolu, a następnie szkole córki" – opisywał „TP". Dziecko było pokazywane internautom podczas snu, u dentysty, w kostiumie kąpielowym. Coraz więcej osób apelowało do Moniki Horny-Cieślak o reakcję, jednak rzecznik praw dziecka stwierdziła, że należy dbać o prywatność Sary (sic!) i chce się „wsłuchać w głos dziecka". Wcześniej sama RPD udzieliła dziewczynce wywiadu. Może stąd powściągliwość?

KONFLIKT W SZKOLE

Niedawno kulisy funkcjonowania dziewczynki w gdańskiej podstawówce opisała trójmiejska „Gazeta Wyborcza". Przyczyną trudności mają być rodzice. „Wychowawczynie w klasie trzeciej oraz czwartej, do której uczęszcza Sara, zrezygnowały z pracy w naszej szkole ze względu na działalność jej rodziców. Były zasypywane pismami i uwagami na temat pracy szkoły, sposobu oceniania, organizacji klasowych wyjść. Odbywało się to przez cały rok szkolny, w wakacje, w święta. Utrudniało naukę, pracę i funkcjonowanie klasy" – opowiadają anonimowo rodzice innych uczniów. Jedna z byłych wychowawczyń miała bać się otworzyć dziennik elektroniczny, „bo czekały tam na nią wiadomości od rodziców Sary z pytaniami na każdy możliwy temat". Pisma miały być też kierowane do dyrekcji szkoły i Kuratorium Oświaty w Gdańsku. „Wszyscy mamy już tej sytuacji dość, jesteśmy na krawędzi psychicznej wytrzymałości. Naprawdę myślimy o zwolnieniu się z pracy w tej szkole" – opowiada jeden z nauczycieli. Dyrektor placówki próbowała mediować. Organizowano spotkania rodziców, poproszono też o wsparcie Gdańskie Centrum Mediacji Szkolnej i Rówieśniczej, jednak wszystko na nic.

Według „GW" w ubiegłym roku szkolnym rodzice innych uczniów z klasy Sary domagali się jej przeniesienia. „Sara buntuje inne dzieci przeciw nauczycielom, wciąga w politykę, która na tym etapie rozwoju nie powinna być istotną częścią ich życia" – wyjaśniają. Gazeta dotarła do treści pisma do dyrekcji. Wskazano w nim, że uczennica „pod wpływem swoich bliskich promuje w klasie treści polityczne, co wprowadza w klasie zamęt i prowadzi do podziałów społecznych już w podstawówce". Sama 12-latka ma mówić dzieciom, że jej ojciec złoży pozew do sądu, „przedstawiając grono pedagogiczne jako niekompetentne". Nauczyciele mają czuć się straszeni, co prowadzi do tego, że nie chcą organizować wspólnych klasowych wyjść ani wycieczek. To jednak nie koniec.

„Wyborcza" relacjonuje, że rodzice Sary skierowali do Sądu Rejonowego w Gdańsku prywatny akt oskarżenia, obejmujący 50 osób ze środowiska szkolnego. Imiennie wskazano dwie osoby – dyrektor szkoły i jednego z rodziców. „Sarę zniesławili zarówno rodzice jej koleżanek i kolegów, jak i osoby z grona pedagogicznego, w tym honorowy profesor oświaty pani dyrektor szkoły podstawowej" – przekazał pełnomocnik Małeckich-Trzaskoś, Tomasz Kuśmierek. I dodał: „Czynność zniesławienia odbyła się m.in. przez podpisanie przez osoby oskarżone listu skierowanego do Kuratorium Oświaty w Gdańsku, a zawierającego dalece nieprawdziwie i zniesławiające sformułowania pod adresem moich klientów". Prawnik wyjaśnił, że ustalenie tożsamości innych podpisanych pod pismem do kuratorium było niemożliwe, dlatego ich tożsamość ma ustalić sąd albo policja.

Pierwszą rozprawę zaplanowano na grudzień. Wtedy sąd zdecyduje, czy w ogóle zająć się sprawą. Szkoła nie pozostaje bierna. Na jej wniosek przed Sądem Rejonowym w Gdańsku toczy się postępowanie o ograniczenie rodzicom Sary praw rodzicielskich. „Jest w toku. W sprawie nie zapadło jeszcze orzeczenie kończące merytorycznie postępowanie" – poinformował sędzia Mariusz Kaźmierczak, rzecznik Sądu Okręgowego w Gdańsku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 43498c26b4

Piotr Gociek

W stulecie premiery dzięki Maciejowi Świerkockiemu dostaliśmy nowy przekład najsłynniejszej powieści F. Scotta Fitzgeralda

Ten wielki Gatsby

FOT. BRIDGEMAN IMAGES – RDA/FORUM

Moja powieść jest tajemnicą dla wszystkich" – pisał F. Scott Fitzgerald do córki w grudniu 1940 r. Miał na myśli książkę „Ostatni z wielkich", nad którą wtedy pracował i której nie ukończył – to, co napisał, ukazało się już po jego śmierci. Ale słowa te idealnie pasują też do najsłynniejszego dzieła Fitzgeralda, powieści „Wielki Gatsby". Wydane 100 lat temu arcydzieło literatury amerykańskiej właśnie doczekało się nowego przekładu, a przy okazji i nowego tytułu, bo Maciej Świerkocki nadał swemu tłumaczeniu tytuł „Ten Wielki Gatsby".

Jest bowiem powieść Fitzgeralda czytana i analizowana od ponad 100 lat i wciąż wymyka się jakiejś jednej definitywnej interpretacji. Niby wszystko wiemy: powieść przecież nie jest trudna w lekturze i tak wielu ją czytało, że dzieje jej powstania i miejsce w biografii Fitzgeralda opisano wiele razy. Jej złożoność umyka natomiast oczywiście tym, którzy znają jedynie adaptacje filmowe, albo tym, którym owe adaptacje przesłoniły czytany kiedyś, dawno, dawno temu, oryginał. „Wielki Gatsby jest niewyczerpany" – napisał w 1985 r. Matthew J. Bruccoli, krytyk, który… całe życie poświęcił badaniu spuścizny Fitzgeralda, ze szczególnym uwzględnieniem „Gatsby'ego". I tak dalej.

Dlaczego? Czemu akurat „Ten Wielki Gatsby" tak rozpala naszą wyobraźnię: trzecia z pięciu powieści pisarza, który był jednym z największych skarbów swego pokolenia, tak jak Hemingway, tak jak Faulkner. Jorge Luis Borges w swoim „Wstępie do literatury amerykańskiej" uważa, że lepsza jest późniejsza o dziewięć lat powieść Fitzgeralda „Czuła jest noc". Mario Vargas Llosa widzi geniusz pisarza przede wszystkim w jego debiutanckiej powieści „Po tej stronie raju", która jego zdaniem jest zapowiedzią arcydzieł, ale nigdy ostatecznie nienapisanych. Co nie zmienia faktu, że jest „Gatsbym" zafascynowany i poświęcił książce krótki esej, w którym – wytykając słabości powieści – broni jej zarazem, wskazując te same kwestie jako jej… zalety. I tak dalej.

BOGACI KONTRA BIEDNI

Nie będę psuł czytelnikowi przyjemności, jaką będzie lektura obszernego posłowia, którym Maciej Świerkocki opatrzył nowe tłumaczenie („Wielkość mniemana albo naiwność Gatsby'ego"). Jest to tekst świetny i pełen zaskakujących informacji tudzież nieoczywistych interpretacji (które po spojrzeniu potem w tekst powieści wydają się naraz oczywiste). Ja na własną rękę spróbuję zrekapitulować najważniejsze warstwy znaczeń – a jest ich wiele.

Tym, co wybija się na plan pierwszy, jest oczywiście miłość Jaya Gatsby'ego do Daisy: miłość młodzieńcza, miłość gorąca, miłość nieprzemijająca. Ileż byśmy próbowali podważyć jej realność,

eprasa.pl 43498c26b4

mówiąc, że to symbol marzenia Gatsby'ego o wejściu w świat klas wyższych, i tak nie możemy zaprzeczyć: Gatsby kocha Daisy. Kocha ją szaleńczo. Jest to oczywiście mezalians, jest to też odbicie kłopotów miłosnych samego Fitzgeralda: za młodu zakochał się w dziedziczce z bogatego rodu Ginewrze King (ze wzajemnością), ale romans przecięli rodzice. „Biedni chłopcy nie powinni nawet myśleć o poślubieniu bogatych dziewcząt" – miał powiedzieć ojciec Ginewry. Sytuacja powtórzyła się, gdy Fitzgerald poznał swą przyszłą żonę, Zeldę. Tyle że to ona sama uważała, że Fitzgerald nigdy nie będzie sławny i bogaty, więc nie zapewni jej życia, jakiego oczekiwała.

Powieściowy Gatsby – w odróżnieniu od pisarza – bogaci się na tyle, by rzucić wyzwanie najbogatszym rodom. Tu jednak pojawia się kolejny wielki temat, nie tylko powieści Fitzgeralda, ale w ogóle amerykańskiej literatury: starcie starych pieniędzy z nowymi. Jay Gatsby pozostaje nuworyszem i, owszem, może wydawać najwspanialsze przyjęcia, mieszkać w bajkowym zamku i szastać gotówką, ale nie zmienia to faktu, że w oczach „starych pieniędzy" jest nikim. Tak jak w słowach Toma Buchanana, który bogatej wersji Gatsby'ego rzuca w twarz: „Niech mnie szlag trafi, jeżeli wiem, jak żeś się do niej [Daisy – przyp. P.G.] zbliżył bardziej niż na milę, chyba że dowoziłeś produkty spożywcze pod tylne drzwi domu jej rodziców".

Bogaci nie akceptują tych, którzy dopiero się bogacą lub niedawno wzbogacili, co wyprowadza nas na kolejne pole tematyczne, czy relacji bogaci – biedni, następnej kwestii kluczowej już nawet nie tylko dla powieści Fitzgeralda, lecz także dla jego biografii i całej spuścizny literackiej. Fitzgerald nie tylko zazdrościł bogaczom i pragnął wejść między nich, on także ich głęboko podziwiał. Popularna jest anegdota o wymianie zdań na ten temat między Fitzgeraldem a Hemingwayem. Ten pierwszy miał rzec: „Bogaci są inni niż my", a drugi odrzec: „Tak, mają więcej pieniędzy". Do takiej rozmowy jednak nigdy nie doszło, choć różnica opinii miała miejsce.

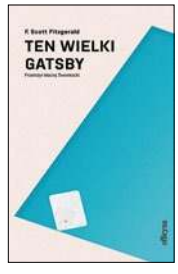

FRANCIS SCOTT FITZGERALD „TEN WIELKI GATSBY" OFFICYNA 2025

Otóż w roku 1925 (rok premiery „Gatsby'ego") F. Scott Fitzgerald pisał na łamach „Redbook Magazine": „Opowiem wam o bardzo bogatych. Są inni niż my. Posiadają i cieszą się od samego początku, a to w nich coś zmienia, czyni ich miękkimi, podczas gdy my jesteśmy twardzi. I czyni ich to cynicznymi, podczas gdy my jesteśmy ufni, w sposób, który, jeśli nie urodziłeś się bogaty, jest bardzo trudny do zrozumienia […]. Nawet gdy zagłębiają się w nasz świat lub toną w nas, nadal myślą, że są lepsi od nas. Są inni".

Odpowiedź ze strony Hemingwaya nadeszła ponad dekadę później, kiedy czytelnicy w pierwszej wersji opowiadania „Śniegi Kilimandżaro" opublikowanej w „Esquire" (1936) padły takie oto słowa: „Bogaci byli nudni i pili za dużo albo grali za dużo w tryktraka. Byli nudni i powtarzalni. Pamiętał biednego Scotta Fitzgeralda i jego romantyczny podziw dla nich, i to, jak kiedyś zaczął historię, która zaczynała się od słów: »Bardzo bogaci różnią się od ciebie i mnie«. I jak ktoś powiedział Scottowi: »Tak, mają więcej pieniędzy«. Ale to nie było zabawne dla Scotta. Uważał ich za wspaniałych".

Fitzgerald dostał szału, a sytuacja eskalowała potem do takiego poziomu, że w książkowych wydaniach opowiadania Hemingwaya dostajemy już inną wersję, która brzmi: „Pamiętał dobrze biednego Juliana i jego romantyczny strach przed tymi kobietami, i opowiadanie, które napisał, a które zaczynało się od słów: »Ludzie bardzo bogaci są zupełnie inni niż ty czy ja«. I jak ktoś na to odpowiedział Julianowi: »Oczywiście, bo mają więcej pieniędzy«. Ale Julian nie uważał tego wcale za śmieszne. Był przekonany, że bogaci mają jakiś specjalny urok, a gdy przekonał się później, że tak nie jest, świadomość ta złamała go zupełnie" (tłumaczenie Miry Michałowskiej).

LAMENT NAD UTRACONĄ NIEWINNOŚCIĄ

Hemingway miał rację. Fitzgerald uważał bogatych za wspaniałych, był przekonany, że mają jakiś specjalny urok, zresztą nie on jeden, rzecz to charakterystyczna dla pisarzy wspinających się mozolnie ze społecznych nizin. Wspomnijmy choćby biednego za młodu jak mysz kościelna George'a Orwella, który każe bohaterowi powieści „Wiwat aspidistra!" pomyśleć na widok bogatego klienta: „Posiadał pewien rodzaj wdzięku, pewien urok, jak wszyscy zamożni ludzie. Pieniądze i wdzięk; któż je rozdzieli?". Hemingway miał też rację, pisząc o złamanym Fitzgeraldzie. U schyłku życia Fitzgerald spotkał się ponownie z Ginewrą King. On próbował wtedy robić karierę w Hollywood, ona była po rozwodzie. Z tej próby ponownego rozniecenia ognia przez zapijaczonego Gatsby'ego i odartą ze złudzeń Daisy oczywiście nic nie wyszło.

Powieściowy Gatsby – w odróżnieniu od pisarza – bogaci się na tyle, by rzucić wyzwanie najbogatszym

Gatsby jawi się, mimo tragicznego finału życia, postacią sympatyczniejszą niż Fiztgerald: w powieści wszyscy wokół pragną być bogaci lub swoje bogactwo i wyjątkowość ocalić; on jeden uważa pieniądze tylko za środek do celu. A tym celem jest ukochana Daisy. Jedni nazwą to zaślepieniem, inni naiwnością – tak czy inaczej, jest to jeden z powodów, dla których czytelnicy kochają Gatsby'ego.

I jeszcze jeden wielki temat tej książki: w swoim lamencie nad utraconą niewinnością, dawnym ładem, życiem prostym, które teraz zniszczone zostało przez bezduszną nowoczesność, jest „Ten Wielki Gatsby" także jeremiadą. Należy zatem do gatunku tak ukochanego przez Amerykanów, którzy od chwili założenia nowego świata żyją w rozdarciu między obietnicą nowego początku i utopią miasta na górze a rozczarowaniem tym, co przyniosła jego ekspansja. Prowadzi nas to do nieuniknionych pytań o starcie tradycji z nowoczesnością i o modernizację jako proces niszczący. Z tej perspektywy powieść Fitzgeralda przypomina o pytaniach, które bliskie są (i były) także Polakom. Zmagał się z nimi Prus (nie tylko w „Lalce", jakże zresztą „pregatsby'owskiej" powieści) czy Dmowski. Zmagamy się i my, patrząc na świat, który miał być zielonym pastwiskiem, a jest – doliną popiołów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 43498c26b4

Nowacka na Placu Broni

„Chłopcy z Placu Broni", reż. Zoltán Fábri, Węgry, USA 1969

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Krzysztof Masłoń

W wiekopomnym dziele oczyszczania naszej szkoły z miazmatów wydzielanych przez szkodliwe lektury ministra Barbara Nowacka i wynajęte przez nią służby deratyzacyjne wyraźnie prześlepiły „Chłopców z Placu Broni". Pewnie dlatego, że książka ta nie przynależy do literatury polskiej, napisana została przez Węgra, 119 lat temu, i prawem kaduka uchodzi za klasyczną pozycję literatury dla dzieci i młodzieży.

Uczy ona rzekomo wierności w przyjaźni, solidarności, przestrzegania życiowych zasad, a nade wszystko patriotyzmu. A naprawdę budapeszteńska gówniażeria, czyli tytułowi chłopcy z Placu Broni, walczy o miejsce do gry w palanta, popularnego widać w końcu XIX stulecia, kiedy to toczy się akcja tego napisanego na kolanie powieścidła, a właściwie powieścidełka, bo rzecz jest nie za długa i to stanowi jedyną jej zaletę.

Gromadka chłopców pod przywództwem 14-letniego Janosza Boki obrzuca bombami z piasku drugą małoletnią zbieraninę z Ogrodu Botanicznego. Tą dowodzi niejaki Ferenc Asz, a nazywają się Czerwonymi Koszulami, niczym garibaldczycy. Ponieważ funkcjonują cztery tłumaczenia książki na polski, czytelnicy wersji najstarszej są przekonani, że chodzi o czerwonoskórych, co oczywiście jest fałszem, bo to nie Indianie. Ale czy to ma jakiekolwiek znaczenie? Niby tak, bo po latach inny węgierski pisarz – Péter Esterházy – stwierdzi (w „Harmonii Caelestis"): „Diabelnie trudno kłamać, kiedy człowiek nie zna prawdy". Ale czy on znał polityków, którzy w życiu słowa prawdy nie powiedzieli?

Chłopcy – jak pisał autor książki Ferenc Molnár – „istotnie rozpoczynali wojnę z takich samych powodów, dla których prowadzi się prawdziwą wojnę. Rosja chciała mieć dostęp do morza, dlatego biła się z Japonią". No tak, a dziś bije się z Ukrainą, bo chce. A Węgrzy, rządzeni przez faszystę Viktora Orbána, jeszcze niedawno polscy bratankowie od szabli i szklanki, przyjaciele nasi serdeczni, a już PiS-owscy najbardziej, okazują się ruskimi onucami.

Czy tego przy al. Szucha nie widzą? I właściwie na czym budowaliśmy rzekomą przyjaźń z Madziarami? Czy nie na rzymskim katolicyzmie? Bo u nich też papistów jest jakby za dużo i przydałoby się ich opiłować? A katolicyzm przyjęli jeszcze przed nami, bo w 955 r., z rąk niejakiego Brunona z Sankt Gallen. Do tego ich Stefan koronował się przed naszym Bolesławem, ponoć na samym początku 1001 r. A chłopcy z Placu Broni tak naprawdę – co podkreślają autorzy nowszych przekładów powieści Molnára – nie byli z żadnego placu, tylko z ul. Pawła, co brzmi beznadziejnie, nasuwając oczywiste skojarzenia ze św. Pawłem, a może nawet św. Janem Pawłem. Drugim.

Szczęśliwie książka religiancką nie jest, za to patriotyzmem w barwach czerwono-biało-zielonych wręcz ocieka. Tyle że w czasach, gdy Molnár pisał swój młodzieżowy evergreen, nie było Węgier, tylko Austro-Węgry. A opowiadana historia działa się nawet wcześniej, gdyż data na pieczęci Związku Zbieraczy Kitu – chłopcy założyli takie stowarzyszenie – wskazuje na rok 1889.

Odnośnie do kitu, to tym lepiszczem do szyb chłopcy mają wypchane gęby, żując je w chwilach wolnych od wypowiadanych frazesów. Poza tym planują walki ze swymi wrogami, szpiegują się wzajemnie, a bywa, że i lekcje muszą odrabiać.

Pod tym względem nad Dunajem niewiele się zmieniło. Jak to śpiewał Kuba Sienkiewicz?

Byłem na wsi, byłem w mieście
Byłem nawet w Budapeszcie
Wszystko chuj.

No tak, dzieciarnia po staremu bawi się w labanców i kuruców. Tymi pierwszymi chcą być jedynie najbardziej proeuropejskie jednostki. Ci od Orbána to kurucowie jak jeden mąż.

Orbanowe plemię proputinowskim stało się jakby z dnia na dzień. Wcześniej uchodziło za antyrosyjskie, kultywując pamięć powstania z roku 1956, a i pamiętając – wprawdzie nie o wszystkim – co działo się na Węgrzech w latach drugiej wojny światowej. Teraz przyznaje się tam azyl PiS-owskiemu Marcinowi Romanowskiemu, a „Chłopcy z Placu Broni" wybierani są u nas jako temat egzaminu po szkole podstawowej. Jeszcze trochę, a okaże się, że jedyną lekturą obowiązkową w ciągu ośmiu lat nauki w polskiej szkole będzie właśnie ta powieść.

Ferenc Molnár pisywał również dla teatru, a wsławił się także korespondencjami wojennymi (z pierwszej wojny światowej), za które cesarz udekorował go Krzyżem Oficerskim Orderu Franciszka Józefa, niemniej osoby o bardziej pacyfistycznych poglądach uznały je za pochwałę wojny. W „Chłopcach z Placu Broni" wojna toczy się wprawdzie głównie na bomby z piachu, ale wiadomo przecież, że czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci.

Tak że cały ten Molnár jest mocno podejrzany, a ratuje go jedynie to, że naprawdę nazywał się Neumann. Z Węgier wyemigrował w połowie lat 30., oczywiście z powodu narastającego nad Dunajem antysemityzmu.

Do serc młodych czytelników trafił pisarz dzięki postaci Ernesta Nemeczka, małego chłopca z Placu Broni, który za swoją miłość do ojczyzny (czytaj: Placu Broni) zapłacił życiem. Tak kończą patrioci, żołnierze wyklęci i inni pomyleńcy. A węgierskość to przecież nienormalność. Jak polskość.

A na koniec już całkiem serio: Nowacka, pakuj się. I nie ty jedna. ©℗

eprasa.pl 43498c26b4

„Rękopis znaleziony w Saragossie” dla opornych

Grzegorz Kondrasiuk

W warszawskim Teatrze Polskim po „Rękopis znaleziony w Saragossie” Jana Potockiego sięgnął Grzegorz Jarzyna. Wystawienie tej skomplikowanej, wielowątkowej prozy z setkami bez mała postaci, o misternej konstrukcji szkatułkowej, wydaje się misją niemożliwą. W dodatku konkuruje się na siłę wizji nie tylko z arcydzielną literaturą, lecz także z takimż filmem Hasa. Dlatego Jarzyna, chcąc dać własną odpowiedź, wraz ze współtwórcami warstwy wizualnej (Anna Axer-Fijałkowska, Aleksandr Prowaliński, Zbigniew Bzymek) uruchomił na obrotowej scenie Polskiego długi i imponujący strumień hipnotycznych obrazów.

Wielkiej piękności są pustynne, górskie pejzaże Sierra Morena, znakomicie, stylowo świecone horyzonty i tła, frapują wizualizacje z symbolami Kabały i kart tarota. Ale obok nich widzimy przebaśniowione kostiumy, rażące umownością na granicy kiczu, jakby z niedobrego teatru dla dzieci, czy sceny już jawnie i obficie kiczem oblane, jak obraz Szatana w finale pierwszej części. Znacznie gorzej jest jednak z tym, co pod obrazami. Pomiędzy skrajnościami – poszukiwaniem teatralności, tajemniczego piękna niedającego się zamknąć w słowa i znaczenia – a teatrem usłużnym wobec ideologii i poglądów twórców zieje głęboka rozpadlina.

W sposób zbyt skrótowy można ująć główną myśl „Rękopisu…” tak: nic nie jest tym, czym się wydaje, bo – jak piszą francuscy edytorzy i biografowie Potockiego, François Rosset i Dominique Triaire – „wszystko jest jednocześnie tym i tamtym”. Młodzieniec na spalonej ziemi przechodzi wtajemniczenie w zwodniczą i absurdalną naturę rzeczywistości. Ale to tylko wstęp do komplikacji.

Wojciech Siwek jako Alfonso w sztuce „Rękopis znaleziony w Saragossie”
FOT. KAROLINA JÓŹWIAK

Powieść była pisana dwukrotnie, ma różne, w głębszej warstwie sensów, wersje. Jest też fascynująca biografia autora, człowieka o nowoczesnej świadomości, czego „Rękopis…” jest koronnym dowodem. „Stanął przed zagadkami świata i życia ludzkiego bez gotowych odpowiedzi, sam borykając się ze sprzecznościami, paradoksami, niejasnościami, absurdem” – rzecze Rosset. Sens „Rękopisu…” się wymyka, odbity w sensach setek zwierciadlanych, dłuższych i krótszych historii.

Streszczam te podstawowe fakty, żeby zderzyć je z najnowszą teatralną wersją. Bo z ludźmi teatru jest tak, że zwłaszcza ze starymi i trudnymi tekstami mają luz. Przecież nikt się nie połapie, nie przyjdzie do teatru z książką, nie będzie zadawał niestosownych pytań. A nawet gdyby – to najwyżej pochwali, że teatr uprzystępnia hermetycznego autora. Korzystając z tego prawa kaduka, reżyser z dramaturgiem (Roman Pawłowski-Felberg) bawią się dostarczonymi przez pisarza puzzlami: jego wizjami, zdarzeniami i postaciami, a także kompilują swobodnie sceny z obu wersji powieści (pomimo sięgnięcia po kompetentny, precyzyjny edytorsko przekład Anny Wasilewskiej). Kłopot w tym, że to, co mają do powiedzenia, da się streścić w trzech zdaniach: stary świat był zły, na jego gruzach musimy stworzyć nowy, dobry; muszą to zrobić młodzi ludzie; mają prawo używać przemocy. I tak ciągle ktoś tu tłumaczy nam świat, za pomocą prostego dramaturgicznego zabiegu dopisania historii nadrzędnej poprzez reinterpretację wątku rodu Gomelezów. W oryginale była to arabska rodzina manipulująca młodym wojskowym Alfonsem, aby zyskać wpływy w Hiszpanii i uczynić go godnym następcą swych ciemnych interesów. U Jarzyny Gomelezowie zmienili się w tajną, globalną korporację. Jest to przeprowadzone całkowicie na poważnie, z inspiracją popkulturowymi fantazjami o masońskich rytuałach. W końcu ktoś zrobił spektakl dla alt-right- i alt-leftowców!

Przy okazji przygniecione zwałami patosu giną lekkość i humor prozy Potockiego oraz jego zaufanie do intelektu odbiorców. Zabawne są też różne efekty uboczne tej procedury, np. bezceremonialne dopisanie Potockiemu feminizmu, w formie manifestu, w scenie Księgi Rodzaju. Tymczasem większość kobiecych bohaterek „Rękopisu” (pomijając kabalistkę Adezu) to ekrany męskiego pożądania i reproduktorki, co Jarzyna bierze na warsztat, jako specjalista od zrobionych z biglem scen podrywu oraz orgii.

Walka o duszę Alfonsa-Alexa (Wojciech Siwek) odbywa się pomiędzy Mistrzem Gry-Gomelezem-Inkwizytorem (Andrzej Seweryn) a Adezu-Uzedą-Montezuma (Danuta Stenka, jak zawsze w najwyższej klasie). Mistrz Gry, arcyłotr, jest zwolennikiem nihilizmu i turbokapitalizmu, rządzi światem dla pieniędzy i samej czystej władzy, a Stenka zmieściła w sobie wszystkie pozytywne postaci, reprezentując gen dobroci i sprawiedliwości społecznej. Uwaga, spojler – w finale Alex podrzyna gardło Mistrzowi i wygłasza slogany o potrzebie Zmiany.

Szkoda, że twórcom zabrakło odwagi, nie poszli na całość i nie podmienili Aflonsa-Alexa na którąś z młodych aktorek z zespołu Polskiego, ucharakteryzowaną na Gretę Thunberg. ©℗

„RĘKOPIS ZNALEZIONY W SARAGOSSIE. DZIEDZICTWO GOMELEZÓW”, REŻ. GRZEGORZ JARZYNA, WEDŁUG POWIEŚCI JANA POTOCKIEGO
TEATR POLSKI W WARSZAWIE, PREMIERA: 26 WRZEŚNIA 2025 R.

eprasa.pl 43498c26b4

FOT. BILLY BENNIGHT/ADMEDIA/PAP

PIOTR GOCIEK

POŻEGNANIE

Smutniej bez Diane

Pierwsza okazja, by zachwycić się Diane Keaton? Dla wielu była to rola Kay w „Ojcu chrzestnym", dla mnie jej występy u boku Woody'ego Allena w „Manhattanie" i „Annie Hall". Pokolenie, które zaczęło chodzić do kina w późnych latach 90., nie miało z kolei okazji poznać jej w żadnych innych produkcjach niż hollywoodzkie komedie romantyczne. Ale to nie szkodzi, jej pierwszy film kinowy też należał do tego gatunku („Zakochani i inni", 1970).

O tym, że istnieje inna Keaton, znakomita aktorka dramatyczna, przypominała czasami. Niedawno obejrzałem „Najwyższą stawkę" (1982) Alana Parkera – jest tam świetna. Podobnie jak w dużo późniejszym „Pokoju Marvina" (1996). Fani seriali na pewno dostrzegli, jak dobrą robotę wykonała w „Młodym papieżu" (2016) jako siostra Maria Ignacja. Zawsze ciekawiło mnie, na ile na tej decyzji obsadowej Paola Sorrentino zaważyło to, że kilka lat wcześniej zagrała w telewizyjnej czarnej komedii ostro szydzącej z katolików („Sister Mary Explains It All", 2001), i czy był to żart dla wtajemniczonych.

We wzruszającej książce „Let's Just Say It Wasn't Pretty" (2014) szczerze, boleśnie, wesoło i niegłupio opowiadała o swych zmaganiach ze starością, o tym, jak uroda (i w ogóle: obraz) rządzi dziś światem i kiedy należy się tym przejmować, a kiedy nie. We wstępie zdradza, że nigdy nie myślała sobie, że jest piękna. Za młodu pełna niepewności wciąż zastanawiała się, czy jeżdżenie na castingi ma sens, czy w ogóle ktoś taki jak ona może być aktorką. Woody Allen podtrzymywał ją na duchu, mówiąc: „You're funny. And funny is money". Książka okazała się bestsellerem, podobnie jak wcześniejsza autobiografia „Wciąż od nowa" (2011). A potem zaskoczyła mrocznym i poruszającym tomem „Brother & Sister", opisując swoją trudną relację z jedynym bratem (niestabilnym psychicznie, alkoholikiem, później dotkniętym demencją).

Brytyjski „The Telegraph" pożegnał ją zdaniem: „Jej aktorski geniusz był tyleż prosty, co niepowtarzalny. Zgadza się. Czyniła kino lepszym miejscem. Taki był jej blask: zazwyczaj rozjaśniała ekran samą swoją obecnością i zwykle gwarantowała, że będziemy czuć się lepiej. Nie każdy film z Diane Keaton to dobry film, ale Diane Keaton warta jest obejrzenia w każdym filmie. ©℗

GRA TYGODNIA: „SUPER MARIO GALAXY + SUPER MARIO GALAXY 2"

★★★★★★

Nintendo składa propozycję nie do odrzucenia. W jednym pakiecie oferuje dwie platformówki 3D, które są wysoko (dla niektórych wręcz na samym szczycie) listy najlepszych gier tego gatunku w historii. Obie ukazały się przed laty na Nintendo Wii, część pierwszą mogliśmy ogrywać w pakiecie Super Mario 3D All-Stars na Switchu, teraz dostajemy je razem. Mimo że nie są to remastery, to wyglądają lepiej niż kiedykolwiek, działają bardzo dobrze i nie straciły nic ze swojej grywalności. Majstersztyk projektowania poziomów, mnóstwo zabawy i dobra cena. Czego chcieć więcej? ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *platformowe*
- ***Platforma:*** *Nintendo Switch (1 i 2)*
- ***Producent; wydawca PL:*** *Nintendo; ConQuest*

eprasa.pl 43498c26b4

Anormalka

KINO

Myślicie, że ekscentryzm to narodowa przypadłość Brytyjczyków? Błąd: w krajach nordyckich spotkasz równie tęgich dziwaków. Dekady proegalitarnej edukacji wydały zatrute owoce. Finowie słyną z nałogowego picia mleka i szkół, w których uczniom nie wystawia się stopni. W Islandii, gdzie, oprócz imigrantów z Polski wszyscy są ze sobą spokrewnieni, świrowanie jest na porządku dziennym. Szwecję gubią pospołu samotniczy styl życia, szerzący się ateizm i spożywanie zgniłych śledzi. W szejkanacie Norwegii ludziom namieszał w głowach nagły przypływ petrokoron. Dania, wielbiąca Kierkegaarda, gang Olsena i manifest Dogma '95, mimo wszystko wydawała się należeć do cywilizacji rozumu. Kopenhagę reklamuje się jako „najlepsze miasto do życia", rozczarowani buddyzmem nawracają się na hygge. „Ostatni wiking" potwierdza jednak hipotezę, że współczesna duńskość to nienormalność. Jednostki, które zachowały resztki rozsądku, muszą się dostosować.

A.T. Jensen diagnozuje chorobę ojczyzny w formule animowanej (baśń o amputacjach) oraz aktorskiej. Kluczową postacią jest Anker, planujący życie w dobrobycie po 15 latach spędzonych za kratami. Odwiedza brata, który jest w fatalnym stanie psychicznym: zabiera ludziom psy, każe do siebie mówić „John" (wcale nie będąc podobnym do Lennona) i przejawia samobójcze skłonności. Tak się jednak składa, że tylko on wie, gdzie gnije łup. Zdesperowany Anker reaktywuje Beatlesów i zabiera Manfreda do uroczego domu w środku lasu, w którym spędzili dzieciństwo. Najlepszym sposobem na odreagowanie traumy jest bowiem cofnąć się do korzeni, jak Bond w „Skyfall".

Zawistnicy będą kolportować plotkę, że „Ostatni wiking" powstał gwoli wykpienia szwedzkich świętości, czyli Ikei i supergrupy ABBA oraz by Mads Mikkelsen mógł pobrzdąkać na gitarze. Postępowcy ogłoszą, że film promuje miłe ich sercom hasło: „Możesz być, kim zechcesz". Prawda jest jeszcze gorsza. A.T. Jensen wmawia nam, że zamiast leczyć chorych na umyśle powinniśmy dostosować rzeczywistość do ich wyobrażeń. Przyznaję, dawno się tak nie ubawiłem, choć była to guilty pleasure. Finałowy uśmiech Ankera sprawia, że masz ochotę założyć rogaty hełm. W górę topory! ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

★★★★☆☆

REŻ. ANDERS THOMAS JENSEN
„OSTATNI WIKING" („DEN SIDSTE VIKING")
DANIA 2025

wyst. Nikolaj Lie Kaas, Mads Mikkelsen, Lars Brygmann

ŻĄDZ MOC WZMÓC

Klasa średnia, chłostana biczem satyry, pojękuje z rozkoszy. A konkretnie? Małżonkowie z 25-letnim stażem biorą kurs na spa, by wzniecić w sypialni pożar zmysłów. Basia, wydawca poradników, w tym tytułowego „Seksu dla opornych", jest bowiem od dawna jak szewcowa, co bez pantofelków chodzi. Grzegorzowi wystarcza zaś monitorowanie bezecnych stron w Internecie. Farsa z Kanady grasuje w naszych teatrach od 2012 r. W stolicy wystawiła ją Krystyna Janda, główne role powierzając Ilonie Ostrowskiej i Mirosławowi Kropielnickiemu. Na ekranie tego drugiego zastąpił król nadwiślańskiego rom-comu: Piotr Adamczyk. Fabułę też ulepszono (o duet bezpruderyjnych millennialsów) i poddano zabiegom polonizacyjnym. Rezultat ucieszy fanów jacuzzi, Beaty Kozidrak, „Wyjazdu integracyjnego" tudzież niezapomnianej „Różowej landrynki". ©℗

KINO

★★☆☆☆☆

REŻ. RAFAŁ SKALSKI
„SEKS DLA OPORNYCH"
POLSKA 2025

wyst. Ilona Ostrowska, Piotr Adamczyk, Helena Englert

DO ZOBACZENIA

Kraina bez końca

RADOSŁAW WOJTAS

Oś czasu, która razem z mapą terenu otwiera wystawę, ciągnie się przez miliony lat – od powstania skorupy ziemskiej i pierwszych skał wapiennych, poprzez czasy dinozaurów, aż do dekad współczesnych. Nic dziwnego. Bohaterką wystawy „Jura. Kraina bez końca" jest Wyżyna Krakowsko-Częstochowska.

Ta wystawa to dużo więcej niż tylko wątki geologiczne i paleontologiczne, botaniczne oraz zoologiczne, archeologiczne i historyczne. To prawdziwie interdyscyplinarne spojrzenie na Jurę. „Centralne miejsce zajmują sztuka, literatura, architektura i projektowanie artystyczne – od połowy XIX w. do lat najnowszych, od patriotycznych dzieł romantyzmu do aktualnych przejawów świadomego kreowania lokalnej tożsamości" – piszą autorzy. Ekspozycja gromadzi m.in. obrazy, grafiki, fotografie, filmy, ceramikę, szkło, tkaniny, utwory poetyckie, muzyczne… Rozległa panorama twórczości kilku pokoleń. ©℗

FOT. RAFAŁ WYRWICH

GDZIE?
Muzeum Śląskie w Katowicach
KIEDY?
do 15 marca 2026 r.

eprasa.pl 43498c26b4

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Luca Brasi ma głos

Nie lubię makabry i jestem przeciwnikiem używania jej w powieściach jako afrodyzjaku sprzedaży książek" – deklaruje autor „Gołoborza", by zaprzeczyć temu niemal każdym zdaniem swej najnowszej książki, przy której „Ojciec chrzestny" wydawać się może powiastką dla dorastających panienek, a najbardziej chyba odrażająca postać „Godfathera", sławetny Luca Brasi, ledwie wytrzymuje porównanie z Kończakami i Cebrzynami, wyrzynającymi się wzajemnie na kartach powieści Macieja Siembiedy.

Analogie do „Ojca chrzestnego" są jak najbardziej uzasadnione. Ziemia świętokrzyska, sceneria „Gołoborza" jako żywo przypomina Sycylię. Panuje tu ta sama mafijna zmowa milczenia, obowiązują rytuały z pieczętowaniem spisku krwią. Trumny dla ofiar planowanych zbrodni wykonuje się własnoręcznie, głowy są obcinane, siekiera i nóż to tyleż narzędzia pierwszej potrzeby, ile oręż. Nawiasem mówiąc – pyta autor w posłowiu: „Kto w Polsce wie, że przydomek »scyzoryki« wziął się od tego, że w Kieleckiem je wytwarzano [...]? A kto kojarzy »scyzoryki« ze skłonnościami tubylców do używania składanych noży w bójkach?".

Najzwyklejszy bandytyzm obudowuje się legendą. „Jeden na jednego – czytamy. – Taki obyczaj jest w Grabinie [fikcyjna miejscowość wykreowana przez autora na potrzeby powieści – przyp. K.M.] od wieków. Donieść do władz – hańba. Zaczaić się za stodołą i ukradkiem łeb roztrzaskać siekierą – niehonorowo. Napaść w paru i zatłuc – wstyd przed ludźmi. Ale wyzwać na walkę w imię zemsty – święta rzecz. Dwaj ludzie, dwa noże".

Na szczęście znajdziemy w „Gołoborzu" Siembiedy i autentyczne legendy świętokrzyskie, jak ta o diable, który zginął pod głazem niesionym z Tatr, aby zbudować klasztor na Łysej Górze. To ta i podobne jej historie pozwalają czytelnikowi złapać oddech podczas lektury powieści mogącej u normalnego człowieka wywołać jedynie odruchy wstrętu i zgrozy. Autor śpieszy co prawda z zapewnieniem: „Okropieństwa opisane w powieści są przerażające, bo zostały stworzone przez życie, a nie autora. Moja wyobraźnia literacka nie podróżuje w te rejony i nie zamierza", ale w końcu nie musimy podzielać tego przekonania. Z faktu bowiem, że to w tamtych rejonach miały miejsce takie zbrodnie, jak wymordowanie w Rzepinie koło Starachowic w 1969 r. przez ojca i dwóch synów całej pięcioosobowej zantagonizowanej z nimi rodziny, nie wynika jeszcze, by całe Kieleckie skażone było jakimś wirusem zbrodni. A swoją drogą, to w Starachowicach właśnie przyszedł na świat autor „Gołoborza".

To z dzieciństwa i młodości zapamiętał pisarz, jak zapewnia, świętokrzyskie wsie, „pełne drewnianych chałup krytych strzechą lub gontem, stodół podpartych kołkiem, obór, których fetor czuć było z kosmosu, studni z korbowodem albo z żurawiem, wychodków, bud dla psów i gnojowników na środku podwórza". No pięknie i jakiż tu mamy kontrast z cywilizowanym światem „odzyskanego" Opola, do którego trafia rodzina jednego z bohaterów powieści i tam po raz pierwszy widzi łazienkę z wanną i opłukiwanym wodą, cytuję, sraczem.

Każdy ma swoją pamięć choć to zestawienie dziwnie wpisuje mi się w lansowaną „ludową historię Polski", która oby sczezła jak najprędzej, jako że szkody czyni niewyobrażalne. Bo powieść ma, naturalnie, swoje prawa i nie należy jej traktować ani jako dzieła naukowego, ani nawet jako reportażu. Ale kiedy po latach, już w wolnej Polsce, mieszkańcy powieściowej wsi z piekła rodem fundują ozdobioną kotwicą Polski Walczącej tablicę pamiątkową „W hołdzie bohaterom z oddziału partyzanckiego »Karasia« poległym za wolność Ojczyzny", a każdemu wiadomo jest, że ów „Karaś" był degeneratem i zbrodniarzem, jak najsłuszniej zlikwidowanym z wyroku Podziemia, to jawi się ta scena li tylko jako okrutna groteska i jawna kpina z Żołnierzy Wyklętych. Niezależnie od faktu, że jest ona wytworem autorskiej fantazji.

Niczego bowiem nie możemy być do końca pewni w tej powieści czerpiącej pełnymi garściami z literatury faktu, z tym że tylko wtedy, gdy pasuje to do przyjętej przez autora tezy. Wspomniany „Karaś" może być pokryty rybią łuską, bo w tych stronach – jak się dowiadujemy – potworki rodziły się często, gdyż miejscowi parzyli się między sobą, „ojciec kładł się z córką albo siostra z bratem". Dobrze chociaż, że od podobnych rewelacji wolne są wplecione w narrację opowieści o wojennej Republice Pińczowskiej czy sławnym Janie Piwniku „Ponurym", dowódcy zgrupowań partyzanckich na Wykusie w Puszczy Świętokrzyskiej. Pewnie i dlatego, że – jak pisze autor w posłowiu do „Gołoborza" – „pamiętam, jak rozpierała mnie duma, bo urodziłem się w domu mojego wujka Władysława Piwnika – też przedwojennego policjanta, ale nigdy się nie dowiedziałem, czy z Janem byli kuzynami. Zresztą wtedy byłem absolutnie przekonany, że w naszych stronach spokrewnieni są wszyscy".

Nie jest tak i nie było. Na szczęście. ©℗

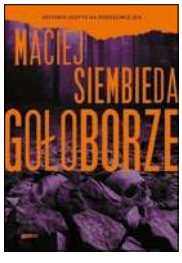

★★☆☆☆☆

MACIEJ SIEMBIEDA „GOŁOBORZE" ZNAK, KRAKÓW 2025

eprasa.pl 43498c26b4

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Więcej niż Janosik

Nie mieliśmy swojego Supermana, ale mieliśmy Marka Perepeczkę – jako dzieciak podziwiałem go jako młodego Nowowiejskiego w „Przygodach pana Michała", a potem oczywiście jako Janosika. Nigdy nie zastanawiałem się specjalnie nad tym, dlaczego potem zniknął z horyzontu i dlaczego powrócił dopiero jako trzy razy grubszy komendant w komediowej serii „13 posterunek". Książka Marka Szymańskiego wypełnia wszystkie białe plamy w biografii, choć oczywiście wiem, że wiele faktów, które dla mnie były podczas lektury nowością, publika kolorowych pisemek lifestyle'owych zdążyła poznać dużo wcześniej, szczególnie dzieje jego małżeństwa w Agnieszką Fitkau.

„Samotność Janosika" to książka, która ma swoje wady. Jest chwilami za bardzo rozwichrzona, rozgadana, poszczególne wątki niekiedy rozbiegają się w różne strony, by potem do siebie nie wrócić. Nie jestem też wielkim fanem budowania tomów w połowie z narracji, a w połowie z wywiadów. Lubię staromodne biografie, w których główną nić misternie snuje autor, a wypowiedzi innych służą mu jeno za cegiełki, z których buduje własną katedrę. Ale wdzięczny jestem Szymańskiemu za drobiazgową robotę i dotarcie do bardzo nieoczywistych informacji, choćby rozstrzygnięcie, w ilu liceach nauki pobierał i gdzie zdał maturę Perepeczko. Także unikatowe zdjęcia z młodości, gdy wahał się między sportem a aktorstwem (zawodnik młodzieżowej reprezentacji Polski w koszykówce!), to czyste złoto.

Jest w tej opowieści mnóstwo nostalgii, gdy powracamy do lat, kiedy Perepeczko szybko wywalczył sobie miejsce wśród młodych polskich aktorów, bo przecież zanim przyszła popularność „Janosika", bohater książki zdążył już być bywalcem w filmach Wajdy („Brzezina", „Piłat i inni", „Wesele"), zdążył też zapisać się w sercach telewizyjnej widowni rolą Malutkiego w serialu „Kolumbowie". Późniejsza przerwa w karierze, perypetie osobiste i emigracyjne sprawiają, że druga część życia aktora – restart zaczął się w latach 90. – to zamknięcie historii, która pozostaje niedokonana. Niedosyt, żal, mógł być Perepeczko przez dekady gwiazdą pierwszej wielkości w naszym kinie. A wyszło, jak wyszło. Dlaczego? O tym przeczytacie w „Samotności Janosika". ©℗

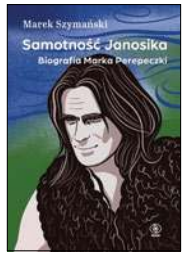

★★★★☆☆

MAREK SZYMAŃSKI „SAMOTNOŚĆ JANOSIKA. BIOGRAFIA MARKA PEREPECZKI" REBIS 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Jeden z bestsellerów wszech czasów: bezcenny dokument epoki zapisany mistrzowskim stylem. Plus dzieła przypisywane Cezarowi, których autorów nie znamy: „Wojna aleksandryjska", „Wojna afrykańska", „Wojna hiszpańska".

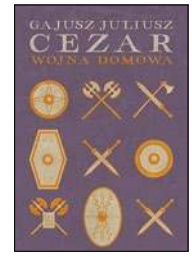

JULIUSZ CEZAR „WOJNA DOMOWA" CZYTELNIK

W kinach film Agnieszki Holland, w księgarniach wznowienie biografii niemieckiego autora z 1984 r. (pierwsza polska edycja 2003). Dużo o sprawach rodzinnych, sporo o życiu politycznym i społecznym: Kafka na tle epoki.

ERNST PAWEL „FRANZ KAFKA: KOSZMAR ROZUMU" MARGINESY

Asystent Joan Didion w zapiskach o ostatnich latach jej życia. Niewiele o pisarce, wiele o jego własnych traumach, dużo o dzisiejszym stanie ducha elit nowojorskich. Jako literatura średnie, jako dokument – ciekawe.

CORY LEADBEATER „NA MARGINESIE MANHATTANU" RELACJA

Odległa przyszłość. Mars jest kolonią, a na Ziemi królują chaos i bezprawie. W tle walka o środek przedłużający życie, ale co to za życie... Ponad tysiąc stron fantastyki naukowej z zacięciem socjologicznym. Będą kolejne tomy. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

MAX KIDRUK „KOLONIA" INSIGNIS

KOMIKS TYGODNIA: WSZECHŚWIAT PAPCIA

Niezwykłe przedsięwzięcie (i luksusowe, o czym świadczy cena): trzytomowy zbiór wszelkich rysunkowych dokonań Papcia Chmiela, które nie były wcześniej publikowane w albumach. Rysunki, paski prasowe, krótkie historyjki plus wiele materiałów dodatkowych – domknięcie uniwersum geniusza humoru, którym był twórca serii „Tytus, Romek i A'Tomek". ©℗

Piotr Gociek

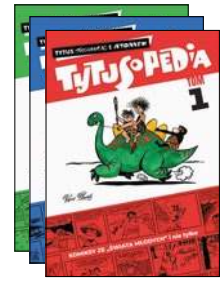

HENRYK JERZY CHMIELEWSKI „TYTUSOPEDIA" T. 1–3 ONGRYS KOLEKCJONERSKIE 2025

eprasa.pl 43498c26b4

W drodze ku imperium europejskiemu

Adam Wielomski

Paradoksem jest, że na hasło zagrożenia rosyjskiego jako powodu do federalizacji europejskiej najsłabiej zareagowały państwa Europy Wschodniej, które teoretycznie powinny najbardziej czuć się zagrożone przez Rosję. Tymczasem Węgry i Słowacja zachowują z Moskwą dobre stosunki, a rządy PiS stawiały na Waszyngton, a nie na Brukselę

Czytając rozmaite wypowiedzi Ursuli von der Leyen, Emmanuela Macrona, Keira Starmera, Friedricha Merza i Donalda Tuska (o Radosławie Sikorskim nawet nie wspominam), trudno nie odnieść wrażenia, że Europa szykuje się do wojny z Rosją. Jakkolwiek straszy się nas, że Władimir Putin ma być gotowy do agresji na Europę czy to w 2027, czy 2030 r., to można mieć wątpliwości, czy to Putin ma pierwszy zaatakować Europę czy Europa Rosję. Czy Europa rzeczywiście przygotowuje się do wojny?

OD GORĄCZKI COVIDOWEJ DO WOJENNEJ

Warto zauważyć, że przy pompowanej przez media i polityków atmosferze wojennej paniki – bliźniaczo podobnej do atmosfery strachu w czasach tzw. pandemii, zresztą zorganizowanej przez te same media i polityków – Europa robi niewiele, aby do wojny się przygotować. W 2024 r. państwa UE i Wielka Brytania łącznie wydały na obronę równowartość 446 mld dol. (część źródeł podaje 457 mld). W tym samym czasie Rosja wydała na armię wprawdzie „tylko" 129 mld dol., lecz rosyjska broń i rosyjscy żołnierze są tańsi. Siła nabywcza rosyjskich wydatków obliczana jest na 462 mld dol. W praktyce są to kwoty podobne. Niestety, w przypadku Europy mamy do utrzymania 28 sztabów (27 unijnych i brytyjski), 27 biurokracji ministerstw obrony narodowej etc. Europa nie posiada znaczących sił lądowych. Jest paradoksem, że Polska uchodzi za państwo posiadające najsilniejszą armię lądową w Europie Zachodniej. Francja i Wielka Brytania posiadają silne

eprasa.pl 43498c26b4

FOT. ADOBE STOCK

marynarki wojenne, oddziały powietrzno-desantowe etc., lecz nie wojska do walki na nizinach Europy Wschodniej. Gdy niedawno Ursula von der Leyen zapowiedziała program zbrojeń unijnych o wartości 800 mld euro, to okazało się, że program ma pochodzić z… kredytów. Znając standardy unijne, zabezpieczeniem kredytów będą dochody ze sprzedaży bonów na CO_2, a nie z realnej produkcji, gdyż UE specjalizuje się w sprzedaży bonów na własne ideologiczne fantasmagorie. Oprocentowanie tego urojonego zabezpieczenia musi być wysokie, gdyż będzie to pożyczka wysokiego ryzyka.

W przypadku Polski nie jest lepiej. Gdyby za miesiąc doszło do konfliktu zbrojnego Polski z Rosją, to wątpliwe jest, aby Rosjanie wjechali do naszego kraju dywizjami pancernymi. Raczej zostalibyśmy zaatakowani za pomocą dronów, iskanderów, pocisków hipersonicznych etc. Tymczasem Polska posiada zaledwie dwie baterie rakiet Patriot, a do 2029 r. ma ich mieć osiem. Dziś możemy jako tako obronić tylko Warszawę i Kraków. Podobno zaś, jak ciągle słyszymy od polityków, mediów, emerytowanych generałów i z (kontrolowanych) przecieków wywiadowczych, wojna z Rosją może wybuchnąć już w 2027 r.

Trudno nie dojść do wniosku, że polityczne elity europejskie, w tym polskie, przez ostatnie trzy lata zrobiły niewiele dla polepszenia kondycji militarnej Europy, równocześnie raz po raz strasząc nas wojną. Gdy pojawiła się niedawno idea wysłania wojsk europejskich jako sił rozjemczych między wojskami rosyjskimi a ukraińskimi, to okazało się, że Europa nie jest zdolna zgromadzić więcej niż 30 tys. żołnierzy, gdyż główni zwolennicy tego pomysłu, czyli Macron i Starmer, przyznali, że ich państwa nie posiadają znaczących armii lądowych. Po co zatem ciągle straszyć wojną i nie robić prawie nic, aby się do niej przygotować?

FEDERALIZACJA EUROPY?

W czerwcu 2023 r. Parlament Europejski uchwalił rezolucję wzywającą państwa członkowskie Unii Europejskiej do zmian traktatowych, zmierzających do tzw. federalizacji UE. Proces federalizacji miałby objąć wiele dziedzin, lecz słusznie zwrócono uwagę na trzy najważniejsze: 1) zastąpienie zasady jednomyślności zasadą kwalifikowanej większości; 2) stworzenie wspólnej polityki zagranicznej; 3) podobne scalenie w jedno polityk obronnych (z perspektywą stworzenia wspólnej armii europejskiej). Propozycje te nie były dla obserwatorów zaskoczeniem, gdyż politycy niemieccy i francuscy już dawno mówili o konieczności takich rozwiązań i w programach wszystkich partii systemowych we Francji i w Niemczech hasła takie zaczęły być umieszczane od roku 2019.

Zwracam uwagę, że hasło przyśpieszenia integracji europejskiej pojawiło się, zanim wybuchła wojna na Ukrainie. Już w lipcu 2019 r., kandydując na przewodniczącą Komisji Europejskiej, Ursula von der Leyen w swojej mowie w Parlamencie Europejskim zapowiedziała, że ma takie oto główne cele: 1) wcielenie rygorystycznej polityki klimatycznej; 2) przekształcenie konfederacji państw w byt federalny, gdzie decyzje będą podejmowane większością głosów, co umożliwi powstanie wspólnej polityki obronnej. Zaraz po swoim wyborze von der Leyen wprost już zapowiedziała, że w nowym świecie „wielobiegunowym" ma zamiar poprowadzić państwa unijne „drogą europejską" poprzez stworzenie „Europejskiej Unii Obronnej".

W tym czasie mieliśmy sporo podobnych wypowiedzi Emmanuela Macrona i Olafa Scholza. W styczniu 2023 r. Macron i Scholz opublikowali na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung" i „Le Journal du Dimanche" wspólny artykuł na temat potrzeby federalizacji UE. Jakkolwiek obydwie wersje językowe różnią się tytułami, to mają wspólny lead – „Wojna na Ukrainie wymaga działania: Europa musi stać się bardziej suwerenna i nadal inwestować w swoje siły zbrojne. To czyni nas silniejszym partnerem transatlantyckim, jeśli chodzi o wyzwania międzynarodowe". Mamy następnie siedem punktów, w których mowa jest o tym, że szybko musi dojść do federalizacji. Na czoło wysuwają się zasada podejmowania decyzji większością głosów, wspólna obrona i polityka zagraniczna. Jakkolwiek Macron i Scholz podkreślili, że program ten jest pokłosiem zagrożenia rosyjskiego, to przecież jest wiele ich własnych wypowiedzi, czy chociażby cytowanej wcześniej von der Leyen, wskazujących, że program ten powstał znacznie wcześniej, gdy o wojnie ukraińsko-rosyjskiej jeszcze nikt nie myślał. Wspomniany wspólny tekst Macrona i Scholza był pierwszą publiczną wypowiedzią prezydenta Francji, gdy został użyty argument o wojnie na wschodzie na rzecz federalizacji. Wcześniej Francuzi, głosząc ten program, wskazywali na chęć przeciwstawienia się hegemonii amerykańskiej. Teraz dodali jeszcze zagrożenie rosyjskie. Czyli dorzucono „modny" argument ad Putinum do istniejącej już argumentacji dla celu politycznego wyznaczonego wcześniej. Od wielu już lat francuscy i niemieccy politycy mówili o „autonomii europejskiej części NATO", o konieczności „samodzielnego działania militarnego europejskiej części NATO" czy o rozróżnieniu między „amerykańskim" a „europejskim filarem NATO". Za tymi słowami kryła się

eprasa.pl 43498c26b4

stara chęć emancypacji od amerykańskiej kurateli i stworzenia NATO-bis bez formalnego zrywania więzów z USA, gdyż europejscy przywódcy mieli świadomość niedorozwoju europejskich sił jądrowych, zbyt małych do skutecznego odstraszania. Francja i Wielka Brytania razem posiadają zaledwie 560 głowic nuklearnych, gdy USA i Rosja – po 6 tys. Dla Niemiec program budowy europejskiego systemu obrony i, docelowo, armii europejskiej miał jeszcze jeden aspekt. Na mocy traktatu zjednoczeniowego Niemcy wyrzekły się prawa do posiadania broni ABC. Są ograniczone do posiadania armii konwencjonalnej, co czyni je stroną militarnie słabszą. Bundeswehra jednak, przekształcona w „Eurowehrę", czyli armię europejską z niemieckimi generałami, nie podlegałaby żadnym ograniczeniom.

EUROPEJSKA UNIA OBRONY?

Niemiecko-francuskie elity liczyły, że strasząc pozostałe państwa zagrożeniem rosyjskim i wywołując medialną panikę wojenną, zmuszą rządy i narody pozostałych państw do zgody na zmianę traktatów unijnych w kierunku federalnym. Argumentacja była logiczna: skoro Rosja zagraża UE, to musimy podejmować decyzje sprawnie, za pomocą większości głosów, i gdy Putin stoi u bram, musimy mieć wspólną politykę zagraniczną i obronną. Nie może być tak, że weto jednego państwa spowoduje bierność całości. Problem w tym, że wszyscy szybko zorientowali się, że program Leyen, Macrona i Scholza zawiera jedno niedopowiedzenie. Po co UE ma mieć wspólną obronę, gdy tę zapewnia już wszystkim swoim członkom NATO? Program szumnie zwany „europejskim filarem obrony" dublował NATO, czyli miał być od tegoż NATO niezależny. Chodziło o usunięcie Stanów Zjednoczonych z Europy i budowę imperium europejskiego. Wywoływało to niechęć rządów wielu państw, które swój system bezpieczeństwa widziały w NATO, a nie jakimś NATO-bis z francusko-niemiecką armią. Projektowi temu sprzeciwiały się rządy nie tylko Węgier i Polski (za rządów PiS), lecz także Włoch i Czech. Z kolei socjaldemokratyczny rząd Hiszpanii, popierając federalizację, nie chciał łożyć pieniędzy na obronę, nie czując zagrożenia ze strony Rosji dla Półwyspu Iberyjskiego. Jakkolwiek po objęciu w Polsce władzy przez Donalda Tuska Polska wypadła z „koalicji opornych", to szybko zastąpiła ją Słowacja. Poprzez manipulacje wyborcze elitom europejskim udało się opanować sytuację w Rumunii. Na dniach jednak problemem staną się najprawdopodobniej Czechy.

Niemcy są ograniczone do posiadania armii konwencjonalnej. Ale Bundeswehra przekształcona w armię europejską z niemieckimi generałami nie podlegałaby żadnym ograniczeniom

Paradoksem jest, że na hasło zagrożenia rosyjskiego jako powodu do federalizacji europejskiej najsłabiej zareagowały państwa Europy Wschodniej, które teoretycznie powinny najbardziej czuć się zagrożone przez Rosję. Tymczasem Węgry i Słowacja zachowują z Moskwą dobre stosunki, a rządy PiS stawiały na Waszyngton, a nie na Brukselę. Skoro zaś UE jest konfederacją suwerennych państw, to zmiany traktatowe muszą zostać podpisane i ratyfikowane przez wszystkie państwa. Niemcy i Francuzi w latach 2022–2024 zorientowali się, że w naszej części Europy zawsze znajdą się przynajmniej ze dwa państwa, które te zmiany zawetują, a nawet Włochy – dopóty, dopóki rządzone są przez Giorgię Meloni – stawiają na sojusz z Waszyngtonem, a nie na projekt imperium europejskiego. I im więcej wschodnią Europę straszy się Putinem i wyznacza kolejne daty, gdy ma zaatakować Europę, tym bardziej część państw chce wzmacniać albo sojusz z USA, albo polepszać stosunki z Rosją (Węgry i Słowacja). Skutki wywoływania psychozy wojennej bywają odwrotne od zamierzonych.

Od momentu pojawienia się propozycji federalizacji Unii Europejskiej stałem na stanowisku, że z powodu wymogu jednomyślnej zmiany traktatów unijnych projekt ten nie ma szans. Twierdziłem, że zwolennicy federalizacji będą musieli poprzestać na powrocie do koncepcji „Europy dwóch prędkości" i zaproponować dodatkowy traktat – dla państw chętnych – o stworzeniu wspólnej polityki zagranicznej i obronnej, którego sygnatariusze będą podejmować decyzje większością głosów. Projekt taki został rzucony po raz pierwszy na Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa w lutym 2025 r., pod nazwą Europejskiej Unii Obrony. Do nowego traktatu miałyby przystąpić Francja, Niemcy, Wielka Brytania, Belgia, Holandia, Luksemburg, Polska i kraje nadbałtyckie. Z góry wyłączono Węgry i Słowację, pozostawiając innym członkom UE prawo wyboru. Zaletą koncepcji dodatkowego traktatu jest wykluczenie eurosceptyków („zwolenników Putina") i powrót tylnymi drzwiami do Europy Wielkiej Brytanii, której elity nie pogodziły się z brexitem.

Europejska Unia Obrony to pomysł powołania NATO-bis na użytek federalnego imperium europejskiego ze stolicą w Brukseli. To projekt elit francusko-niemieckich, które chcą wyzyskać koincydencję dwóch sprzyjających im okoliczności: 1) demonizowanego dla bezpieczeństwa Europy zagrożenia rosyjskiego; 2) demonizowanego medialnie Donalda Trumpa jako zdrajcy „wartości zachodnich". Europejską Unię Obrony scalać mają wrogość do Rosji, USA (i Chin), ideologia klimatyczna i specyficznie pojmowana zideologizowana europejska „praworządność". Niestety, warunkiem, aby ten federalny pojazd jechał dalej, jest wyolbrzymiane zagrożenie rosyjskie, którym można będzie straszyć tak długo, jak trwa wojna na Ukrainie. Dlatego elity europejskie będą torpedować politykę Trumpa posadzenia do stołu rozmów Putina i Wołodymyra Zełenskiego, gdyż mogliby zawrzeć kompromisowy pokój. Na Putina wpływ Europy jest żaden, ale Zełenskiego można utwierdzać w przekonaniu, że będzie mógł toczyć wojnę dalej z poparciem nawet samej tylko Europy, nawet jeśli każdy niezależny analityk powie, że polityka ta skończy się dla Kijowa wojenną klęską. Dlatego wielkie media cytują analityków na garnuszkach unijnych i rządowych.

Czy Europa szykuje się do wojny z Rosją? Nie. Gra larum i wywołuje panikę wojenną, aby przekształcić się w imperium.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 43498c26b4

Chrześcijaństwo przegrywa z islamem

Krystian Kratiuk

Liczba ludzi niewierzących i niereligijnych stale rośnie. To już niemal jedna czwarta światowej populacji. Tempo wzrostu tej grupy zapewniają głównie ludzie Zachodu, porzucający chrześcijaństwo. Ale i na owym zgniłym Zachodzie dostrzegalne są pierwiosnki religijnego przebudzenia

Owe frapujące dane pochodzą z raportu Pew Research Center zatytułowanego „Jak zmienił się globalny krajobraz religijny w latach 2010–2020". Z szerokiego opracowania analizującego dane z lat 2010 i 2020 dla 201 krajów/terytoriów (obejmujących 99,98 proc. światowej populacji) wynika m.in., że globalna liczba osób identyfikujących się z religią wzrosła z ok. 5,9 mld w 2010 r. do 6,9 mld w 2020 r., ale warto pamiętać, że w tym okresie populacja planety wzrosła mniej więcej o tyle samo, a więc o miliard ludzi.

W ciągu minionej dekady wzrosła zatem całkowita liczba chrześcijan – o 122 mln osób. Ale uwaga, w tym samym czasie całkowita liczba muzułmanów wzrosła… aż o 327 mln osób. Tak oto wyznawcy Chrystusa stanowią dziś 28,8 proc. światowej populacji (dekadę temu stanowiliśmy ponad 30 proc.), a wyznawcy Allaha 25,6 proc., podczas gdy w roku 2010 stanowili 23,8 proc. Nie sposób nie zauważyć, że jeżeli ten trend się utrzyma, to chrześcijanie, których jest dziś 2,3 mld, zostaną przegonieni przez muzułmanów (dziś 2 mld osób) w ciągu kolejnej dekady, być może już na jubileusz dwutysiąclecia śmierci krzyżowej Jezusa w 2033 r.

Co ciekawe, dostrzegalne jest też zmniejszenie się populacji buddystów z 343 mln w 2010 r. do 324 mln w 2020 r. Ich udział w światowej populacji spadł z 4,9 proc. do 4,1 proc. Stabilnie sytuacja przedstawia się zaś u wyznawców hinduizmu, przybyło ich 126 mln (do 1,2 mld), udział w światowej populacji wynosi 14,9 proc., tak jak dekadę temu. Przybyło też 900 tys. wyznawców judaizmu, którzy wciąż stanowią niewielki, ale jakże wpływowy, odsetek – 0,2 proc. – ludności świata.

CHIŃCZYCY I ZSEKULARYZOWANY ZACHÓD

Jednak najciekawszą grupę stanowią osoby określone w anglojęzycznym raporcie jako „nones" – co można przetłumaczyć jako „żadni". Są to osoby religijnie niezidentyfikowane, a termin ten obejmuje ateistów, agnostyków, osoby definiujące się jako wierzące „w coś, ale nic konkretnego" (ang. nothing in particular), nienależące do żadnej religii, choć niekoniecznie niedostrzegające w sobie życia duchowego. Udział w tej grupie – jak podkreślają autorzy opracowania – nie oznacza automatycznie braku wiary, gdyż część spośród „nones" wierzy w jakąś nieokreśloną „siłę wyższą", ale nie przynależy do organizacji religijnej.

Owi niewierzący niezrzeszeni stanowią dziś… trzecią największą grupę w tym zestawieniu. Jest ich na świecie ponad 1,5 mld, ich udział w światowej populacji to 24,2 proc. W ciągu dekady przybyło ich ok. 250 mln.

Główny trzon tej grupy to niekwalifikowani religijnie Chińczycy, ok. 1,3 mld. Ale warto dołożyć do tego ok. 73 mln Japończyków, a przede wszystkim ok. 190 mln Europejczyków i ponad 100 mln mieszkańców Stanów Zjednoczonych! W roku 2010 mianem „nones" określało siebie ok. 139 mln mieszkańców Starego Kontynentu (18,7 proc. populacji Europy), a w 2020 już ok. 190 mln (25,3 proc.). Jeszcze bardziej piorunująco statystyka ta wygląda w USA – liczba „nones" wzrosła do 101 mln osób w 2020 r., co oznacza wzrost o niemal 97 proc. (sic!) względem 2010 r., kiedy tak siebie widziało ok. 51 mln Amerykanów.

SKĄD WZIĘLI SIĘ „NONES"

Zdecydowana większość, bo ponad 90 proc., nowych „nones" w USA to ludzie, którzy do tej pory wyznawali, praktykowali lub przyznawali się do chrześcijaństwa, głównie protestantyzmu ewangelikalnego i katolicyzmu. Również 80–90 proc. „nones" w Europie to ekschrześcijanie lub ich dzieci, które już nie zostały wychowane religijnie.

Interesująca jest także struktura demograficzna tych osób – otóż średni wiek owych niewierzących czy niezdeklarowanych jest wyższy niż wiek muzułmanów i chrześcijan. Średni wiek wśród muzułmanów jest najniższy i wynosi ok. 24 lat. Wśród chrześcijan to ok. 30 lat. A wśród „nones" to 34–36 lat.

Globalnie osoby te mają też zdecydowanie mniej dzieci niż muzułmanie czy chrześcijanie. Średnia globalna liczba dzieci wśród muzułmanek to 2,9,

eprasa.pl 43498c26b4

wśród chrześcijanek – 2,6, a wśród kobiet niewierzących/niezdeklarowanych zaledwie 1,6. Warto jednak podkreślić, że mówimy o wskaźniku globalnym, wszak chrześcijanki z Afryki znacznie zawyżają średnią w porównaniu choćby z polskimi, bądź co bądź nadal w większości katolickimi kobietami (dzietność w Polsce to przecież zatrważające 1,099).

DAWNY I NOWY ŚWIAT

Największy wzrost liczby chrześcijan zawdzięczamy oczywiście Afryce. W ciągu zaledwie jednej dekady populacja Afryki Subsaharyjskiej odnotowała największy wzrost – zarówno w wartościach bezwzględnych, jak i procentowo. Między 2010 a 2020 r. udział tego regionu w globalnej populacji chrześcijańskiej wzrósł z 26 proc. do imponujących 31 proc. Przybyło tu ponad 80 mln nowych wyznawców chrześcijaństwa, co czyni ten region jednym z głównych centrów jego dynamicznego rozwoju. Do krajów szczególnie wyróżniających się pod względem wzrostu należą: Nigeria, Demokratyczna Republika Konga, Etiopia i Tanzania. Kluczowymi czynnikami tego trendu są wysoki przyrost naturalny, młoda struktura demograficzna oraz głęboka religijność społeczeństw, połączona z bardzo niskim poziomem odejść od wiary.

Znacznie mniejszy, ale jednak przyrost liczby chrześcijan zanotowano w Azji Południowo-Wschodniej i Południowej. Liczba wyznawców Chrystusa w populacji regionu pozostaje relatywnie niska. W takich krajach jak Filipiny przyrost wynika głównie z naturalnego wzrostu demograficznego, a nie z ekspansji religijnej. W Indiach, mimo że liczba chrześcijan wzrosła z ok. 28 do 31 mln, ich udział w społeczeństwie nadal utrzymuje się na bardzo niskim poziomie, stanowią zaledwie 2,3 proc. ludności bardzo dynamicznie się powiększającej.

W przeciwieństwie do dynamicznie rozwijających się regionów Globalnego Południa Europa doświadcza wyraźnego regresu w zakresie obecności chrześcijaństwa. W ciągu dekady udział kontynentu w globalnej populacji chrześcijan spadł z 26 proc. do 22 proc., co oznacza zarówno największy spadek liczbowy, jak i procentowy na świecie. Tutaj przyczyny są nie tylko demograficzne – wszak wśród głównych powodów tego trendu są masowe odejścia od religii.

Podobny obraz rysuje się w Ameryce Północnej, gdzie choć liczba chrześcijan wciąż pozostaje wysoka, to tempo ich odpływu jest porażające. W Stanach Zjednoczonych odsetek chrześcijan spadł z 78,3 proc. w 2010 r. do 64 proc. w 2020 r. – to jeden z najbardziej gwałtownych spadków na świecie. Kanada odnotowuje bardzo zbliżone tendencje. Powody są takie jak w Europie – chrześcijanie porzucają swą wiarę lub wiarę ojców.

W Polsce, jak doskonale wiemy, ta tendencja również jest wysoce niepokojąca. Według Narodowego Spisu Ludności z 2021 r. przynależność do Kościoła katolickiego zadeklarowało ok. 89 proc. respondentów, w 2010 r. było to 92 proc., w 2000 r. zaś 95 proc. Spada też liczba kleryków, z 6789 w 2000 r. do 1594 w roku akademickim 2024/2025 – to ponad 75 proc. mniej w ciągu 24 lat.

ATEIŚCI SIĘ NIE ROZMNAŻAJĄ

Omawiany raport potwierdza to, o czym media donoszą od lat, a mianowicie, że wiara na Zachodzie umiera. Ale aby nie popaść w rozpacz, warto zwrócić szczególną uwagę na pewne pierwiosnki nadziei wśród młodszych pokoleń w Europie i USA.

Zauważmy np., że opisywani tu „nones" stanowią głównie grupę starszą i posiadającą mniej potomstwa – a więc nierozwijającą się. Prognozy demograficzne dla tej grupy są najgorsze spośród wszystkich wymienionych. Mówiąc wprost – wymrą najprędzej.

Chrześcijaństwo rozwija się dynamicznie wyłącznie poza zachodnim kręgiem cywilizacyjnym

Środowiska katolickie i konserwatywne, od lat dostrzegając kryzys chrześcijaństwa Starego Świata, lubią podkreślać informacje oparte na nieporównywalnie mniejszych liczbach, o których napiszemy za chwilę. Dają one bowiem nadzieję na to, że jeśli chodzi o religijność Europejczyków i Amerykanów, to znajdujemy się już na takim dnie, że można się od niego tylko odbić, i być może właśnie zbliża się ów moment odbicia albo przynajmniej przygotowania do odbicia.

FOT. ADOBE STOCK

MASOWE CHRZTY NAD SEKWANĄ

Otóż w skrajnie zsekularyzowanej Francji w 2024 r., podczas Wigilii Paschalnej, ochrzczono aż 12 tys. osób, z czego 7135 to dorośli (to wzrost o 30 proc. względem 2023 r.), 5025 spośród nich zaś to młodzież w wieku 11–17 lat. A już w roku 2025 liczba katechumenów sięgnęła ponad 17,8 tys. osób, co oznacza wzrost o 45 proc. dla dorosłych w porównaniu z 2024 r. 36 proc. nowo ochrzczonych dorosłych to osoby w wieku 18–25 lat.

Co ciekawe, niejeden z młodych Francuzów, odpowiadając na pytanie o powody swojej decyzji, mówił o inspiracji zaczerpniętej od… wierzących rówieśników. Ale wierzących w Mahometa! Ich zaangażowanie religijne miało skłonić wielu rdzennych Francuzów do zainteresowania

eprasa.pl 43498c26b4

się wiarą ojców. A jeszcze większa liczba odpowiadających na to pytanie stwierdziła, że na drogę wiary trafili dzięki… mediom społecznościowym.

Media katolickie na całym świecie od kilku lat elektryzuje również zainteresowanie pielgrzymką z Paryża do Chartres, organizowaną przez środowiska skupione wokół tradycyjnej Mszy łacińskiej. Stała się ona jednym z najbardziej widocznych symboli odradzającej się religijności wśród młodych katolików. W 2025 r. zgromadziła rekordowe 19 tys. uczestników, w 2024 r. było ich 18 tys., w 2023 r. – 16 tys., a w 2010 r. – tylko ok. 10 tys.

Na jeszcze mniejszą skalę, ale jednak stanowiącą przełamanie trendu laicyzacyjnego, dostrzegalne jest drgnięcie również w innych miejscach Europy. W Belgii liczba chrztów dorosłych niemal się podwoiła w ciągu dekady: z 186 w 2014 r. do 362 w 2024 r. i do 536 w 2025 r. Równolegle o 3,6 proc. wzrosła liczba uczestników niedzielnej Eucharystii.

W Skandynawii, zwłaszcza w Norwegii, liczba katolików rośnie bardzo dynamicznie – z 95 tys. w 2015 r. do ponad 160 tys. w 2019 r., a według innych danych nawet trzykrotnie więcej niż osiem lat wcześniej. Około 90 proc. wiernych to migranci, lecz rośnie też liczba rodzimych konwertytów, którzy często wyróżniają się dużym zaangażowaniem. Podobnie w Szwecji: choć liczby są jeszcze mniejsze, to np. 70 katechumenów przyjętych podczas jednej Wigilii Paschalnej.

NA BEZRYBIU I RAK RYBA

Również w Stanach Zjednoczonych, mimo radykalnego odpływu starszych, obserwuje się wzrost liczby konwersji i chrztów dorosłych, szczególnie wśród młodych ludzi, zwłaszcza mężczyzn.

Przykładowo archidiecezja Los Angeles w ostatnich latach przyjęła do Kościoła ponad 5 tys. osób, z czego aż 2,8 tys. to ochrzczeni dorośli. Podobne rekordy padły w diecezjach Cleveland (812 konwertytów, wzrost o 50 proc.), Des Moines (wzrost o 87 proc.), Fort Worth (72 proc.) czy Trenton (53 proc.). Również mniejsze diecezje, jak Marquette czy Springfield, notują wzrosty rzędu kilkunastu–kilkudziesięciu procent.

Za tym zjawiskiem stoi coraz wyraźniejszy zwrot „generacji Z" ku katolicyzmowi – według badania Harvardu identyfikacja katolicka wśród osób w wieku 13–28 lat wzrosła w ciągu jednego roku z 15 proc. do 21 proc. Wielu młodych mężczyzn przyciąga do Kościoła poszukiwanie sensu, stabilnych wartości i wspólnoty, które znajdują w liturgii, sakramentach i intelektualnej tradycji katolickiej. Popularność zyskują Msze trydenckie, katechizm i klasyczne dzieła teologiczne, a duży wpływ mają także media społecznościowe – rosnąca liczba katolickich apologetów na YouTube i TikToku trafia do odbiorców spragnionych głębi i tożsamości.

KTO SIEJE, TEN ZBIERA

Owszem, w obliczu rzędów wielkości zakreślonych na początku tekstu te skromne liczby z kilku diecezji Europy czy Stanów Zjednoczonych mogą wydać się nieuprawniającymi do jakiegokolwiek optymizmu. I tak rzeczywiście jest. Islam brawurowo rośnie w siłę – zarówno w państwach azjatyckich i afrykańskich, jak i wśród mniejszości muzułmańskiej zasiedlającej od niedawna kraje europejskie. Chrześcijaństwo zaś rozwija się dynamicznie wyłącznie poza zachodnim kręgiem cywilizacyjnym i nic nie wskazuje na to, by w ciągu najbliższych 10 lat obroniło pozycję lidera pod względem wielkości populacji. Niechybnie zajmie ją islam.

Ale kto wie? Być może tych kilka jaskółek, które coraz częściej pojawiają się na Zachodzie, wzbudzając ostrożną radość wypatrujących takich promyków nadziei katolickich publicystów, stanie się jakimś zasiewem na przyszłość. Pamiętajmy, że dwa tysiące lat temu na świecie – zamieszkanym wówczas, według różnych obliczeń, przez ok. 200–300 mln osób – wystarczyło 12, a chwilę potem 70 ludzi, by zasiać ziarno dające miliardowe plony przez kolejne XX wieków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl 43498c26b4

Paweł Chmielewski

Światło na czas chaosu

Konwertyta z anglikanizmu kard. John Henry Newman został ogłoszony doktorem Kościoła katolickiego. To niezwykłe wyróżnienie – a wybór Newmana jest pod wieloma względami bardzo zagadkowy

Można się zastanawiać, jak to w ogóle możliwe, że właśnie dziś kard. Newmana spotykają najwyższe honory FOT. NATIONAL PORTRAIT GALLERY

Doktorzy Kościoła to ludzie, którzy wnieśli szczególny wkład w zrozumienie tajemnic Objawienia. Papieże obdarzyli tym wybitnym tytułem zaledwie 38 osób. John Henry Newman jest w tym wąskim gronie postacią wyjątkową. Nie tylko nie urodził się katolikiem, lecz także prawie połowę swojego długiego życia (1801–1890) spędził w Kościele Anglii. Nawrócił się dopiero w 1845 r., o wiele później niż choćby św. Augustyn. Obok Teresy z Lisieux to także jedyny doktor Kościoła urodzony po rewolucji francuskiej – większość pozostałych to starożytni. Wreszcie – to w pewnym sensie całkowicie „posoborowy" święty. Newman otrzymał kardynalat od papieża Leona XIII, ale na ołtarze został wyniesiony dopiero po Vaticanum II. Jego proces beatyfikacyjny rozpoczął Jan Paweł II, a zakończył Benedykt XVI. Kanonizował go Franciszek, a doktorem ogłosił dopiero Leon XIV. Zarazem Newman jest autorem dzieł pozostających nieledwie na antypodach tego, co na ogół rozumie się pod określeniem „posoborowia".

JEZUSOWA METAFORA ZIARNA GORCZYCY

Sztandarowym dziełem Newmana jest praca „O rozwoju doktryny chrześcijańskiej". Napisał ją jeszcze jako anglikanin i opublikował tuż przed przejściem na katolicyzm; władza kościelna nie znalazła w niej jednak żadnego błędu i rzecz funkcjonuje jako znakomite omówienie problematyki zmian w doktrynie Kościoła. Pisząc tę książkę, Newman chciał dać odpór przede wszystkim dwóm grupom silnie obecnym w ówczesnym krajobrazie Kościoła Anglii: z jednej strony „protestantom", czyli gorliwym zwolennikom nauk kontynentalnych reformatorów, zwłaszcza Marcina Lutra i Filipa Schwartzerdta (Melanchtona); z drugiej zatwardziałym „anglokatolikom", czyli ludziom zafascynowanym katolicką teologią i wieloma aspektami katolickiej tradycji, w tym liturgią, ale kategorycznie odrzucającym roszczenie papieża do zwierzchnictwa nad chrześcijaństwem. „O rozwoju doktryny" to tak naprawdę wielka apologia dogmatu o nieomylności papieża – ćwierć wieku przed jego oficjalnym sformułowaniem na Soborze Watykańskim I.

Newman pokazał, na czym polega prawdziwy „rozwój" doktryny. W największym skrócie – pisał kardynał – ujął to sam Jezus Chrystus, mówiąc o Królestwie Bożym i ziarnku gorczycy. Bóg dał Kościołowi całe Objawienie, ale w niektórych aspektach trzeba, żeby wyrosło na przestrzeni czasu. Nie zawsze wystarcza proste oparcie się na Piśmie Świętym. Odpowiedź na niektóre istotne pytania, np. o chrzest niemowląt czy czyściec, wymaga pracy teologów i decyzji Urzędu Nauczycielskiego Kościoła.

Jezusowa metafora ziarna gorczycy jest bardzo istotna w kluczowym aspekcie: z ziarna gorczycy może wyrosnąć tylko

eprasa.pl 43498c26b4

krzew gorczycy. Wzrost jest naturalny – nie ma tu nigdy żadnej sprzeczności. Ten element nauki Newmana o rozwoju doktryny to fundamentalny problem dla współczesnych progresistów. Ludzie ci uważają, że doktryna może zmieniać się w całkowitym oderwaniu od przeszłości. Twierdzą np., że jeżeli Kościół głosił, iż tylko wiara katolicka daje zbawienie, to czynił tak z racji na uwarunkowania kulturowe i niezdolność do pójścia dalej. Dlatego dziś progresywny teolog powie, że zbawienie dają też inne religie. Przyzna, oczywiście, że jest to sprzeczne z poprzednim ujęciem sprawy – ale stwierdzi, że to żaden kłopot, bo rozwój doktryny nie musi być harmonijny, owszem, może dochodzić do zerwań, zwrotów czy nagłych skoków. Newman nigdy by się z tym nie zgodził; zresztą taki pogląd potępił w jego czasach bł. Pius IX w encyklice „Qui pluribus" z 1846 r., niemal dokładnie współczesnej omawianej książce kardynała. Dlatego dla ruchu progresywnego naszych czasów wyniesienie Newmana do rangi doktora Kościoła jest de facto wielkim policzkiem. Aż dziwne, że tak znacząco przyczynili się do tego Franciszek i Leon XIV – dwaj papieże, którzy są znani z bardzo „dynamicznego" rozumienia zmian doktrynalnych.

„Z CIENI I WYOBRAŻEŃ KU PRAWDZIE"

Newman nie pasuje też zupełnie do współczesnego rozumienia dialogu ekumenicznego. Doktor Kościoła zupełnie świadomie odrzucił pogląd, zgodnie z którym chrześcijanin może uzyskać zbawienie niezależnie od tego, w jakiej znajduje się wspólnocie. Idea ta była dość rozpowszechniona wśród teologów anglikańskich jego czasu, a nazywała się latitudynaryzmem – od łacińskiego „latitudo", czyli „szerokość". Dla zwolenników tego poglądu kluczowe było wewnętrzne przekonanie danego chrześcijanina o prawdziwości jego wiary – każdy mógł poczuwać się do przynależności do prawdziwego Kościoła Chrystusa na podstawie własnych emocji, przekonań i decyzji woli, a sam prawdziwy Kościół Chrystusa miał duchowy charakter, pozbawiony materialnego odpowiednika na ziemi. Współcześnie błąd neolatitudynaryzmu jest nieledwie podstawą popularnie rozumianego ruchu ekumenicznego. Mniej lub bardziej wprost wyznaje go wielu uznanych w świecie teologów; jest też rozpowszechniony w naszym kraju. Są biskupi czy nawet kardynałowie opowiadający, że chrześcijanie pobudowali sobie na przestrzeni lat swoje „domki" – każdy ma własny i zaciekle broni jego granic, tymczasem trzeba jakoby uznać, że wszystkie realizują na swój sposób dzieło Chrystusa. Wtórują im protagoniści ruchu charyzmatycznego, mówiąc o perspektywie „przełamania granic historycznych kościołów" i stworzeniu w niedalekiej przyszłości nowego, bardziej luźno rozumianego pan-Kościoła chrześcijańskiego… Newman kategorycznie piętnował to jako błąd. Chyba we wszystkich swoich znaczących dziełach wskazywał, że skoro Pan Bóg dał ludziom Objawienie, to nie mógł zaniedbać również jednego powszechnego pasterza w jednej owczarni – papieża w Kościele katolickim. Sam zresztą zdecydował się na zaprzeczenie błędu latitudynarystycznego, porzucając Kościół Anglii jako wspólnotę opartą na fałszu i przechodząc na łono katolicyzmu. Na nagrobku Newman zażyczył sobie wyryć tylko jedno zdanie: „Ex umbris et imaginibus in veritatem", czyli „z cieni i wyobrażeń ku prawdzie". Tak właśnie Newman widział relacje pomiędzy wspólnotami odłączonymi od Rzymu a samym Rzymem – te pierwsze są tylko cieniem odwiecznej prawdy.

Z potępieniem latitudynaryzmu wiąże się też odrzucenie twierdzenia, jakoby czymś normalnym i uprawnionym wśród chrześcijan była wielka różnorodność poglądów doktrynalnych i moralnych. Dla Newmana nie ulegało wątpliwości, że kiedy Urząd Nauczycielski Kościoła rozstrzygnie jakąś kwestię, ta nie podlega już dalszej dyskusji. Owszem, może być nadal ubogacana czy jeszcze lepiej zrozumiana, ale wolność wygłaszania poglądów sprzecznych z tym rozstrzygnięciem ulega zakończeniu. Wspólnota chrześcijan oparta na wielkiej dowolności głoszenia nawet sprzecznych ze sobą poglądów stała się przedmiotem jego wręcz szyderstwa literackiego. W 1848 r. opublikował powieść „Strata i zysk", od niedawna dostępną też w języku polskim. Newman pokazuje tam całkowity chaos anglikanizmu jego czasu, gdzie każdy wybiera sobie elementy nauki, w które chce wierzyć. Anglikanie mają za podstawę swojej konfesji 39 artykułów wiary, które powinny wszystkich łączyć. Newman opisując trendy i nurty religijne w Kościele Anglii lat 20. XIX w., kiedy toczy się jego powieść, dowodził, że nie było zgody nawet co do tego – część teologów składała przysięgę na artykuły, traktując to czysto symbolicznie, bez intencji faktycznego przyjmowania tego, co mówi ich litera.

Lektura „Straty i zysku" powinna w katoliku wzbudzać pewien uśmiech politowania – i jeszcze kilka dekad temu pewnie tak było. Dziś trudno jednak nie czytać tej książki z zażenowaniem czy nawet ze wstydem, widząc, jak bardzo teologia katolicka w naszych czasach zbliżyła się do chaotycznej masy anglikańskiej sprzed 200 lat. Rosnąca liczba duchownych i świeckich traktuje oficjalne nauczanie Kościoła bardzo luźno, raczej jako ogólny punkt orientacyjny niż zespół prawd podanych do wierzenia. Znaczenia nie mają nawet uroczyste rozstrzygnięcia papieskie. Wielu biskupów kwestionuje takie dokumenty jak encyklika „Humanae vitae" Pawła VI czy „Veritatis splendor" Jana Pawła II, nie wspominając nawet o tekstach papieskich sprzed Soboru Watykańskiego II, nierzadko kompletnie lekceważonych. Jest tak, jakby obowiązywał już tylko dekalog – choć i to wydaje się coraz bardziej wątpliwe. Poparcie dla legalnej aborcji wyrażane przez niektórych ludzi Kościoła trudno pogodzić z piątym przykazaniem, pochwałę homoseksualnego stylu życia z szóstym, a kult Pachamamy czy deklaracja z Abu Zabi stawiają pod znakiem zapytania nawet najważniejsze ze wszystkich, czyli pierwsze.

Można się zastanawiać, jak to w ogóle możliwe, że właśnie dziś Newmana spotykają najwyższe honory. Przecież jego nauczanie stanowi mocny akt oskarżenia pod względem znacznej części dzisiejszej kościelnej hierarchii, w tym niektórych papieży. Patrząc czysto zdroworozsądkowo, wolno dostrzec w przyznaniu mu tytułu doktora Kościoła swoisty znak powagi i trzeźwości, która tkwi cały czas we wspólnocie katolickiej, choć trudno je dostrzec pod zwałami nawarstwiającego się bałaganu. Wierzący zobaczą jednak coś więcej: przejaw asystencji Ducha Świętego, który pokazuje drogę wyjścia nawet z największego kryzysu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 43498c26b4

Dzieci i „psieci”

Filip Memches

Opiniotwórcze media, które promują lewicowo-liberalną agendę światopoglądową, dużo robią, żeby obrzydzić Polakom rodzicielstwo

FOT. ADOBE STOCK

Kryzys demograficzny w Polsce to fakt, z którym trudno się spierać. Można powiedzieć, że w polskiej debacie publicznej jest w tej sprawie konsensus. Ale dotyczy on samej diagnozy sytuacji. Wystarczy jednak, że w dyskusji podjęty zostaje temat przyczyn tego stanu rzeczy i recept na jego poprawę, a pojawiają się rozbieżności.

Demografia jest bowiem uwikłana w toczone przez Polaków spory kulturowe. W nich zaś daje o sobie znać hipokryzja tej części politycznego i medialnego mainstreamu, która podąża za rozmaitymi modnymi bzdurami. Z jednej strony słyszy się bowiem narzekanie, że w Polsce jest spadek dzietności, więc będą narastać kłopoty z zastępowalnością pokoleń, a z drugiej – pojawiają się głosy afirmujące bezdzietność z wyboru jako przejaw dążenia do indywidualnego szczęścia na przekór oczekiwaniom społecznym, interpretowanym jako karygodne ograniczenia wolności jednostki.

Przekonał się o tym w roku 2023 Aleksander Kwaśniewski na antenie TVN24 w rozmowie z Piotrem Jaconiem – dziennikarzem, który szczególnie zagorzale szermuje swoim progresizmem (jest ojcem transpłciowego dziecka i z tego swojego osobistego dramatu uczynił oręż w walce z polskim „ciemnogrodem”). Były prezydent Polski odniósł się do decyzji swojej córki o braku potomstwa i wyznał, że byłby jednak szczęśliwy, gdyby miał wnuki. Ta szczerość Kwaśniewskiego spotkała się z dezaprobatą Jaconia. Dziennikarz zganił swojego rozmówcę, dając mu do zrozumienia, że nie ma on prawa swojej córce czegokolwiek narzucać. Przywołany do porządku Kwaśniewski zaczął się więc tłumaczyć, że bynajmniej jej wyboru nie podważa.

POWSZECHNY INFANTYLIZM

Wyczuciem ducha czasu natomiast wykazała się rok później żona byłego prezydenta w programie „Trójkąt polityczny” w TVP Info. Jolanta Kwaśniewska również wyraziła żal, że nie ma wnuków, ale szybko zneutralizowała swoją wypowiedź, dodając, że jest za to szczęśliwą „lolą” dwóch psów („dwóch fajnych panienek”) swojej córki. Tu należy się wyjaśnienie pojęcia „lola”. Kwaśniewska oznajmiła, że tak jest nazywana w domu, a słowo to pochodzi z Filipin i oznacza… babcię.

Wyżej przywołany przypadek byłej pierwszej damy to tylko jeden z wielu przykładów tego, w co wierzyli dawni marksiści: postęp niemożliwość czyni możliwością. A zatem – na pewnym etapie rozwoju ludzkości, w wyniku emancypacji względem tradycyjnego modelu rodziny – jest możliwe bycie babcią lub dziadkiem bez wnuków. To samo dotyczy zresztą rodzicielstwa, o czym świadczy zawrotna kariera terminu „psiecko”. Dla Aleksandry Kwaśniewskiej, córki byłej pary prezydenckiej, jej dwa psy to – jak można się domyślać – po prostu „psieci”.

Są jednak ludzie, którzy nie przyjmują do wiadomości, że świat się zmienia. Wśród nich znalazł się Krzysztof Ziemiec. Dwa lata temu ten znany dziennikarz na swoim koncie w serwisie X zamieścił wpis o tym, jak zobaczył na ulicy kobietę i mężczyznę z wózkiem dziecięcym, w którym zamiast dziecka był pies. Ale Ziemiec niczego szczególnego nie napisał. Po prostu zwrócił uwagę na zjawisko. Tyle że już samo zwrócenie na nie uwagi zostało przez wielu internautów odczytane – zresztą słusznie – jako komunikat dziennikarza, że mamy do czynienia z jakąś anomalią. Dlatego pod adresem Ziemca, który skądinąd nie kryje swoich konserwatywnych poglądów, posypały się na X komentarze potępiające jego wpis jako wyraz nietolerancji.

To, że współcześnie na Zachodzie wiele osób zamiast starania się o potomstwo wybiera opiekę nad psem lub innym zwierzęciem, jest świadectwem rozpowszechnionego infantylizmu. Oto do rangi cnoty urosło egoistyczne zaspokajanie własnych potrzeb emocjonalnych, zwłaszcza że pop-psychologia zachęca do tego, żeby się w życiu przede wszystkim samoreali-

eprasa.pl 43498c26b4

BARTOSZ MARCZUK, MICHAŁ KOT „JAK UNIKNĄĆ DEMOGRAFICZNEJ KATASTROFY. O LUDNOŚCIOWYM PEGAZ-IE, RÓWNANIU RODZINNYM I DOBRYM MIEJSCU DO ŻYCIA" WYDAWNICTWO PRZEŚWITY, WARSZAWA 2025

zować. A to koliduje z rodzicielstwem, bo dla osoby, która się na nie decyduje, oznacza ono wiele poświęceń i wyrzeczeń. Relacje rodzica z potomstwem są przecież dużo trudniejsze niż to, co łączy człowieka z jego czworonożnym pupilem. Dziecko jest istotą rozumną i na dłuższą metę, z upływem czasu, opiera się uprzedmiotowieniu. Inaczej wygląda to z psem. Zwierzę daje się uprzedmiotowić i tym samym pełni funkcję użytkową, także jeśli chodzi o zaspokajanie emocjonalnych potrzeb jego właściciela (choćby jako domowa maskotka, którą się przytula).

Opiniotwórcze media w Polsce dużo robią, żeby obrzydzić Polakom rodzicielstwo i jednocześnie afirmują nowy model rodziny, w którym rola dzieci przypada czworonogom. Na tym polu wyróżniają się głównie promujące lewicowo-liberalną agendę światopoglądową „Gazeta Wyborcza" i „Newsweek". Wystarczy rzucić okiem na niektóre tytuły zamieszczonych w nich tekstów i wywiadów: „Posiadania dzieci żałuje co dziesiąty młody rodzic w Polsce", „Dwa plus psiecko. Nie mają ludzkich dzieci, za to mają »dzieci« psie: „Nigdy nie jesteśmy Figą zmęczeni" (Figa to imię psa), „Dzieci odebrały im radość z życia. »Jestem wrakiem człowieka«", „»Nienawidzę być matką!«. Marzyli, by zostać rodzicami. Teraz żałują".

Gdyby się chciało sformułować jakąś teorię spiskową, to bazowałaby ona na przekonaniu, że za takimi materiałami stoją ośrodki polityczne (obce państwa?), którym zależy na tym, żeby Polacy jako naród wyginęli. Ale byłyby to tylko łatwe do wyśmiania spekulacje. Tymczasem problem procesów depopulacyjnych w Polsce jest poważny i należy do niego podejść na chłodno, tak jak to uczynili choćby autorzy niedawno wydanej książki „Jak uniknąć demograficznej katastrofy. O ludnościowym PEGAZ-ie, równaniu rodzinnym i dobrym miejscu do życia".

PIENIĄDZE TO ZA MAŁO

Napisali ją eksperci od demografii Bartosz Marczuk i Michał Kot. Warto zatrzymać się zwłaszcza przy tym pierwszym nazwisku. Marczuk – socjolog, publicysta (przez jakiś czas zastępca redaktora naczelnego w „Rzeczpospolitej" i „Wprost"), menedżer – ma na swoim koncie epizod pracy w randze podsekretarza stanu w administracji państwowej w latach 2015–2018, a więc podczas pierwszej kadencji rządów Zjednoczonej Prawicy. Był odpowiedzialny m.in. za wdrażanie programu „Rodzina 500+". Jest to o tyle istotna uwaga, że chodzi o program, który postrzegany był jako rewolucja w polskiej polityce prorodzinnej. Lansujący go polityczni decydenci twierdzili, że poprawi on dzietność w Polsce. Tak się jednak nie stało.

Książka Marczuka i Kota potwierdza to, co powinno było się jawić jako oczywistość, gdy zapowiadano demograficzne efekty „Rodziny 500+". Pieniądze na potomstwo od państwa stanowią dla rodziców realne wsparcie, ale to za mało. Żeby przychodziło na świat więcej dzieci, muszą być spełnione również warunki wykraczające poza pomoc finansową. I tak dochodzimy do kwestii kulturowych.

Zawarty w tytule książki Marczuka i Kota termin „PEGAZ" to koncepcja, w której poszczególne litery oznaczają obszary oddziaływania na kondycję demograficzną społeczeństwa polskiego. „P" to potrzeby (aspiracje dotyczące dzietności), „E" – emocje (źródło związków, które dają początek rodzinom), „G"– godność (materialne zabezpieczenie rodzin), „A" – atrakcyjność (czym przyciągnąć do kraju Polaków z emigracji), „Z" – zagranica (przemyślana polityka imigracyjna). To głównie dwie pierwsze litery dotyczą właśnie czynników kulturowych.

Marczuk i Kot podają mnóstwo danych, z których wynika, że to, co w środowiskach lewicowo-liberalnych uchodzi za patologię, obciach, wstecznictwo, jest siłą społeczeństw. Można tu wymienić m.in. religię. Chrześcijaństwo czy judaizm przywiązują olbrzymią wagę do więzi międzyludzkich, dla których podstawą jest instytucja rodziny. Ale przede wszystkim należy dostrzec rolę wzorców społecznych. Kształtują je z korzyścią dla społeczeństw trwałe małżeństwa i wielodzietne rodziny. To, czy się posiada rodzeństwo czy nie, jest dość istotne. Jak czytamy w książce Marczuka i Kota: „Osoby wychowujące się z bratem lub siostrą od najmłodszych lat uczą się komunikacji, współpracy i umiejętności zawierania kompromisów". Natomiast kluczowe dla obrazu rodziny są relacje między rodzicami. Marczuk i Kot powołują się na przygotowany w roku 2023 przez Instytut Pokolenia raport, z którego wynika, że doświadczenie rozpadu małżeństwa rodziców przed ukończeniem przez dziecko siódmego roku życia mają za sobą dwa razy częściej kobiety bezdzietne.

Polską może rządzić prawica, która odwołuje się do wartości rodzinnych, a dzietność i tak nie będzie wzrastać

Na razie jednak – wbrew chęci do działania, którą chcą w Polaków tchnąć autorzy „Jak uniknąć demograficznej katastrofy" – w Polsce mamy do czynienia z orką na ugorze. Nie uciekniemy od tego, że kulturowymi trendsetterami nad Wisłą są orędownicy „życia ułatwionego" (by posłużyć się sformułowaniem aktywnego w pierwszej połowie XX w. krytyka literackiego i publicysty Jana Emila Skiwskiego), a „ciemny lud" ich przekaz kupuje.

Przy czym to nie jest kwestia określonej koniunktury politycznej. Polską może rządzić prawica, która odwołuje się do wartości rodzinnych, a dzietność i tak nie będzie wzrastać. Dlatego że w zbiorowej podświadomości Polaków panuje liberalny paradygmat kulturowy, który stanowi doskonały grunt dla postaw narcystycznych, to znaczy zajmowania się sobą, a nie potomstwem. Do tego dochodzi ciemna strona rozwoju technologicznego. Zdaniem Marczuka i Kota cyfryzacja relacji międzyludzkich powoduje, że młodzi Polacy w realu stają się samotnikami.

Polscy politycy zaś, także ci z prawej strony, dają swoim wyborcom marny przykład. Jako priorytet obrali sobie zdobywanie i utrzymywanie poparcia społecznego, więc kierują się doraźnym populizmem (choćby wzdragając się przed podwyższeniem wieku emerytalnego). Strategiczne, długoterminowe traktowanie polskiego interesu narodowego niezbędne dla uniknięcia katastrofy demograficznej od siebie odsuwają.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 43498c26b4

Trutka w szkole

Mariusz Dzierżawski

Wychowaniem dzieci w sprawach płciowości i prokreacji powinni zająć się rodzice. Nikt nie może zdjąć z rodziców tej odpowiedzialności. „Upaństwowienie" dzieci, które obserwujemy na Zachodzie, prowadzi do upadku moralnego

FOT. ADOBE STOCK

Prezydium Episkopatu, odnosząc się do wprowadzanej do szkół edukacji zdrowotnej, zwróciło się do rodziców słowami: „Nie wolno wam zgodzić się na systemową deprawację waszych dzieci, która ma być prowadzona pod pretekstem tzw. edukacji zdrowotnej. W trosce o wychowanie i zbawienie apelujemy, abyście nie wyrażali zgody na udział waszych dzieci w tych demoralizujących zajęciach".

W debacie wypowiedzieli się również „katolicy otwarci", którzy zachęcali do wzięcia udziału w zajęciach, ponieważ 90 proc. programu zawiera dobre rzeczy, a tylko 10 proc. to tematy „kontrowersyjne".

Przyjrzyjmy się tej argumentacji dokładniej, badając założenia wprowadzanej reformy, a także historię podobnych przedsięwzięć w Polsce i krajach, które „edukację seksualną" wprowadziły kilkadziesiąt lat temu.

LATA PRÓB

Postulaty wprowadzenia „edukacji seksualnej" środowiska popierające głosiły już w czasie pierwszej debaty aborcyjnej, od początku III RP. Kolejne rządy wprowadziły ją pod postacią wychowania do życia w rodzinie, które stało się celem niekończących się ataków ze strony feministycznej/proaborcyjnej. Ówczesna narracja aborcjonistów przyznawała, że aborcja jest złem, któremu można zapobiec, edukując seksualnie dzieci i młodzież.

W 2013 r. rząd PO zaprezentował „Standardy edukacji seksualnej w Europie". Prezentacja miała być początkiem kampanii na rzecz wprowadzenia seksedukacji w miejsce WDŻ. Operacja spotkała się ze zdecydowanym odporem ze strony środowisk reprezentujących rodziców, a istotną rolę w ich mobilizowaniu odegrał obywatelski projekt ustawodawczy „Stop pedofilii", który w 2014 r. uzyskał kilkaset tysięcy podpisów obywateli. Ze względu na zbliżające się wybory rząd nie zdecydował się na wprowadzenie edukacji seksualnej do szkół.

W czasie rządów PiS w latach 2015–2023 nie nastąpiły w tym zakresie żadne zmiany w programie nauczania, choć rząd Morawieckiego na ogół był uległy wobec Brukseli, która domagała się większej otwartości na deprawację młodzieży. Trwała jednak nieustanna kampania medialna na rzecz wprowadzenia edukacji seksualnej, a w miastach rządzonych przez PO i Lewicę próbowano wprowadzić ją na poziomie lokalnym. Próby te w Gdańsku i Warszawie wywołały opór rodziców. Kolejna inicjatywa ustawodawcza „Stop pedofilii", z roku 2019, opór ten umocniła. PiS werbalnie popierał projekt, trzymał go jednak w „zamrażarce" przez dwie kadencje, po których upływie jego ważność wygasła.

Władze Poznania, Gdańska, Szczecina i Warszawy finansowały organizacje LGBTQ+, uprawiające „edukację seksualną" w mediach. Seksedukatorzy

eprasa.pl 43498c26b4

reklamowali seks grupowy, namawiali do korzystania z narkotyków podczas orgii, zachwalali wszelkie wynaturzenia. „Gazeta Wyborcza" informowała o gwałtach we wspieranym przez prezydenta Trzaskowskiego Homokomando.

TO SAMO W NOWYM OPAKOWANIU

Te właśnie środowiska od lat domagały się wprowadzenia edukacji seksualnej i to one zajęły się przygotowaniem edukacji zdrowotnej. Na czele projektu został postawiony Zbigniew Izdebski, który w 2004 r. przeprowadził w szkołach ankietę, w której pytał uczniów m.in.: Czy już się masturbowali? Ile razy świadczyli już płatne usługi seksualne za pieniądze lub ubrania czy kosmetyki? Z kim zwykle oglądają pornografię? Jaki rodzaj pornografii oglądają i czy jest to np. seks ludzi ze zwierzętami lub seks grupowy? Izdebskiemu pomaga Antonina Kopyt, „edukatorka seksualna", ekspertka fundacji Sexed.pl. To ona wpadła na genialny pomysł zmiany nazwy „edukacja seksualna" na „edukacja zdrowotna". W ramach operacji maskującej do treści seksualnych w programie dodano dobrze brzmiące punkty dotyczące zdrowego trybu życia.

Zmieniły się nazwa i opakowanie, nie zmienił się cel przedsięwzięcia – przedstawienie seksu jako źródła przyjemności i korzyści. Im więcej doświadczeń seksualnych, tym lepiej. Nie zmienili się również ludzie wprowadzający program pod nową nazwą. Lenin mówił, że „kadry decydują o wszystkim". Zarządzający programem rekrutują i będą rekrutowali do pracy w szkołach innych „edukatorów seksualnych". Z prawdopodobieństwem bliskim pewności można twierdzić, że wielu „edukatorów" nie tylko naucza, lecz także praktykuje „różnorodność seksualną". Tacy ludzie nawet kiedy będą mówić o zdrowym stylu życia (i innych niekontrowersyjnych tematach), poinformują uczniów, że aktywność seksualna podnosi „dobrostan" i w ogóle jest bardzo wskazana.

Na Zachodzie edukacja seksualna (będąca wzorem polskiej „edukacji zdrowotnej") w szkołach jest praktykowana od dziesięcioleci. Stan zdrowia fizycznego, psychicznego, zwłaszcza w aspekcie seksualności, systematycznie się pogarsza. Mimo że w Polsce sytuacja również jest trudna, statystyki zachodnie są znacznie gorsze. Dotyczy to zwłaszcza liczby chorób wenerycznych, aborcji wśród młodocianych i przestępstw na tle seksualnym z udziałem nastolatków jako agresorów.

Obrońcy edukacji zdrowotnej często posługują się argumentem, że źródłem problemów, o których wspomniałem wyżej, jest Internet, a „lekcje seksu" mają tym problemom zaradzić. Przypomina to pomysł gaszenia pożaru benzyną, ponieważ to właśnie „edukatorzy seksualni" odpowiadają za znaczną część demoralizujących materiałów w Internecie. Charakterystycznym przykładem jest Benjamin Levin, autor programu seksedukacji, którą jako wiceminister edukacji wprowadzał w prowincji Ontario. W 2015 r. Levin został skazany za produkcję i dystrybucję pornografii dziecięcej na trzy lata więzienia.

W POSZUKIWANIU ODTRUTKI

Oczywista szkodliwość edukacji seksualnej, nawet jeśli zostanie nazwana edukacją zdrowotną, dyskwalifikuje ten program. Nasuwa się pytanie, w jaki sposób powstrzymać postępujące zatrucie młodzieży niebezpiecznymi treściami, które płyną z Internetu, a zwłaszcza z mediów społecznościowych. Państwo polskie ma instrumenty prawne, aby powstrzymać zalew pornografii i innych toksycznych treści z Internetu. Gdyby państwo zastosowało takie same środki, jakie stosuje wobec rzekomej „mowy nienawiści", liczba podmiotów rozpowszechniających pornografię zmniejszyłaby się radykalnie. Z jakichś powodów jednak ani władze Polski, ani władze Unii takich kroków nie chcą podjąć. Jak potwierdza konwencja stambulska, koncentrują się na walce z rodziną i religią. Dużym krokiem naprzód byłoby, gdyby władze przestały szkodzić i forsować demoralizację.

Czy potrzebne są działania pozytywne odnoszące się do wychowania w tej sferze? Owszem, należy jednak pamiętać, że kwestie związane z płciowością są sprawą delikatną i intymną. Publicznie chętnie mówią o nich prostacy i dewianci seksualni. Wychowaniem dzieci w sprawach płciowości i prokreacji powinni zająć się rodzice. We wspomnianym na początku liście biskupi napisali: „Pamiętajcie, że jesteście w sumieniu przed Bogiem odpowiedzialni za ich (dzieci) prawidłowe wychowanie".

Nikt nie może zdjąć z rodziców tej odpowiedzialności. „Upaństwowienie" dzieci, które obserwujemy na Zachodzie, prowadzi do upadku moralnego, a w konsekwencji niszczy całe społeczeństwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 43498c26b4

Z Tomaszem Krokiem, historykiem
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

W sieci zdrady

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: „Afera teozofów" to niepamiętany epizod naszych dziejów najnowszych. Dlaczego?

TOMASZ KROK: Ta historia miała zostać zapomniana przede wszystkim ze względu na udział w całej sprawie Niny Andrycz, żony ówczesnego premiera Józefa Cyrankiewicza, która była nieświadomą informatorką jednej ze współpracownic mjr. Czaykowskiego, chętnie dzieląc się plotkami i informacjami dotyczącymi wierchuszki komunistycznej władzy.

Gdyby wyszło to na jaw, mogłoby to oznaczać koniec błyskotliwej, a zarazem pełnej zgniłych kompromisów, kariery jej męża. Stawiam tezę, że to głównie z tego powodu utajniono cały proces. Podejmujący działalność wywiadowczą w powojennej Polsce musieli się nieźle natrudzić, by pokonać jej granicę. W przypadku Czaykowskiego był to sposób o tyle brawurowy, ile lekkomyślny. Major przybył do Polski 29 lipca 1949 r. zwykłym samolotem rejsowym na trasie Londyn – Warszawa, dysponując paszportem kupionym od byłego palacza ambasady PRL w Londynie, który sprzedał ten dokument polskiemu wywiadowi emigracyjnemu. O mały włos wpadłby już na lotnisku Okęcie, uratowała go jednak niefrasobliwość jednego z oficerów Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, który zauważywszy status dyplomatyczny paszportu, zaprzestał dalszej weryfikacji jego właściciela. Była to olbrzymia wpadka komunistycznego kontrwywiadu. Na tyle wstydliwa, że po latach, gdy opowiadano o sprawie rozbicia sieci Czaykowskiego w propagandowej, resortowej kronice filmowej pt. „Droga walki" jako wielkim sukcesie aparatu bezpieczeństwa, posłużono się kłamstwem. Akcentowano, że major dotarł do Polski, przebił się z Bizonii, angloamerykańskiej strefy okupowanych Niemiec.

Kim był „Garda"?

Zapisał piękną kartę dziejową. Ten oficer kawalerii, cichociemny, członek Armii Krajowej i bohater powstania warszawskiego urodził się w 1912 r. na terytorium dzisiejszej Litwy w rodzinie ziemiańsko-inteligenckiej. Edukację zdobywał m.in. w Korpusie Kadetów oraz Szkole Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu. We wrześniu 1939 r. wal-

Major Andrzej Czaykowski ps. Garda
FOT. IPN

eprasa.pl 43498c26b4

TOMASZ KROK
„AFERA TEOZOFÓW"
INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ 2025

czył w szeregach Grupy Operacyjnej „Narew", po czym trafił na Litwę, gdzie został internowany w obozie w Rakiszkach.

Po ucieczce wstąpił do Związku Walki Zbrojnej. Aresztowany przez Sowietów trafił do łagru. Uwolniony po układzie Sikorski-Majski zgłosił się na szkolenie cichociemnych w Wielkiej Brytanii. W AK zaprzysiężony pod pseudonimem Garda. Do okupowanego kraju zrzucono go w kwietniu 1944 r. Początkowo służył w komórce odpowiedzialnej za odbiór zrzutów, następnie dołączył do batalionu „Olza" w zgrupowaniu „Baszta".

W powstaniu warszawskim dowodził oddziałami w rejonie Mokotowa. 26 września 1944 r. jego grupa, ok. 180 żołnierzy, przedostała się kanałami do Śródmieścia. Po kapitulacji powstania zdołał uciec z kolumny jenieckiej pod Ożarowem. W listopadzie 1944 r. został aresztowany przez gestapo i osadzony w obozach Gross-Rosen i Mittelbau-Dora. Sześć miesięcy później, uwolniony przez aliantów, trafił na staż w 2. Korpusie w ramach kursu Wyższej Szkoły Wojennej we Włoszech, gdzie przeszedł wiele szkoleń. Po czym powrócił do służby w 12. Pułku Ułanów.

Zdemobilizowany zamieszkał w Londynie, udzielając się we władzach Stowarzyszenia Kombatantów Polskich.

Na czyje zlecenie przybył do Polski Ludowej?

Tu dochodzimy do nieco wstydliwej części tej historii, choć w mojej ocenie bardziej dla zleceniodawców misji niż samego majora. Podczas służby „Garda" wiele podróżował; przed ewakuacją 2. Korpusu Polskiego z Włoch do Anglii odwiedził m.in. Wenecję, Mediolan, Bolonię, Wiedeń i Innsbruck. W tym ostatnim mieście poznał Polkę, Annę Krystynę Mańkowską, która związała się z nim, porzucając męża. Czaykowski próbował nielegalnie sprowadzić ją do Wielkiej Brytanii, posługując się sfałszowaną metryką ślubu oraz zaświadczeniem rodzinnym. Po osiedleniu się w Anglii relacja pary zaczęła się psuć, a związek zakończył się w styczniu 1949 r.

O sprawie fałszywych dokumentów dowiedział się gen. Roman Odzierzyński, nowo mianowany szef emigracyjnego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Potrzebował emisariusza do kraju i znał Czaykowskiego z działalności w Stowarzyszeniu Polskich Kombatantów, gdzie obaj zasiadali w zarządzie. Gdy ten odmówił udziału w misji, generał sięgnął po szantaż, groził ujawnieniem sprawy z Mańkowską. Konsekwencje mogłyby być poważne: utrata honoru żołnierza, odpowiedzialność karna, a także deportacja samej Mańkowskiej. Major ugiął się zatem pod presją. Pomysłodawcą oparcia tej misji na Czaykowskim był najprawdopodobniej także gen. Michał Tokarzewski-Karaszewicz, najsłynniejszy w II RP teozof, wysoki rangą wojskowy i twórca Służby Zwycięstwu Polski. Nie twierdzę, że musiał wiedzieć o szantażu, ale Czaykowski był z jego punktu widzenia wręcz idealnym kandydatem, jako osoba powiązana rodzinnie ze środowiskiem byłych członków Polskiego Towarzystwa Teozoficznego, a więc zaufanych gen. Tokarzewskiego-Karaszewicza, którzy pozostali w kraju.

Major rozpoczął tkanie swej siatki wywiadowczej od własnej rodziny?

Komu można było zaufać w powojennej Polsce, z nowymi komunistycznymi „elitami"? Kraju przenikniętym agenturą bezpieki, gdzie aparat przymusu odgrywał niespotykaną dotąd rolę. Tylko krewnym. Oprócz tego, jak już wspomniałem, taki był najprawdopodobniej zamysł gen. Tokarzewskiego-Karaszewicza. Teozofią interesowała się matka mjr. Czaykowskiego, Halina, a prominentnymi członkiniami były jego ciotki: Zofia Wieszczycka, Stefania Siewierska, a także bliska przyjaciółka rodziny – Sylwia Rzeczycka. Ten pomysł mógł się wydawać karkołomny, lecz jedynie na pierwszy rzut oka. Kobiety te, oprócz zaangażowania w ruch teozoficzny, miały również doświadczenie ze służby w konspiracji w AK.

Trzeba dodać, że przed wojną w teozofię byli zaangażowani wysocy oficerowie Wojska Polskiego, choćby płk Ludwik Zych. W II RP pełnił funkcje dowódcze, ukończył Wyższą Szkołę Wojenną, był szefem sztabu 6. Dywizji Piechoty, a wcześniej dowódcą batalionu i oficerem Straży Granicznej. Uczestniczył w działaniach wywiadowczych i dywersyjnych na Zaolziu, współtworząc Legion Zaolziański. W kampanii wrześniowej kierował sztabem 6. Dywizji Piechoty w składzie Armii „Karpaty". Po kapitulacji trafił do niemieckiej niewoli. Po oswobodzeniu z oflagu został zmobilizowany do Ludowego Wojska Polskiego, gdzie piastował funkcję szefa sztabu Departamentu Wojsk Ochrony Pogranicza. Usunięty z armii z powodów politycznych zaangażował się

Fragment okupacyjnej kenkarty Andrzeja Czaykowskiego na fałszywe imię i nazwisko Aleksander Wasilewski FOT. IPN

eprasa.pl 43498c26b4

w funkcjonowanie siatki Czaykowskiego, przekazując bardzo istotne dane z dziedziny wojskowości.

Czym parali się inni podwładni majora?

Początkowo sprawami prozaicznymi, lecz niezbędnymi, z punktu widzenia przetrwania sieci wywiadowczej, przede wszystkim znalezieniem lokum, z którego szef mógł bezpiecznie koordynować swoje działania – zamieszkał w Krakowie, przy ul. Łobzowskiej, w mieszkaniu sióstr Sylwii Rzeczyckiej. Kolejnym zadaniem było zdobycie dla niego odpowiednich dokumentów. Niestety, ta kwestia nie została rozwiązana pomyślnie, aż do końca trwania misji. Dodajmy, że przybył do kraju zupełnie nieprzygotowany, wyposażony jedynie w starą kenkartę (sic!).

Jego współpracowniczki zajmowały się też wymianą dolarów amerykańskich – przysyłanych z Londynu w wewnętrznej części oprawy książek beletrystycznych, które nie wzbudzały podejrzeń kontrolerów przesyłek oraz odpowiadały za wysyłkę sporządzanych przez „Gardę" meldunków i raportów przesyłanych tym samym sposobem. Urobek wywiadowczy Czaykowskiego dotyczył sytuacji w kraju oraz wrażliwych danych dostarczanych mu przez informatorów pozyskiwanych i przez jego współpracowników. Między innymi nieświadomą niczego Ninę Andrycz czy przedwojennego senatora Feliksa Gwiżdża, dostarczającego wiadomości o nastrojach społecznych w związku z widmem kolektywizacji rolnictwa.

Czaykowskiego poddawano wyczerpującym przesłuchaniom, ale nie stosowano wobec niego przemocy fizycznej

Jak zostali rozpracowani?

Rozbicie siatki Czaykowskiego nie było wynikiem błędów ani samego majora, ani jego współpracowników. Zaważyła lekkomyślna decyzja centrali wywiadowczej w Londynie o zintensyfikowaniu kontaktu z „Gardą" za pomocą stacji nadawczo-odbiorczej. Uznano, że

Pudełko z podwójnym dnem, w którym major przechowywał m.in. fałszywe dokumenty FOT. IPN

tradycyjna wymiana korespondencji nie stanowi już bezpiecznego i efektywnego kanału komunikacji.

Operację przerzutu radiostacji z Londynu nadzorował mjr Rudolf Plocek, przedwojenny oficer Oddziału II. Pech chciał, że do realizacji tej misji wykorzystał swojego agenta, Jana Milera, marynarza Polskiej Marynarki Handlowej pływającego do stolicy Wielkiej Brytanii, który okazał się współpracownikiem Urzędu Bezpieczeństwa. Kontrwywiad objął obserwacją miejsca, w których Miler pozostawił klucze do skrytek bagażowych, zawierających elementy radiostacji. Klucze zostały następnie podjęte przez współpracowników Czaykowskiego, którzy nieświadomi pułapki w ten sposób doprowadzili funkcjonariuszy bezpieki do kryjówki majora. 13 sierpnia 1951 r. nastąpiła fala aresztowań – zarówno w lokalu przy ul. Łobzowskiej w Krakowie, jak i w mieszkaniach członków siatki w Warszawie.

O co ich oskarżono?

Chociaż Czaykowski konsekwentnie twierdził (zresztą zgodnie z prawdą), że funkcjonował na zlecenie rządu RP na uchodźstwie, to jego pracę uznano za szpiegostwo na rzecz Wielkiej Brytanii. O ile samo śledztwo trwało stosunkowo krótko (oczywiście jak na ówczesne standardy), o tyle na swój proces oczekiwali długo. Wynikało to z faktu, że wykorzystywano ich jako świadków w rozprawach sądowych osób w jakikolwiek sposób powiązanych z działalnością sieci wywiadowczej: w sumie w całej sprawie zatrzymano ponad 90 osób!

Czaykowskiego poddawano intensywnym i wyczerpującym przesłuchaniom, ale nie stosowano wobec niego przemocy fizycznej. Wynikało to z przyjętej przez niego taktyki: zdecydował się mówić otwarcie prawdę o celach i przebiegu swojej misji. Motywował to troską o los starszych wiekiem współpracownic, których nie chciał narażać na brutalne metody śledcze. Umówił się z nimi wcześniej na wypadek aresztowania, że również one nie będą kluczyć w zeznaniach. Choć nie wszystkie w pełni się do tego dostosowały, to strategia okazała się skuteczna, gros współpracowników majora przeżyło więzienie, odzyskując wolność.

Smutnym wyjątkiem – obok samego majora, skazanego na śmierć i straconego metodą katyńską na dziedzińcu więzienia mokotowskiego 10 października 1953 r. – był senator Gwiżdż, zamęczony podczas przesłuchań.

Miejsce spoczynku Czaykowskiego pozostaje nieznane, znamy za to losy sędziów odpowiedzialnych za tę zbrodnię popełnioną w majestacie komunistycznego bezprawia...

Pomimo starań Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN szczątków majora wciąż nie udało się odnaleźć. Pozostaje mieć nadzieję, że w końcu dojdzie do ich identyfikacji i godnego upamiętnienia tego zasłużonego oficera.

Jeśli zaś chodzi o sędziów, którzy skazali go na karę śmierci, a jego współpracowników na wieloletnią katorgę w komunistycznych kazamatach, to warto przypomnieć, że jeden z nich, Mieczysław Widaj, uznany dziś za zbrodniarza komunistycznego – wydał ponad 100 wyroków śmierci na żołnierzach podziemia niepodległościowego! – zmarł w roku 2008, do końca życia pobierając wysoką emeryturę wojskową. Z kolei Stefan Michnik, uczestniczący w wykonaniu wyroku na mjr. Czaykowskim, przez dekady żył spokojnie w Szwecji, chroniony przez tamtejsze państwo przed odpowiedzialnością karną. Umarł cztery lata temu, nigdy nie poniósł konsekwencji swoich czynów!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tomasz Krok – historyk, absolwent Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie oraz Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się działalnością komunistycznego aparatu bezpieczeństwa w pierwszych latach po wojnie. Pracownik oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Warszawie. Autor książki „Afera teozofów".

eprasa.pl 43498c26b4

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Zapomniani

Po upływie ponad ośmiu dekad od powstania warszawskiego bardzo wiele rzeczy i wydarzeń z nim związanych idzie w zapomnienie, nawet całkowite. Znawców jego dziejów jest coraz mniej, a wiedza na jego temat staje się ogólnikowa. Dlatego warto co jakiś czas przypomnieć coś, co przepaść nie powinno.

Już od 1945 r. w tzw. Polskim Londynie, gdzie skupiła się olbrzymia część polityków i wojskowych reprezentujących II RP, trwała gorączkowa praca nad przeinaczaniem jego przebiegu i odżegnywaniem się od jakiejkolwiek odpowiedzialności. I nad usuwaniem z historii tych, którzy im ideologiczne nie pasowali. Dotyczy to przede wszystkim Narodowych Sił Zbrojnych. Już w 1945 r. wyszła w Londynie (po angielsku) broszurka „Andrzeja Pomiana" (czyli Bohdana Sałacińskiego) „Warsaw Rising", rok później po polsku jako „Powstanie Warszawskie". Do historii powstania broszury wnosiły niewiele (choćby z racji ich niewielkiej objętości), ale potrzebne były do rozrachunków z przeciwnikami z powodów politycznych i ideologicznych.

Pomian zawarł w nich oczywiste kłamstwo, że oddziały NSZ przed wybuchem powstania opuściły Warszawę i dlatego nie wzięły w nim udziału. Dlatego mógł całkowicie pominąć tak wielkie jednostki, jak Zgrupowanie „Chrobry II", liczące ponad 3 tys. żołnierzy, i Brygadę Dyspozycyjną Zmotoryzowaną „Koło", liczącą ponad 1,2 tys. żołnierzy. Wiele mniejszych jednostek NSZ rozsypanych było w całym mieście, nawet na Pradze.

Tu warto jednak wspomnieć przypadek szczególny. Chodzi o „zapomnianą" kompanię NSZ-AK por. Jerzego Kozubowskiego „Mory" ze Śródmieścia. Według meldunków powstańczych liczyła ona kilkudziesięciu żołnierzy oraz 10 kobiet łączniczek i sanitariuszek. Liczyła ona dwa plutony liniowe, dobrze uzbrojone, oraz pluton techniczny (warsztaty naprawcze i produkcja granatów i butelek zapalających) i pluton saperów. Według meldunku „Kompania posiada samochody, motocykle i benzynę przy ul. Wilczej 41". Skąd takie zapasy? No właśnie, tak wyglądały przedpowstańcze przygotowania i gromadzenie środków, przydatnych później w czasie walk. Dowódca odcinka AK wybierał grupy żołnierzy NSZ (wraz z bronią) do działań bojowych, usiłując całkowicie rozczłonkować kompanię.

To też jest historia powstania, choć zapomniana. Po powstaniu było jednak jeszcze gorzej, w Londynie przystąpiono do tzw. weryfikacji jego uczestników: stopni wojskowych i odznaczeń! Oficerowie wywodzący się z NSZ, awansowani w powstaniu, byli awansów pozbawiani. Spotkało to nawet podoficerów!

Mówi się, że historię piszą zwycięzcy. W tym przypadku było znacznie gorzej. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Zygmunt Stary na tronie

Śmierć władcy z reguły bywa poważnym problemem politycznym, a w przypadku monarchii elekcyjnej może wywołać długotrwały kryzys. Na szczęście w epoce Jagiellonów polski tron przekazywano w obrębie jednego rodu, dzięki czemu nasz kraj łączył w sobie najlepsze cechy monarchii elekcyjnej i dziedzicznej. Króla wybierano spośród członków jednej rodziny, starając się wyselekcjonować jak najlepszego kandydata.

Po śmierci Aleksandra jedynym pretendentem do polskiej korony był piąty syn Kazimierza Jagiellończyka, Zygmunt. Dotychczas nikt z pełną powagą nie traktował możliwości objęcia przez niego władzy na Wawelu, jednak seria przedwczesnych zgonów jego braci spowodowała, że w wieku blisko 40 lat stał się najważniejszym kandydatem.

Dotychczas władał księstwem głogowskim na Śląsku, które przekazał mu w lenno najstarszy brat, król Czech i Węgier, Władysław. Było to znakomite rozwiązanie, gdyż Zygmunt sprawdził się jako jego zarządca i niebawem otrzymał jeszcze księstwo opawskie, a później nominację na namiestnika całego Śląska i Łużyc. Najwyraźniej książę musiał mieć wrodzone zdolności organizacyjne, gdyż od Władysława, na którego dworze często przebywał, raczej nie mógł się zbyt wiele nauczyć.

Na podległych mu terenach przeprowadził reformę monetarną i sądowniczą, ukrócił też rozbój na drogach, co było ogromnym problemem na Śląsku. Nie miał litości dla miejscowych zbójów, nawet jeżeli bywali wśród nich śląscy rycerze.

Informacje o sukcesach królewicza docierały do Krakowa, wzbudzając powszechną sympatię. Wobec bezdzietności króla Aleksandra widziano w nim następcę tronu, tym bardziej że starszy brat coraz bardziej zapadał na zdrowiu. Gdy zatem zmarł, Zygmunt automatycznie stał się najważniejszym pretendentem do korony.

Właściwie sprawę rozstrzygnął w ostatnich dniach życia sam Aleksander, który wezwał młodszego brata do Wilna. Chociaż nie doczekał jego przyjazdu, to jednak zgodnie z wolą konającego króla możnowładcy litewscy okrzyknęli Zygmunta wielkim księciem, co było pogwałceniem unii polsko-litewskiej. Ale elity wielkiego księstwa chciały zaznaczyć swoją odrębność i fakt, że tron w Wilnie był dziedziczny w obrębie rodu Jagiellonów.

Zygmunt objął władzę na Litwie 20 października 1506 r., po czym wyruszył do Piotrkowa. Zgromadzeni tam senatorowie robili dobrą minę do złej gry i udawali, że nic się nie stało. Przeprowadzono formalną polsko-litewską elekcję, dzięki której zachowano pozory, i pod koniec stycznia następnego roku nowy władca został uroczyście koronowany na Wawelu. ©℗

eprasa.pl 43498c26b4

Realista skandalista

Maciej Pieczyński

Ołeksij Arestowycz jest jednym z niewielu realistów w ukraińskiej polityce, gotowych do ustępstw, by zakończyć wojnę. W bezpardonowej krytyce swoich rodaków zapędził się jednak tak daleko, że zdaje się świadomie popełniać polityczne samobójstwo

FOT. EVGEN KOTENKO/UKRINFORM / DDP IMAGES / FORUM

eprasa.pl 43498c26b4

Zwolenników porozumienia z Rosją jest nad Dnieprem coraz więcej. Wciąż stanowią oni jednak wyraźną mniejszość. Widać to chociażby po wynikach sondaży przeprowadzanych przez Kijowski Instytut Spraw Międzynarodowych. „W żadnym wypadku Ukraina nie może zrezygnować z żadnych swoich terytoriów, nawet jeśli będzie to oznaczać przedłużenie wojny oraz zagrożenie dla utrzymania niepodległości" – z taką opinią w lutym 2024 r. zgadzało się 65 proc. respondentów. Przez kolejne miesiące odsetek ten spadał, aż osiągnął poziom 50 proc. dokładnie rok później. Od tego czasu liczba bezkompromisowych patriotów wręcz się zwiększyła. Według badania z przełomu września i października tak jednoznaczne stanowisko zajmuje 54 proc. Ukraińców. Zarazem 38 proc. badanych dopuszcza pewne ustępstwa terytorialne w zamian za pokój.

Tymczasem Moskwie nie spieszy się do rozmów pokojowych. Niewiele wskazuje na to, że wojna miałaby się szybko zakończyć. Ukraińcy są zmęczeni sytuacją, ale nie na tyle, by domagać się od rządzących kapitulacji. Sami zaś politycy nie mogą sobie na razie pozwolić na ustępstwa. Prezydent Wołodymyr Zełenski, podpisując niekorzystne dla Ukrainy porozumienie z Putinem, za jednym zamachem mógłby podpisać na siebie wyrok politycznej śmierci. Ponadto widać wyraźnie, że odsetek realistycznie myślących Ukraińców jest w teorii wystarczający, aby na tej bazie powstała siła, forsująca politykę kompromisu i racjonalnych ustępstw wobec agresora. O ile oczywiście wojenna dyktatura ustąpi miejsca demokracji i takie głosy nie będą zagłuszane przez wojenną cenzurę.

ŁATKA „ZDRAJCY"

Takim dyżurnym realistą w ukraińskiej debacie jest, a przynajmniej był, Ołeksij Arestowycz. Bardzo rozpoznawalny, ale też bardzo nielubiany, gdyż uważany za prorosyjskiego bloger, były doradca biura prezydenta Ukrainy coraz częściej szokuje wypowiedziami. Niedawno udzielił głośnego wywiadu Kseni Sobczak, znanej rosyjskiej dziennikarce, teoretycznie opozycyjnej, choć przez wielu uważanej za opozycjonistkę koncesjonowaną przez Kreml. Dość przypomnieć, że jej ojciec, Anatolij, był szefem Putina, ona sama zaś jest córką chrzestną władcy Kremla. Rozmowa w ciągu kilku dni zebrała ponad 6 mln wyświetleń na YouTube. Nic dziwnego – rozmawiały ze sobą dwie bardzo znane i bardzo kontrowersyjne postaci. Rozmówca chrześnicy Putina postarał się, aby wywiad, jak mawiają Rosjanie, „rozszedł się na cytaty".

Wywiad był przeprowadzony w rosyjskiej restauracji w Londynie. Na pytanie Sobczak, jak się czuje w takim miejscu, Arestowycz bez wahania odpowiedział, że jak u siebie, bo generalnie uważa się za etnicznego Rosjanina. Dziennikarka przypomniała jedną z najbardziej skandalicznych wypowiedzi blogera. Występując w programie prorosyjskiego youtubera Aleksandra Szelesta, Arestowycz nazwał swoich rodaków „totalnym gównem, które, kur.a, wstyd nawet wycierać z buta". U Kseni Sobczak upierał się, że to było nieporozumienie, gdyż zapomniał wówczas uściślić, że nie chodziło mu o wszystkich, tylko o „zawodowych Ukraińców", czyli „rejestrowych banderowców" (nawiązanie do Kozaków rejestrowych z czasów I Rzeczypospolitej), którzy są „nosicielami tej ideologii". Co więcej, Arestowycz jest przekonany, że tego typu wypowiedzi nie skreślają go na rodzimej scenie politycznej. Nawet bowiem wśród ukraińskojęzycznych Ukraińców cieszy się sporym poparciem. A na ulicach Londynu często spotyka jakoby rodaków, którzy chętnie by na niego zagłosowali. „Ukraina jest tak samo zmienna jak ja, a może nawet gorzej" – tak półżartem, z rozbrajającym cynizmem, wyjaśniał, dlaczego wierzy, że mógłby jeszcze sięgnąć po władzę nad Dnieprem.

A już poważniej Arestowycz stwierdził, że mógłby zostać prezydentem lub wprowadzić swoich ludzi do Rady Najwyższej tylko pod jednym warunkiem: jeśli Ukraina „zrezygnuje z realizacji projektu anty-Rosja" i przestanie walczyć z Rosją. „W przeciwnym wypadku, jak tylko pojawię się na Ukrainie, to na trzeci dzień w przednią szybę mojego samochodu wleci dron i na tym wszystko się zakończy" – dodał. Biorąc pod uwagę determinację i konsekwencję Kijowa w likwidacji swoich wrogów i tych, kogo za swoich wrogów uważa, zapewne były współpracownik Zełenskiego ma rację. Cała wypowiedź wskazuje, że Arestowycz przejmuje retorykę Kremla. Ukraina jako „anty-Rosja", projekt stworzony przez Zachód na złość Moskwie, to diagnoza, którą Putin postawił w swoim programowym artykule „O historycznej jedności Rosjan i Ukraińców", opublikowanym latem 2021 r.

Ksenia Sobczak zadała pytanie, które samo przychodzi na myśl o krętych ścieżkach kariery Arestowycza. Jak to się stało, że człowiek, który tuż po inwazji rosyjskiej cieszył się ogromną popularnością jako jedna z twarzy oporu, jako nieformalny „psychoterapeuta całego kraju", pocieszający rodaków przerażonych wojną, tak szybko roztrwonił ten kapitał poparcia, otrzymując łatkę „zdrajcy" i ze strachu o własne życie przebywając na emigracji? Arestowycz częściowo się zgodził, że popełnił polityczne samobójstwo, dodał jednak przy tym: „Ale proszę zobaczyć, jak wspaniale je przeżyłem".

Pytany o to, czy jest patriotą, wyklęty w swoim kraju bloger zapewnił, że kocha Ukrainę i Ukraińców jako naród, ale za to jest wrogiem państwa ukraińskiego i jego ideologii. Zadeklarował się też jako wróg wszelkiego rodzaju nacjonalizmu. Również rosyjskiego. Pochwalił natomiast Rosję jako państwo wielokulturowe i wielonarodowe. „Uważam, że narody ukraiński i rosyjski nie powinny ze sobą walczyć. Dlatego trzeba jak najszybciej kończyć tę wojnę i stworzyć system, w ramach którego kolejna wojna byłaby niemożliwa" – stwierdził.

Zdaniem Arestowycza Ukraina ociera się o totalitaryzm, a cenzura w kraju jest dalej posunięta niż w Związku Sowieckim. Jest też państwem prawie nazistowskim. Od nazistowskich Niemiec różni się jakoby tylko tym, że nie prowadzi masowej eksterminacji ludności. Natomiast „Żydzi, homoseksualiści i rosyjskojęzyczni są całkowicie marginalizowani". Arestowycz chwalił też Putina jako „sprawnego gracza", który „jest w świetnej formie". Dał ponadto jasno do zrozumienia, że w jego ocenie władca Kremla szukał porozumienia z Zachodem, ale „napluto mu w twarz", więc musiał odpowiedzieć.

UGODOWCY NA CELOWNIKU

Gdyby został prezydentem, zgodziłby się oddać Rosji obwody doniecki, ługański, chersoński, zaporoski i Krym, żeby w zamian osiągnąć „trwały pokój".

eprasa.pl 43498c26b4

Kijów i Moskwa wznowiłyby stosunki dyplomatyczne. Ukraina przy tym miałaby zapewnić „prawa obywateli rosyjskojęzycznych" i ochronę „Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej" [mowa o Cerkwi Patriarchatu Moskiewskiego – red.). Tylko tak będzie można „usunąć przyczyny konfliktu". Co więcej, Arestowycz wyraził też gotowość złożenia kwiatów na grobach rosyjskich żołnierzy oraz przeprowadzenia wspólnej z Putinem modlitwy za poległych. Podpisałby również rezygnację Ukrainy ze starań o członkostwo w NATO i Unii Europejskiej. Wreszcie prezydent Ołeksij Arestowycz postawiłby przed sądem Wołodymyra Zełenskiego jako „zbrodniarza wojennego". A poza wszystkim bloger nazwał Ukrainę „antyintelektualną".

Arestowycz jest najbardziej znanym i najchętniej – z uwagi na ostry język, a także na błyskotliwość – cytowanym realistą, a w zasadzie ostatnio coraz częściej skandalistą, wyklętym przez ukraińską opinię publiczną

Wywiad u Kseni Sobczak wywołał nad Dnieprem komentarze dwojakiego rodzaju. Jedni, jak redaktor naczelna portalu Detektor-media Natalia Lihaczowa, wzruszali ramionami, przekonując, że nie ma sensu się przejmować tym, co mówi objęty sankcjami emigrant pozbawiony realnego poparcia w kraju. Drudzy alarmowali: „Rosja szuka pożytecznych idiotów oraz nowej twarzy dla piątej kolumny. Nastał czas antyukraińskich wywiadów, udzielanych przez Arestowycza" – tak sprawę komentowała Maryna Danyluk-Jarmołajewa. Jej zdaniem bloger ma za zadanie mobilizację prorosyjskiego elektoratu.

Arestowycz jest najbardziej znanym i najchętniej – z uwagi na ostry język, a także na błyskotliwość – cytowanym realistą, a w zasadzie ostatnio coraz częściej skandalistą, wyklętym przez ukraińską opinię publiczną. Nie jest przy tym jedynym, choć na pewno jednym z niewielu. Prawie rok temu przypomniał o sobie Jurij Bojko, weteran opcji ugodowej wobec Rosji. Lider frakcji parlamentarnej Platforma Za Życie i Pokój, skupiającej sieroty po zdelegalizowanej prorosyjskiej Platformy Opozycyjnej Za Życie, opublikował na TikToku nagranie, w którym wyrecytował całą serię prokremlowskich tez. Mówił o „szale radykałów", którzy prześladują język rosyjski i Cerkiew. Ze swoich słów wycofał się po tym, jak został wezwany na przesłuchanie do SBU.

Podobnie jak Arestowycz na emigracji przebywa Anatolij Szarij – prorosyjski bloger, który na cenzurowanym był jeszcze przed inwazją Rosji na Ukrainę. Już w 2021 r. SBU podejrzewała go o zdradę państwa. Szarij mieszka za granicą już od 2012 r. Pod kątem wyborów parlamentarnych w 2019 r. założył partię swojego imienia. Liczył na zdobycie młodszego elektoratu prorosyjskiego. Podobnie jak inne ugrupowania prorosyjskie, w tym wspomniana Platforma Opozycyjna Za Życie, Partia Szarija została zdelegalizowana po inwazji Rosji na Ukrainę. Sam Szarij wiosną 2022 r. został zatrzymany w Hiszpanii, ale zwolniono go warunkowo z aresztu. Zadeklarowani zwolennicy ugody z Rosją w tej chwili raczej się nie wychylają. Częściowo z obawy przed konsekwencjami prawnymi. Niedobitki prorosyjskich ugrupowań, wciąż jeszcze zasiadające w ławach Rady Najwyższej, drżąc o swoją wolność, pozostają w nieformalnym sojuszu z obozem władzy, głosując tak, jak zażyczy sobie tego Zełenski. Wśród zdelegalizowanych prorosyjskich partii było również ugrupowanie Nasi. Jej lider, Jewhen Murajew, w 2019 r. kandydował na prezydenta, a dziś, podobnie jak Szarij, jeździ po świecie, z daleka od kraju.

Do nielicznych „realistów" czy też realistów, którzy nie tylko nie wyjechali z Ukrainy, lecz także pełnią ważną funkcję publiczną, należy wieloletni mer Odessy Hennadij Truchanow. Jednym z największych – i najbardziej rosyjskojęzycznych – miast ukraińskich rządzi od ponad dekady. Pierwsze wybory wygrał w 2014 r., już po zwycięstwie Euromajdanu. Był działaczem Partii Regionów Wiktora Janukowycza. W wyborach do Rady Najwyższej w 2019 r. kandydował z list równie prorosyjskiego ugrupowania, którym był Blok Opozycyjny. Był, bo decyzją Zełenskiego został zdelegalizowany w marcu 2022 r., tak jak Nasi, Partia Szarija i Platforma Opozycyjna Za Życie. Po inwazji Rosji Truchanow zmienił retorykę z prorosyjskiej na proukraińską. Jednoznacznie potępił agresję Moskwy. Później jednak wzywał do kompromisu z agresorem. Długo występował przeciwko burzeniu pomnika Katarzyny II. Zgodził się dopiero pod presją społeczną, gdy za likwidacją monumentu zagłosowali mieszkańcy miasta. Truchanow sprzeciwiał się też burzeniu pomnika rosyjskiego wieszcza narodowego Aleksandra Puszkina.

13 października prezydent Zełenski podpisał decyzję o pozbawieniu mera Odessy obywatelstwa ukraińskiego. Powód? Truchanow ma również obywatelstwo rosyjskie. Takie przynajmniej jest oficjalne uzasadnienie władz. Sam mer Odessy zaprzecza. Tak czy inaczej, Truchanow to kolejny ugodowiec, którego ukraińskie władze biorą na cel z mniej lub bardziej uzasadnionych powodów. Aktualnie nic nie wskazuje na to, aby realiści nad Dnieprem mieli cokolwiek do powiedzenia. I to zarówno realiści skandaliści, którzy tak jak Arestowycz starają się szokować opinię publiczną (pewnie tutaj akurat odzywa się bardziej natura blogera niż polityka), jak i realiści, w ramach swoich obowiązków starający się unikać radykalnie antyrosyjskich działań w sferze symbolicznej (przypadek Truchanowa). Nie mówiąc już o tych, którzy jak Janukowycz czy Ołeh Cariow do władzy w Kijowie mogliby dojść wyłącznie na rosyjskich czołgach.

Niezależnie od nastrojów społeczeństwa czy ambicji politycznych liderów czas na realizm przyjdzie, gdy zmęczenie zachodnich partnerów wojną będzie większe niż ich determinacja do pomagania Ukrainie. I gdy Donald Trump w relacjach z Putinem zmieni kij ponownie na marchewkę. W końcu wojna trwać wiecznie nie będzie, a prędzej czy później Kijów będzie musiał – mniej lub bardziej formalnie – zaakceptować utratę okupowanych i niewyzwolonych terytoriów.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 43498c26b4

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

„BUNT ŻELIGOWSKIEGO" – JAK POLACY ODZYSKALI WILNO

Wielka gra o Wileńszczyznę – Józef Piłsudski chciał stworzyć federację na ziemiach byłej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Wilno w polskich rękach miało być kartą przetargową

Miasto miłosierdzia – Cudowne wizerunki Jezusa i Matki Bożej przyciągają do Wilna tysiące wiernych. Dzieje powstania obu świętych dla Polaków obrazów pełne są zaskakujących wątków

Piastowski demon – Bolesław Rogatka okazał się jednym z największych łotrów i szubrawców tej wielkiej polskiej dynastii

Na ostatnim posterunku – Straceńcze boje to nie tylko polska specjalność. Często mimo braku militarnego sensu przynosiły one mniej lub bardziej dalekosiężne skutki i były również powodem do dumy dla przyszłych pokoleń

W kleszczach walk AK i UPA – Pod koniec wojny na Hrubieszowszczyźnie niemal każdy walczył z każdym. Polskie podziemie w bardzo brutalny sposób pacyfikowało ukraińskie wsie, starając się zastraszyć ukraińskich nacjonalistów

Pośpiech Anny Kamieńskiej – Po śmierci męża poetka stwierdziła: „Szukałam umarłego, a znalazłam Boga". Ksiądz Twardowski nie nawracał jej. Zrozpaczona po śmierci męża sama odnalazła Boga

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 43498c26b4

Pokochać bombę?

Robert Bogdański

Wojna na Ukrainie skłania do myślenia, że w Europie może dojść do wydarzeń, które dramatycznie przyspieszą losy świata. Ale wiele wskazuje na to, że to właśnie na Półwyspie Koreańskim tyka światowy atomowy zegar

Kim Dzong Un i Władimir Putin w Pekinie, 3 września 2025 r. FOT. SERGEI BOBYLEV/ZUMA PRESS/FORUM

Na początku września zaszło coś, co w gonitwie wydarzeń mogło umknąć nawet uważnym obserwatorom, a co może być sygnałem, że w światowej grze o dominację nastąpił punkt zwrotny. W czasie urządzonych z wielkim rozmachem obchodów rocznicy zakończenia drugiej wojny światowej na Dalekim Wschodzie na placu Tiananmen w Pekinie odbyła się gigantyczna parada wojskowa, w czasie której przewodniczący Xi zademonstrował światu swój nowoczesny arsenał, także atomowy. To nagromadzenie sprzętu oraz ludzi przykuło uwagę świata. I słusznie. Następnie Xi przyjął z wielkimi honorami swoich gości, spośród których tylko dwóch – Władimir Putin i Kim Dzong Un – dostąpiło zaszczytu indywidualnego zaproszenia na herbatę do rezydencji chińskiego przywódcy.

Kim otrzymał coś jeszcze: w oficjalnych komunikatach po spotkaniach nie było, zwykle obecnej przy okazji takich wydarzeń, wzmianki o konieczności denuklearyzacji Półwyspu Koreańskiego, czytaj: Korei Północnej. Byłaby to wzmianka rytualna, bo niewielu chyba obserwatorów wierzyło w czyste intencje Chin i Rosji w odniesieniu do północnokoreańskiego programu atomowego, natomiast jej brak może oznaczać tylko jedno: oba te kraje uznały de facto, że Korea Północna jest państwem nuklearnym.

WSCHÓD JEST PRZYGOTOWANY

Jeszcze w ubiegłym roku, podczas trójstronnego spotkania na szczycie Chin z Koreą Południową i Japonią, przywódcy spotykających się stron zgodnie oświadczyli, że są za rozbrojeniem atomowym Półwyspu, co zresztą spotkało się ze wściekłą reakcją Kima. Wolno sądzić, że zarówno podpis Xi Jingpinga pod takim oświadczeniem, jak i gwałtowna reakcja Pjongjangu miały charakter pokazowy, a to dlatego, że rozwój północnokoreańskiego programu atomowego odbywa się w istocie za pieniądze Pekinu i mógłby zostać zastopowany jedną jego decyzją. Jest tak dlatego, że 98 proc. handlu zagranicznego Korei Północnej stanowi wymiana z Chinami, więc Xi mógłby nie tylko jednym pociągnięciem pióra zagłodzić ten kraj, lecz także pozbawić jego elity luksusowych dóbr. Trudno sobie wyobrazić, co dla północnokoreańskiego reżimu byłoby gorsze. Jeżeli więc Kim się zbroi, to dzieje się to za chińskim przyzwoleniem. Tylko do tej pory było dla Chin wygodne, aby świat myślał, że jest inaczej i że mamy do czynienia z ekscesami dynastii szaleńców, nad czym Chiny razem z całym cywilizowanym światem szczerze ubolewały.

Teraz przestały ubolewać i pokazują temu samemu światu, że są z tym szaleńcem w sojuszu i traktują go jak ważnego sprzymierzeńca. Może to oznaczać, że w Pekinie uznano, iż przygotowania do globalnego starcia są na tyle zaawansowane, że można przestać udawać. Pjongjang jest w istocie młodszym partnerem Pekinu i jako taki zapewne wesprze Chiny w ich zamiarach, przy okazji realizując własne cele. Można sobie z łatwością wyobrazić realizację „strategii przybocznego", czyli państwa, które oficjalnie przedstawia swoje działania jako suwerenne, i „strategii lidera", czyli państwa, które korzysta z działań „przybocznego", jednocześnie nie biorąc za nie odpowiedzialności politycznej ani – co ważniejsze – militarnej. W ten sposób „przyboczny" może uderzyć na swojego południowego sąsiada, używając broni jądrowej, a „lider" – udawać, że nie ma z tym nic wspólnego, jednocześnie korzystając z sytuacji i stawiając sprawę przyłączenia Tajwanu jako dyplomatyczny warunek udziału w „całościowym uregulowaniu" sytuacji w regionie, czyli jako warunek powściągnięcia akcji swojego „przybocznego". Gra, jaka by się według tego scenariusza toczyła, zakładałaby możliwość prowadzenia ograniczonej wojny nuklearnej na Półwyspie Koreań-

eprasa.pl 43498c26b4

skim i złamanie nuklearnego tabu, które przez 80 lat skutecznie chroniło nas przed konfliktem mogącym zniszczyć ludzkość.

Czy byłby to koniec skutecznego stosowania nuklearnej strategii odstraszania? Niekoniecznie. Raczej wyciągnięcie z szuflady i przetestowanie w praktyce istniejącej od dziesięcioleci w teorii strategii prowadzenia ograniczonej wojny nuklearnej. Czyli odejście od słynnego zdania Michaiła Gorbaczowa i Ronalda Reagana, że „wojny nuklearnej nie można wygrać, więc nigdy nie może być toczona" na rzecz zasady, że taktyczna broń jądrowa może być zastosowana w ograniczonym konflikcie zbrojnym, który da się prowadzić i wygrać, nie powodując armagedonu. Byłoby to wkroczenie na ścieżkę niebezpieczną, z której łatwo można by się ześlizgnąć ku zagładzie, ale przy zachowaniu pewnego rodzaju szczególnej dyscypliny możliwą. Wiele wskazuje na to, że Wschód jest już obecnie do tego przygotowany, natomiast Zachód próbuje nadgonić stracony czas.

Aby zrozumieć mechanizm tej sytuacji, trzeba cofnąć się w czasie do okresu, w którym kształtowała się strategia odstraszania. Było to w latach 60., a więc wtedy, gdy siły mocarstw się wyrównały. Mocarstwa uznały, że najbezpieczniej będzie, gdy będą sobie wzajemnie grozić zniszczeniem, gdyż wtedy nikt nie odważy się zacząć konfliktu. Na użytek tej strategii wyprodukowano wielkie ilości strategicznych rakiet międzykontynentalnych wyposażonych w wiele głowic o mocy wielu megaton rozmieszczonych tak, aby nie sposób było ich wszystkich zniszczyć, bo miały posłużyć do uderzenia odwetowego. Prostota tej strategii – polegająca na tym, że zarówno atakujący, jak i broniący się (tudzież większość obserwatorów) ginęli w ewentualnym konflikcie – sprawiła, że niebezpieczeństwo użycia broni jądrowej znacznie się oddaliło. W powszechnej świadomości takie podejście do broni jądrowej sprawiło, że jakiekolwiek jej użycie utożsamiono z zagładą ludzkości.

KUBRICK OSTRZEGAŁ

Od lat 70. zaczęto myśleć o tym, jak można użyć tej broni w sposób ograniczony. Pojawiły się rakiety krótkiego i średniego zasięgu, przenoszące głowice o mocy kilku lub kilkudziesięciu kiloton. Związek Sowiecki usiłował zdobyć przewagę regionalną w europejskim teatrze wojennym, wprowadzając rakiety o NATO-wskim symbolu SS-20. Amerykańską odpowiedzią były rakiety Pershing-2 i Cruise, a także tzw. broń neutronowa, czyli wyzwalająca promieniowanie skuteczniej penetrujące pancerze wozów bojowych. Wszystko po to, aby zyskać możliwość użycia broni jądrowej przeciwko wojskom i instalacjom militarnym przeciwnika, czyli wygrać regionalną wojnę, nie eskalując wojny globalnej i ograniczając liczbę ofiar cywilnych. Obie strony rozwijały więc teorię ograniczonej wojny co najmniej przez ostatnie cztery dekady, jednocześnie zawierając pod koniec zimnej wojny traktat o całkowitej likwidacji pocisków rakietowych krótkiego i średniego zasięgu (INF), zakładający zniszczenie pewnych kategorii rakiet pozwalających na jej prowadzenie w Europie. Jak zwykle z traktatami zawieranymi z Rosją wyszło na to, że Kreml oszukuje, i po formalnym zakończeniu działania traktatu w czasie pierwszej administracji Donalda Trumpa okazało się, iż Rosjanie mają w Europie ok. 1,8 tys. małych taktycznych głowic nuklearnych oraz środki ich przenoszenia, a Amerykanie posiadają ok. 150 odpowiadających im mocą bomb lotniczych używanych w programie Nuclear Sharing.

Chińczycy z zasady nie przystępowali do żadnych traktatów i bez specjalnego rozgłosu produkowali rakiety i głowice, jednocześnie finansując swojego koreańskiego „przybocznego". Oba kraje posiadają teraz łącznie kilkaset taktycznych pocisków nuklearnych. Tymczasem Amerykanie, którzy na początku lat 90. wycofali taktyczne pociski z Azji, nie mają tam prawie nic poza przerobionymi głowicami z rakiet Trident i czekają na następcę rakiet Cruise, które zostaną rozmieszczone najwcześniej za pięć lat. Na obu teatrach wojennych, na których mogłaby się toczyć ograniczona wojna z użyciem broni jądrowej, przewagę mają adwersarze Ameryki. Oznacza to, że aby nie przegrać ewentualnego konfliktu, w którym przeciwnik użyje broni atomowej, Stany Zjednoczone będą musiały uciec się do głowic strategicznych, czyli będą ryzykowały własne istnienie. Próg użycia broni jądrowej będzie dla jednej strony zdecydowanie niższy niż dla drugiej.

Wygląda na to, że amerykańska klasa polityczna, która doszła do władzy wraz ze zwycięstwem Trumpa, doskonale się orientuje w tej sytuacji. Wskazuje na to wiele publikacji, które ukazały się w tym roku, nawołujących do wyrównania dysproporcji w stanie posiadania i rozmieszczenia taktycznej broni jądrowej, a celuje w tym środowisko Heritage Foundation. Wiosną tego roku opublikowano artykuł podpisany m.in. przez byłego dowódcę strategicznego armii amerykańskiej, emerytowanego admirała Charlesa Richarda, zatytułowany „Nuklearne odstraszanie i nuklearna wojna: czy się różnią i czy ma to znaczenie?". Autorzy pisali w nim: „Podczas gdy Stany Zjednoczone są skoncentrowane na zmodernizowaniu arsenału przeznaczonego do odparcia ataku strategicznego, adwersarze Ameryki po cichu rozmieszczają bronie, które nie tylko posłużą do odwetu wobec strategicznego ataku na ich terytorium, lecz także są przeznaczone do prowadzenia wojny nuklearnej na oddzielnych teatrach". Inny tekst miał w tytule zdanie: „Uczymy się kochać bombę?", stanowiące znamienne nawiązanie do filmu Stanleya Kubricka z czasów zimnej wojny pt. „Dr Strangelove, czyli jak przestałem się martwić i pokochałem bombę". Gra z przesłaniem tego filmu, który ostrzegał przed nuklearną zagładą, jest znamiennym znakiem czasów.

Na to, że problem nuklearny jest poważnie traktowany przez nową administrację, może także wskazywać nominacja Elbridge'a Colby'ego na stanowisko podsekretarza obrony. Z europejskiego punktu widzenia nie jest ona najszczęśliwsza, bo to zwolennik skierowania całej uwagi na Azję, ale warto uświadomić sobie, że właśnie w Azji Ameryka jest najsłabsza. Ma tam przeciwko sobie trzech nuklearnych adwersarzy, gdy w Europie ma dwóch nuklearnych sojuszników. Jeszcze przed objęciem funkcji Colby sugerował, że Korea Południowa mogłaby pozyskać własną broń jądrową, co sprawiłoby, że „przyboczny" Chin miałby naprzeciw siebie godnego przeciwnika. Być może taka właśnie perspektywa skłoniła przewodniczącego Xi do zrzucenia maski i otwartego uznania, że reżim Kima może posiadać broń jądrową. Europejska perspektywa ukształtowana przez agresję Rosji na Ukrainę w naturalny sposób każe nam myśleć, że to właśnie u nas może dojść do wydarzeń, które dramatycznie przyspieszą losy świata, ale wiele wskazuje na to, że to właśnie na Półwyspie Koreańskim tyka światowy atomowy zegar.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 43498c26b4

FOT. ADOBE STOCK

ŚLEPE OSŁY

Na amerykańsko-meksykańskim przejściu granicznym w Otay Mesa w Kalifornii kierująca samochodem kobieta zainteresowała się dziwnymi dźwiękami dobiegającymi z bagażnika. Kiedy go otworzyła, okazało się, że były w nim upchnięte niczym sardynki trzy obywatelki Chin. Właścicielka samochodu ich nie znała i nie miała pojęcia, jak one tam trafiły. W ten sposób dołączyła do „ślepych osłów", czyli kierowców, którzy nieświadomie padają ofiarą grup zajmujących się przemytem ludzi.

RAZEM Z PUPILEM

Władze lokalne w Bremie wprowadziły prawo, które zezwala na chowanie zmarłych osób wspólnie z ich zwierzętami domowymi. W większości landów w Niemczech ta forma pochówku jest możliwa tylko w odosobnionych przypadkach lub wcale. Wyjątkiem jest Hamburg. Dyrektor Instytutu Zoologii Teologicznej w Münster, Rainer Hagencord, z uznaniem wyraził się o rozwiązaniach wprowadzonych w obu landach, stwierdzając, że psy i koty są dla wielu ludzi członkami ich rodzin.

POLUBCIE MNIE

Cywilna pracownica instytucji należącej do marynarki wojennej USA wywołała alarm strzelecki w bazie wojskowej w New Jersey. Wysłała koleżance wiadomość, że słyszała strzały, więc ukryła się w szafie. Baza została zamknięta. Okazało się jednak, że alarm był fałszywy. Kobieta go wywołała, ponieważ czuła się odrzucona przez kolegów z pracy. Żywiła więc nadzieję, że wspólne traumatyczne doświadczenie ją do nich zbliży.

ZEGAREK W PRZEŁYKU

Do szpitala w Jaipurze (Indie) trafił 34-letni mężczyzna z silnym bólem brzucha i problemami z jedzeniem. Wyniki badań RTG były dla personelu medycznego placówki szokiem. Okazało się, że w przełyku pacjenta znajdował się zegarek, a w jelicie zalegały różne metalowe elementy. Trzygodzinna operacja się powiodła. Mężczyzna powoli dochodzi do siebie po zabiegu.

KIEROWCA KAMIKAZE

Na granicy życia i śmierci znalazł się inny 34-latek. Jechał on autostradą A7 w Hiszpanii pod prąd, z włączonymi światłami awaryjnymi. Kamery uchwyciły jego samochód, po czym mężczyzna został zatrzymany przez policję. Testy na obecność w jego organizmie alkoholu bądź narkotyków dały rezultat negatywny. Nieznane są przyczyny niebezpiecznego zachowania mężczyzny. Policja nadała mu przydomek Kierowca Kamikaze. ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Szkodliwy skok w czasie

Już w najbliższy weekend, dokładnie w nocy z soboty na niedzielę, z 25 na 26 października, znów zmieniamy czas. Tym razem z letniego na zimowy: cofamy więc wskazówki zegara z godz. 3 na 2.

Lekarze radzą, aby do zmiany zacząć przygotowywać się już kilka dni wcześniej. Powoduje ona bowiem poważne rozregulowanie zegara biologicznego. Rośnie więc ryzyko zaburzeń snu, pogorszenia nastrojów i spadku koncentracji. Jednocześnie zmiana czasu (zwłaszcza na letni) powoduje zwiększone ryzyko wypadków, wzrost ryzyka zawałów serca oraz udarów. Do nowego rytmu organizm – i to niezależnie od tego, czy chodzi o „sowy" czy „skowronki" – przyzwyczaja się po mniej więcej dwóch tygodniach.

Zyski gospodarcze wynikające ze zmiany czasu są zaś marginalne (jeśli w ogóle można jeszcze mówić o zyskach).

Argumentów przeciwko zmianie czasu jest więc tak wiele, że naprawdę trudno dostrzec jej sens. Zdają sobie z tego sprawę nie tylko lekarze i eksperci, lecz także zwykli obywatele. Już w 2018 r. zdecydowana większość (aż 84 proc.) obywateli państw członkowskich UE opowiedziała się za zniesieniem zmiany czasu. W ramach publicznych konsultacji KE otrzymała wówczas aż 4,6 mln uwag. Również w Polsce sondaże są jednoznaczne: większość Polaków chce, aby na stałe obowiązywał czas letni.

Kontynuowanie zmiany czasu mimo argumentów ekspertów i jasnego sprzeciwu mieszkańców to symbol jednej rzeczy, która jest niestety od wielu lat stała w różnych obszarach UE: wielkiej nieudolności armii polityków i urzędników...

eprasa.pl 43498c26b4

REPUBLIKA

„Rozmawiam o polityce. Z moimi gośćmi komentuję najważniejsze wydarzenia z kraju i z zagranicy. Zadaję konkretne pytania i oczekuję rzeczowych odpowiedzi. Zapraszam do Republiki od wtorku do czwartku o godzinie 17:35, a w piątki o 18:20" – Miłosz Kłeczek

MIŁOSZ KŁECZEK ZAPRASZA

OD WTORKU
DO CZWARTKU
17:35

W PIĄTEK
18:20

w Republice

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

Bogaty jak Polak

Jacek Przybylski

Polska gospodarka oficjalnie prześcignęła już nie tylko Tajwan, lecz także Szwajcarię. W ostatnich trzech dekadach nasz kraj błyskawicznie nadrabiał zaległości wobec bogatych państw, stając się symbolem cudu gospodarczego. W tym czasie znacząco wzrósł nie tylko polski PKB. Wartość majątku przeciętnego Kowalskiego zwiększyła się od roku 1989 ponad siedmiokrotnie

Jeszcze w latach 90. XX w. nasz kraj należał do najbiedniejszych w Europie. A dziś? „Polska jest niemal tak bogata jak Wielka Brytania. Jak to możliwe, że tak szybko nas dogoniła?" – rozważał w połowie października brytyjski „The Sunday Times". Autor tekstu Tom Calver zauważył, że już 12 z 17 regionów Polski jest bogatszych niż zachodnia Walia (czyli najbiedniejszy region Wielkiej Brytanii). Pod pewnymi względami Polska wyprzedza już zaś Wielką Brytanię. „Ma szybszy Internet, tańszą energię elektryczną i więcej szybkich kolei" – podkreślił Calver, odnotowując, że PKB na mieszkańca Polski jeszcze w 1995 r. wynosił ok. 36 proc., a obecnie stanowi już 81 proc. brytyjskiego. Ta różnica zmniejsza się z roku na rok. „Od 2019 r. polska gospodarka wzrosła realnie o prawie 18 proc., podczas gdy w Wielkiej Brytanii wzrost ten wyniósł mniej niż 1 proc." – zauważył „The Sunday Times". Konkluzja: Polska stała się jednym z najatrakcyjniejszych miejsc do życia w Europie. Nasz sukces dostrzegają zarówno dziennikarze, jak i brytyjscy politycy. „Piętnaście lat temu polscy pracownicy przyjechali tu w poszukiwaniu możliwości. Teraz Polska rozwija się dwa razy szybciej niż my" – mówiła w październiku Kemi Badenoch, liderka brytyjskiej Partii Konserwatywnej (w tym samym przemówieniu zauważyła ona również, że „podczas gdy Wielka Brytania na nowo konstruowała definicję

eprasa.pl 43498c26b4

FOT. ADOBE STOCK

kobiety, Chiny zbudowały pięć reaktorów jądrowych”).

CZAS PRZEGONIĆ HISZPANIĘ...

Zazdrosnym okiem patrzą na Polaków nie tylko Brytyjczycy. W ostatnich latach w Polsce pod względem nominalnego PKB nie tylko zwiększyliśmy przewagę nad Szwecją czy Belgią, lecz także prześcignęliśmy bogatą – choć zamieszkaną przez o wiele mniej osób – Szwajcarię. Pod względem PKB per capita PPP prześcignęliśmy już zaś Japonię. W rankingu PKB na mieszkańca według siły nabywczej w 2027 r. powinniśmy też wyprzedzić Hiszpanię, a do roku 2030 również Izrael i Nową Zelandię.

NA PROGU ELITARNEGO KLUBU

Według prognoz GUS PKB osiągnie w tym roku wartość 3,883 bln zł. Wartość polskiej gospodarki już oficjalnie przekroczyła jednak bilion dolarów (co udało się niezależnie od polityki ekonomicznej obecnego rządu). Polska ma więc już szóstą co do wielkości gospodarkę w Unii Europejskiej pod względem nominalnego PKB. Jednocześnie nasza gospodarka należy już do grona 20 największych gospodarek świata.

Według najnowszych prognoz Międzynarodowego Funduszu Walutowego polska gospodarka ma w tym roku osiągnąć wzrost na poziomie 3,2 proc. W roku 2026 PKB Polski wzrośnie o 3,1 proc. To zaś oznacza, że właśnie nasza gospodarka ma rozwijać się najszybciej spośród dużych gospodarek Unii Europejskiej. Zdaniem ekspertów MFW to oznacza, że nasze miejsce w pierwszej dwudziestce największych gospodarek świata jest niezagrożone co najmniej do roku 2030 (do tego roku MFW sporządza tego typu prognozy). Analizy firmy Coface są jeszcze bardziej optymistyczne. Wynika z nich, że przy utrzymaniu wysokiej dynamiki wzrostu PKB w ciągu dekady polska gospodarka ma szansę awansować na miejsce 18.

Chociaż na 195 państw tylko 20 przekroczyło już symboliczny próg biliona dolarów, to Polska nie może być wcale pewna, że niebawem zostanie na stałe włączona do prestiżowego grona G20. Nieformalna grupa skupia 19 państw oraz Unię Europejską i Unię Afrykańską. Klub uważany jest za elitarny choćby dlatego, że odpowiada za mniej więcej 85 proc. globalnego PKB i trzy czwarte światowego handlu. W krajach skupionych w G20 mieszkają zaś dwie trzecie populacji Ziemi. Klub najbogatszych i najbardziej wpływowych państw i organizacji nie ma nie tylko formalnej procedury akcesyjnej, lecz także formalnego członkostwa. Decyzje, które podejmuje to elitarne grono, nie są nawet prawnie wiążące. Mają one jednak bardzo istotne znaczenie geopolityczne.

Prezydent Karol Nawrocki podczas wrześniowego spotkania z prezydentem Donaldem Trumpem otrzymał zaproszenie na przyszłoroczny szczyt Grupy G20 w Miami. To właśnie Stany Zjednoczone w 2026 r. obejmą bowiem prezydencję w klubie skupiającym największe gospodarki świata. A każdy kraj, który w danym roku sprawuje przewodnictwo, ma prawo zapraszać inne kraje lub organizacje jako gości. Trwałe dołączenie do tego formatu spotkań wymagać będzie od polskich polityków oraz dyplomatów przekonania wszystkich obecnych członków, że Polska ma zarówno dużą gospodarkę, jak i istotne znaczenie geopolityczne.

Prezydent Karol Nawrocki o stały udział w pracach G20 Polski – państwa „które w ciągu ostatnich 30 lat z powodzeniem przekształciło się z kraju rozwijającego się w kraj rozwinięty oraz z gospodarki centralnie planowanej w gospodarkę rynkową” – zabiegał podczas wrześniowej wizyty na forum ONZ w Nowym Jorku. W połowie września szef chińskiej dyplomacji Wang Yi miał obiecać poparcie dla wejścia Polski do G20 podczas rozmów z wicepremierem Radosławem Sikorskim w Warszawie. W ubiegłym tygodniu do Stanów Zjednoczonych poleciał zaś minister finansów Andrzej Domański, który podczas jesiennego spotkania Międzynarodowego Funduszu Walutowego oraz Banku Światowego szukał sojuszników, mogących wspomóc ambitne polskie plany dołączenia do G20.

O co tyle zachodu? Co mogłoby nam rzeczywiście dać dołączenie do tego elitarnego klubu? Członkostwo w G20 to nie tylko prestiż. Mogłoby ono również ułatwić przedstawianie Polski inwestorom zagranicznym jako dużej, a jednocześnie stabilnej gospodarki. To przełożyłoby się na realne korzyści dla polskiego biznesu, ułatwiając przedsiębiorcom znad Wisły ekspansję na rynkach azjatyckich, afrykańskich czy amerykańskich. Trwałe dołączenie do tego formatu mogłoby też się przydać rządowi, np. do przekonywania do dużych inwestycji nad Wisłą lub do obniżenia premii za ryzyko podczas pozyskiwania kapitału na kolejne transze emitowanych przez Polskę obligacji (za rządów obecnej koalicji Polska zadłuża się bowiem nie tylko najszybciej w historii kraju, lecz także najszybciej spośród

eprasa.pl 43498c26b4

wszystkich krajów Unii Europejskiej, pewnym krokiem krocząc ścieżką do kryzysu wyznaczoną niegdyś przez kraje takie jak Grecja).

Największą przeszkodą w polskich staraniach może okazać się nadreprezentacja w G20 krajów europejskich. Dlatego bardziej prawdopodobne niż wejście do elitarnego klubu wydaje się uzyskanie stałego zaproszenia na szczyty tej grupy.

MAJĄTEK POLAKÓW ROŚNIE JAK NA DROŻDŻACH

Ostatnie trzy dekady sprawiły, że przeciętna polska rodzina wreszcie przestała być uboga. Według wyliczeń ekonomisty VeloBanku, Piotra Araka – opublikowanych w ubiegłym tygodniu na łamach „Kwartalnika Ekonomicznego" – statystyczny dorosły Kowalski w roku 2024 posiadał majątek o równowartości ponad 105 tys. dol. (czyli według aktualnego kursu dolara 385 tys. zł). To o ponad siedem razy więcej niż w roku 1989. Tym samym Polska znalazła się w gronie krajów, które w ciągu ostatnich trzech dekad osiągnęły jeden z najwyższych wzrostów zamożności na świecie, ustępując jedynie Chinom (w Państwie Smoka majątek na osobę wzrósł w tym okresie z ok. 3,2 tys. do ponad 82 tys. dol.)

Największy majątek Polaków to wartość należących do nich nieruchomości. Jak zauważa ekonomista VeloBanku, to w nich ulokowanych jest ok. 7 bln 455 mld zł, czyli ponad 200 proc. polskiego PKB. Pod hasłem „majątek" kryją się też oczywiście nie tylko mieszkania, domy i samochody, lecz także oszczędności. Niestety, pod tym względem w depozytach i inwestycjach finansowych przeciętny Kowalski ma zaledwie 24 tys. dol. Co daje Polakom przedostatnie miejsce w Europie (za nami są już tylko Rumuni). Niewiele pieniędzy trzymamy również na depozytach i oszczędnościach walutowych: średnio to ok. 12,5 tys. dol., czyli mniej, niż mają choćby Słowacy (12,6 tys. dol.), Chorwaci (15,6 tys. dol.), Szwedzi (32 tys. dol.) czy Duńczycy (41,6 tys. dol.).

Piotr Arak podkreśla w swej analizie, że majątek Polaków rośnie szybciej niż mieszkańców większości krajów świata. Przeciętny Kowalski jest już dzięki temu bardziej zamożny niż statystyczny dorosły Węgier, Słowak, Rumun czy Bułgar, ale wciąż biedniejszy niż Estończyk (110 tys. dol.) czy Grek (114 tys. dol.). Wciąż bardzo dużo przeciętnemu Kowalskiemu brakuje jednak nie tylko do Amerykanów (przeciętny majątek w Stanach Zjednoczonych wynosił ponad pięciokrotnie więcej niż w Polsce, czyli ponad 550 tys. dol.), a także do Niemców (statystyczny Müller miał w 2024 r. majątek o równowartości 358 tys. dol.) czy Luksemburczyków (683 tys. dol.).

Produkt krajowy brutto Polski na mieszkańca wynosi już ok. 80 proc. unijnej średniej (według parytetu siły nabywczej). Socjalistyczne zapędy rządzących – w tym przypadku nie tylko rządzącej obecnie koalicji 13 października, lecz także PiS – sprawiły, że Polska stała się unijnym liderem pod względem tempa wzrostu płacy minimalnej. Poziom płacy minimalnej – od 1 stycznia 2025 r. wynosi ona już 4666 zł brutto (3511 zł na rękę), a od przyszłego roku wzrośnie do 4806 zł brutto – plasuje Polskę już na 10. miejscu w Unii Europejskiej. W przeliczeniu na euro płaca minimalna wynosi już 1097. Tymczasem na Węgrzech wynosi ona nieco ponad 700 euro, na Łotwie 740 euro, a w Grecji 970 euro.

Polska znalazła się w gronie krajów, które w ciągu ostatnich trzech dekad osiągnęły jeden z najwyższych wzrostów zamożności na świecie, ustępując jedynie Chinom

WIDMO KRYZYSU

Nie ma wątpliwości, że przez ostatnie trzy dekady Polska doświadczyła cudu gospodarczego. Aby kraj utrzymał szybkie tempo wzrostu gospodarczego, nie wystarczy już tania siła robocza (która dawno przestała być tania). Rządzący muszą więc znaleźć sposób na rozruszanie potężnych inwestycji (utrzymujących się poniżej poziomu unijnej średniej). Niestety, obecny rząd – podnosząc kolejne daniny – może nie tylko nie przyciągnąć nowych inwestorów, lecz także utrudnić działalność gospodarczą na tyle, że doprowadzi do stłumienia dynamiki wzrostu PKB.

Dalsze szybkie podwyżki płacy minimalnej mogą doprowadzić do znacznego pogorszenia rynku pracy, ograniczenia nowych ofert, fali zwolnień grupowych i gorszych perspektyw zatrudnienia na rynek młodych pracowników.

Jednocześnie dług publiczny wzrósł w ciągu roku z 1,346 bln zł do 1,85 bln zł, co oznacza wzrost o niemal jedną czwartą w ciągu zaledwie jednego roku. Do końca rządów obecnej koalicji, czyli do 2027 r., zobowiązania sektora finansów publicznych mają zaś wzrosnąć do poziomu ponad 3 bln zł! To wyjątkowo niechlubny rekord. I nie polepsza go wcale informacja o tym, że fatalny stan finansów publicznych to częściowo dziedzictwo po rządach Zjednoczonej Prawicy. Donald Tusk, pozwalając na najszybsze tempo zadłużania kraju, ryzykuje tym, że zapisze się na kartach historii Polski jako przeciwieństwo Kazimierza Wielkiego, czyli jako przywódca, który, choć zastał kraj w świetnym stanie, to błyskawicznie doprowadził go do gospodarczej katastrofy.

Niestety, nie jest to nierealny scenariusz. Jeśli rząd nie podejmie działań naprawczych, to już w przyszłym roku dług publiczny sięgnie według oficjalnych zapowiedzi rządu 53,8 proc. PKB. To sporo, ale to i tak lukrowanie rzeczywistości i sztuczek księgowych zawartych w tzw. polskiej metodologii, która umożliwia pomijanie wydatków okołobudżetowych. W rzeczywistości zadłużenie Polski znajdzie się niebezpiecznie blisko poziomu 70 proc. PKB. I to przy założeniu, że przed ostrą reakcją zagranicznych inwestorów kupujących polski dług nadal chronić nas będzie dobra koniunktura. Jeśli się jednak zmieni, a rząd nie ukróci w porę socjalistycznych transferów w stylu „800+", „300+" czy „babciowe" (przez które Polska stała się już krajem bardziej socjalnym niż Szwecja czy Niemcy), to Polska może nie tylko nie spełnić obietnic obniżenia deficytu, lecz także w skrajnym scenariuszu utracić możliwość obsługi swoich zobowiązań. Wówczas Polska służyłaby zagranicznym dziennikarzom wyłącznie jako przykład zmarnowanego cudu gospodarczego.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 43498c26b4

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Ile mają zarabiać lekarze?

Rozumiem, że wielu lekarzy chce zarabiać co miesiąc już nie grube dziesiątki tysięcy, a ponad sto tysięcy złotych. I niech się starają – ale w firmach prywatnych. Dlaczego jednak temu samemu ich chciejstwu w państwowych szpitalach i przychodniach – dla dobra podatników i pacjentów, czyli nas – nie są w stanie przeciwstawić się rządzący Polską politycy, odpowiedzialni za ten państwowy medyczny bałagan (bo inaczej nie jestem już w stanie tego określić)?

Mechanizm kosmicznych podwyżek pensji lekarzy i pielęgniarek, który w 2022 r. uruchomił premier Morawiecki, doprowadził system wynagradzania w ochronie zdrowia do absurdu. Dobrze oddaje to jedno z ogłoszeń – szpitala w Bielsku-Białej, który szukał specjalisty w zakresie medycyny ratunkowej, oferując mu… od 72 tys. do 108 tys. zł brutto miesięcznie!

Zresztą wystarczy prześledzić, jak w ostatnich latach, na tle lat wcześniejszych, właśnie za sprawą owego „mechanizmu Morawieckiego", puchł budżet Narodowego Funduszu Zdrowia, żeby zdać sobie sprawę, jak bardzo jesteśmy naciągani przez medyków, bo przecież w tym samym czasie – gdy nasze wydatki na ochronę zdrowia wprost eksplodowały – nic się w niej nie zmieniło, a jeśli już – to na gorsze.

I otóż ten budżet NFZ w latach 2004–2014 przedstawiał się (podaję za AI, w zaokrągleniu) następująco: 2004 r. – 31 mld zł, 2005 r. – 33 mld zł, 2006 r. – 36 mld zł, 2007 r. – 42 mld zł, 2008 r. – 58 mld zł, 2009 r. – 55 mld zł, 2010 r. – 58 mld zł, 2011 r. – 60 mld zł, 2012 r. – 62 mld zł, 2013 r. – 67 mld zł, 2014 r. – 67 mld zł.

Natomiast pod koniec lat 2015–2025 nasze wydatki na NFZ ruszły ostro w górę. O ile w 2015 r. wynosiły 71 mld zł, w 2016 r. – 70 mld zł, w 2017 r. – 76 mld zł, w 2018 r. – 78 mld zł, w 2019 r. – 88 mld zł, w 2020 r. – 102 mld zł, w 2021 r. – 113 mld zł, w 2022 r. – 121 mld zł, o tyle w 2023 r. już aż 168 mld zł, w 2024 r. – aż 190 mld zł, a w 2025 – aż 199 mld zł, czyli niemal dwa razy więcej niż w 2020 r., niż zaledwie pięć lat wcześniej. Ale mało tego, bo budżet NFZ w 2025 r. wymaga – żeby „się spiął" – dodatkowych, według różnych wyliczeń, od 14 do aż 34 mld zł „wsparcia" z kasy państwa! A plan budżetu NFZ na 2026 r. zakłada aż 217,4 mld zł plus kolejne dziesiątki miliardów złotych „wsparcia" z kasy państwa. Toż to, nawet, zważywszy na poziom inflacji ostatnio, prawdziwe horrendum!

No i czy znajdzie się teraz w Polsce ktoś mądry i odważny, a przy tym silny politycznie, kto działając w imieniu oraz dla dobra pacjentów i podatników, powie wreszcie temu procederowi „dość"!? I spróbuje położyć mu kres?

Obawiam się, że się nie znajdzie! ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Jarosław Kaczyński, wróg wolności

My na pewno nie będziemy popierali polityki darwinizmu społecznego, bo to jest polityka nie tylko skrajnie niesprawiedliwa, niemoralna, lecz także skrajnie nieskuteczna. Tylko ktoś, kto jest skrajnym głupcem, może tego rodzaju rzeczy głosić" – oznajmił Jarosław Kaczyński podczas konferencji prasowej, odnosząc się po raz kolejny do poglądów gospodarczych i społecznych Sławomira Mentzena, jednego z liderów Konfederacji.

Warto zwrócić uwagę na zaciekłość, z jaką prezes PiS zwalcza od lat klasyczną myśl liberalną

Abstrahując od politycznej jazdy na ścianę, którą konsekwentnie uprawia ostatnio prezes PiS, warto zwrócić uwagę na zaciekłość, z jaką zwalcza od lat klasyczną myśl liberalną. To oczywiście jest maskowane jako walka z „neoliberalizmem", co ma być odniesieniem do formacji Donalda Tuska. To jednak część teatralna.

W istocie Jarosław Kaczyński z godną podziwu konsekwencją w słowach i działaniach okazuje skrajną wrogość wobec doktryny najbardziej klasycznego liberalizmu (nie jakiegoś wydumanego „neoliberalizmu"), czyli fundamentu wolnego rynku i osobistej wolności. Jego tyrady o rzekomym darwinizmie są tak naprawdę tyradami przeciwko Carlowi Mengerowi (nowosądeczaninowi zresztą), Friedrichowi Hayekowi, Ludwigowi von Misesowi, Miltonowi Friedmanowi, Henry'emu Hazlittowi czy nawet Adamowi Smithowi oraz Frédéricowi Bastiatiemu. To nie jest już wyłącznie zapiekłość antyliberalna – to zapiekłość w szerokim sensie antywolnościowa.

Jako że nie jest to jedynie skutek aktualnej wojenki o elektorat z Konfederacją, która to wojenka zresztą nic PiS nie daje, ale znacznie głębiej zakorzenione ideowe nastawienie Jarosława Kaczyńskiego, przeto bardzo serio brzmi pytanie: Czy formacja pod kierownictwem lidera, odwołującego się już całkiem wprost do skrajnego etatyzmu i socjalizmu, może w ogóle myśleć o koalicji z formacją, która jednak wolność gospodarczą i osobistą niesie od dawna na sztandarze. Takie porozumienie z każdym tygodniem wygląda na mniej możliwe. ©℗

eprasa.pl 43498c26b4

FOT. ADOBE STOCK

Metaliczny uścisk smoka

Piotr Włoczyk

Amerykanie pierwszy raz w swojej mocarstwowej historii znaleźli się w sytuacji, gdy ktoś przykłada im do skroni gospodarczy „pistolet". Ostatnie restrykcje ogłoszone przez Chiny to jednak również problem dla Europy i naszych planów modernizacji armii

Do budowy jednego myśliwca F-35 potrzeba ok. pół tony metali ziem rzadkich. Dziesięć razy więcej materiałów tego typu konieczne jest do skonstruowania okrętu podwodnego klasy Wirginia. A co, jeżeli to główny rywal USA trzyma „łapę" na tych surowcach? Biorąc pod uwagę, jak kluczowe są metale ziem rzadkich w nowoczesnych gospodarkach, trudno uwierzyć, że Zachód tak bardzo zaspał.

Szok, który 9 października przeżyła znaczna część światowych rynków i elit politycznych, tak naprawdę był oczywistością. Takie zagrożenie od dłuższego czasu wisiało nad globalnymi łańcuchami dostaw. Zachodni eksperci od lat ostrzegali, że taki scenariusz jest jak najbardziej możliwy i Chiny w końcu będą chciały sięgnąć po tę gospodarczą broń.

Pekin już od roku wprowadza coraz dalej idące restrykcje w eksporcie metali ziem rzadkich (ang. Rare Earth Elements – REE). Zaczęło się od kontroli eksportu technologii przetwarzania tych materiałów, następnie wiosną tego roku – po rozpoczęciu przez Donalda Trumpa wojny handlowej – Chińczycy ograniczyli sprzedaż części REE, ale prawdziwy cios przyszedł 9 października. Chińskie ministerstwo handlu ogłosiło tego dnia, że od 1 grudnia każdy producent, w którego wyrobach znajdują się REE pochodzące z Chin lub wyprodukowane przy użyciu chińskiej technologii, będzie mógł sprzedawać swoje produkty jedynie po uzyskaniu licencji chińskich władz (niezależnie od miejsca produkcji). Pekin zastrzega: tego typu licencje nie będą przyznawane podmiotom, które korzystając z chińskich REE, zaopatrują zachodnie firmy zbrojeniowe. A to oznacza, że problem nie dotyczy tylko Ameryki, głównego geopolitycznego rywala Chin, lecz także Polski, a konkretnie planów modernizacji naszych sił zbrojnych.

POKÓJ À LA CHRL

Skand, itr, lantan, europ czy dysproz – wszystko wskazuje na to, że te do tej pory właściwie nikomu nieznane nazwy wejdą na stałe do słownika polityków i biznesmenów. Metale ziem rzadkich to grupa 17 pierwiastków, bez których nie sposób tworzyć zaawansowanych procesorów AI, aut elektrycznych, turbin wiatrowych, radarów, wyrafinowanej broni, a także „cywilnej" elektroniki, któ-

eprasa.pl 43498c26b4

rej pełno mamy w domach. Wbrew temu, co sugeruje ich nazwa, te metale nie występują w ziemi rzadziej niż choćby złoto czy srebro. Problemem jest jednak to, że są bardzo „rozsiane", czyli trzeba „przerzucić" masę ziemi, by „odsiać" z niej te surowce (które następnie trzeba odpowiednio oczyścić).

Chiny przekonują, że ogłoszone właśnie obostrzenia w handlu REE, czyli przede wszystkim odcięcie – głównie zachodnich – sektorów wojskowych, mają gwarantować ich bezpieczeństwo narodowe, a także „światowy pokój i stabilność w regionie". Pekin podkreśla też, że jest to właściwie lustrzana odpowiedź na amerykańskie sankcje wymierzone w ChRL. Amerykanie już trzy lata temu wprowadzili przecież obostrzenia w zakresie eksportu do Chin najbardziej zaawansowanych procesorów oraz technologii produkcji takich urządzeń. Administracja Joe Bidena wykorzystała bezpardonowo swoją przewagę w tym konkretnym sektorze, próbując ograniczyć wzrost potęgi Chin, a teraz Pekin w końcu wykorzystał swoją przewagę w REE, budowaną konsekwentnie od dekad.

O powadze sytuacji świadczyła reakcja Donalda Trumpa, który niemal od razu zagroził wprowadzeniem od 1 listopada 100-procentowych ceł na towary sprowadzane z Chin. Ta zapowiedź zaniepokoiła z kolei amerykańską giełdę, która zanotowała największe spadki od wiosny, gdy Donald Trump ogłosił założenia swojego „dnia wyzwolenia" (czyli wysokość ceł dla poszczególnych państw świata). I tym razem reakcja Wall Street sprawiła, że Biały Dom – ustami sekretarza skarbu Scotta Bessenta – musiał rozwodnić swoje stanowisko odnośnie do 100-procentowych ceł na towary z Chin, podkreślając, że wcale nie musi się tak stać (jeżeli rozmowy z Pekinem pójdą dobrze). „Chińskie stanowisko odnośnie do wojny celnej jest niezmienne: nie chcemy jej, ale też nie obawiamy się jej" – podkreśliło chińskie ministerstwo handlu.

Amerykańska instytucja badawcza United States Geological Survey (USGS) szacuje, że ChRL odpowiada za ponad 70 proc. światowego wydobycia metali ziem rzadkich. Na kolejnych miejscach – aczkolwiek bardzo dalekich pod kątem ilości wydobycia – znalazły się USA, Australia oraz Mjanma. Jeszcze gorzej wygląda dla Zachodu kwestia przetwarzania REE – chińskie firmy opanowały tu światowy rynek w aż 90 proc.! Jednak w niektórych przypadkach zależność od Chin jest niemal stuprocentowa. Przykładowo jedna jedyna rafineria w Wuxi, na przedmieściach Szanghaju, wytwarza 99 proc. światowej podaży ultraczystego dysprozu – składnika niezbędnego do produkcji magnesów odpornych na wysokie temperatury. Dysproz z tego zakładu wykorzystywany jest m.in. przez Nvidię, obecnie najwyżej wycenianą firmę notowaną na giełdzie (ponad 4 bln dol.), produkującą bardzo zaawansowane chipy AI. Z kolei bez samaru, który sprzedają jedynie Chińczycy, nie da się zbudować m.in. myśliwca F-35 (Polska zamówiła 32 takie maszyny, które mają być stopniowo dostarczane do końca tej dekady).

PENTAGON NA ZAKUPACH

Zapowiedź nowych chińskich restrykcji na sprzedaż REE unaocznia Amerykanom, jak zmienił się świat. Nikt nie wytoczył takiego działa gospodarczego przeciw Stanom Zjednoczonym, odkąd ten kraj zajął mocarstwową pozycję na mapie świata. Gorączkowe komentarze Donalda Trumpa w tej sprawie („rzecz niebywała", „podłe i wrogie", „moralna hańba") pokazują, jak zabolała Amerykę ta zapowiedź. A przecież USA właściwie na własne życzenie znalazły się w tej sytuacji (to samo można też powiedzieć generalnie o całym Zachodzie).

Podobnie jak było to z wieloma innymi brudnymi sektorami, Zachód „wypchnął" wydobycie i przetwarzanie REE do Chin. W procesie rafinacji metali ziem rzadkich używa się bardzo silnych chemikaliów, które zatruwają środowisko. Przez kilka dekad taki układ był bardzo wygodny dla bogatego świata. Chiny za niewielkie pieniądze sprzedają przetworzone REE, zatruwają swoją ziemię i wodę, a Zachód tylko na tym korzysta.

Pierwszym dzwonkiem alarmowym powinna być awantura, która w 2010 r. wybuchła między ChRL a Japonią. Poszło o łowiska wokół Wysp Senkaku, do których pretensje roszczą sobie zarówno Japonia, Chiny, jak i Tajwan. Japończycy zatrzymali wtedy chiński trawler i aresztowali jego załogę, na co Pekin odpowiedział wprowadzeniem nieoficjalnego embarga na sprzedaż Japonii REE. Ten gospodarczy odwet nie był długotrwały (embargo zdjęto po dwóch miesiącach), ale jednak mocno wystraszył władze w Tokio. Japoński przemysł odczuł zaburzenie dostaw metali ziem rzadkich, więc wprowadzono środki zaradcze. W 2018 r. Japończycy mogli się pochwalić, że o połowę ograniczyli swoją zależność od wschodniego sąsiada. Od tego czasu ich sytuacja jest pod tym kątem coraz lepsza.

Zachód ewidentnie przespał tamtą lekcję, najwyraźniej czując się silnym wobec Chin. Wprawdzie w tym momencie, jak ustalił to „The New York Times", Ameryka i Europa są w trakcie uruchamiania sześciu zakładów przetwarzających REE, ale to wciąż kropla w morzu potrzeb, skoro Chiny cały czas odpowiadają za ok. 90 proc. światowej rafinacji REE. Potrzeba co najmniej kilku lat, by Zachód uniezależnił się w tej kwestii od Pekinu. Na krótką metę możliwy jest jedynie interwencyjny skup REE, co właśnie robi Pentagon na rozkaz Białego Domu. Według „Financial Times" Amerykanie przeznaczyli tuż po decyzji Pekinu miliard dolarów w celu zgromadzenia zapasu kluczowych surowców.

Bank Goldman Sachs przekonuje w swojej analizie, że chińskie władze blefują i restrykcje to tylko narzędzie mające wzmocnić pozycję Pekinu w rozmowach z administracją Trumpa. Według analityków banku najbardziej realistyczny scenariusz zakłada, że „obie strony odpuszczają najbardziej agresywne zapowiedzi, a rozmowy prowadzą do dalszego – a być może stałego – przedłużenia pauzy we wzajemnym nakładaniu kolejnych ceł". Jednak obserwując reakcje czołowych ekspertów zajmujących się Chinami, nietrudno odnieść wrażenie, że analitycy z Goldman Sachs są w tej kwestii wielkimi optymistami.

„Od 15 lat słyszymy, że Chiny kiedyś użyją metali ziem rzadkich przeciwko nam i wtedy będziemy ugotowani... I to właśnie się wydarza teraz, na naszych oczach – podkreślił w swej analizie dr Jakub Jakóbowski, wicedyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich, kierownik Zespołu Chińskiego OSW. – Chiny tworzą makroinstrument kontroli i spowalniania zachodniego programu zbrojeń. To się tyczy nie tylko USA, lecz także całego NATO i sojuszników indopacyficznych".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 43498c26b4

Z Wojciechem Iwaniukiem, CEO InnerValue
rozmawia Karol Gac

Kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana

FOT. INNERVALUE SP. Z O.O.

KAROL GAC: Czy inwestowanie na giełdzie ma w ogóle sens?

WOJCIECH IWANIUK: Oczywiście, że ma – i to z wielu powodów. Samo rozpoczęcie inwestowania jak najwcześniej jest niezwykle ważne z punktu widzenia naszego rozwoju finansowego. To także sposób na budowanie odpowiedzialności i zrozumienia, jak funkcjonuje gospodarka. Giełda wymaga więcej wiedzy niż choćby lokata czy obligacje, ale właśnie dlatego daje też szansę na wyższą premię. Dobrym przykładem jest polska giełda, która w tym roku należy do najlepszych na świecie – na niektórych spółkach można było zarobić kilkadziesiąt procent.

Bardzo często można się jednak spotkać z opinią, że na giełdzie się nie inwestuje, lecz gra. Co pan na to?

Nie zgadzam się z tym stwierdzeniem. Owszem, są inwestorzy spekulacyjni, którzy grają krótkoterminowo, ale to oni zapewniają płynność – a płynność jest warunkiem życia na giełdzie. Poza tym istnieją strategie znacznie bezpieczniejsze, jak np. budowanie portfela spółek dywidendowych, które co roku dzielą się zyskiem. Takie inwestowanie jest bardziej przewidywalne i dostępne niż np. zakup nieruchomości na wynajem.

Jak zatem zacząć inwestować? O czym powinniśmy pamiętać?

Na giełdzie, tak jak w życiu, nie ma darmowych obiadów. Trzeba poświęcić czas na edukację – poznać mechanizmy rynku, stopy zwrotu, fazy cyklu gospodarczego. Kluczowe jest też pamiętanie o ryzyku. Jeśli chcemy zarobić więcej niż na lokacie, to musimy zaakceptować większe ryzyko. Ale kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana.

Z pana doświadczenia wynika, że klimat wokół giełdy na przestrzeni lat uległ zmianie?

Warszawska giełda przez lata była synonimem sukcesu. Zmiany wokół OFE zatrzymały ten trend i przez dekadę odbudowywaliśmy bazę kapitałową. Dziś jest ona znacznie bardziej różnorodna – mamy PPK, IKE, IKZE i w planach nowe instrumenty. Spółki giełdowe to zysk, podatki i transparentność – inwestorzy odgrywają też rolę dodatkowego nadzoru. Nie widzę minusów w tym, aby duża część gospodarki była notowana na giełdzie.

Wydaje się, że można zauważyć nowy model rynku kapitałowego: inwestowanie społecznościowe, czyli emisje kierowane do ludzi, którzy znają i wspierają dane projekty.

Dobrze jest inwestować w firmy, których produkty się zna i lubi. Łatwiej zrozumieć spółkę, której jest się fanem, niż tę o obcym modelu biznesowym. Dlatego coraz częściej projekty finansują społeczności – użytkownicy i sympatycy marek. To naturalne przedłużenie relacji z firmą.

Tego typu przykładem jest chyba emisja akcji Do Rzeczy SA?

Tak, to świetny przykład. Społeczność zaangażowała się w finansowanie i rozwój projektu. Teraz kluczowe będzie przełożenie tego na wzrost popularności i modelu biznesowego.

Sądzi pan, że to wyłącznie inwestycja czy może również coś więcej – akt wsparcia idei niezależnych mediów?

Na pewno nie chodzi tylko o zysk. Inwestorzy utożsamiają się z wartościami, które stoją za tym tytułem. To coś więcej

eprasa.pl 43498c26b4

– to także akt wsparcia dla idei niezależnych mediów.

Pytanie, co dalej? Do Rzeczy SA stanie się spółką publiczną?

Spółka w czerwcu 2025 r. zakończyła ofertę publiczną akcji niepełnym sukcesem, ale należy podkreślić fakt, że zainteresowanie ponad 300 inwestorów robi bardzo dobre wrażenie. Z informacji, które komunikuje zarząd, wynika, że procedura giełdowa zostanie rozpoczęta po obecnie trwającej, nowej ofercie publicznej. Celem nowej oferty akcji jest pozyskanie kwoty, której nie udało się spółce zgromadzić w czerwcu. Plan zakłada debiut w pierwszej połowie 2026 r.

Kiedy i jak inwestorzy będą mogli obracać akcjami? Jakie są możliwości dalszego wsparcia i uczestnictwa?

Inwestorzy będą mogli dokonywać transakcji na giełdzie po debiucie – orientacyjnie w pierwszej połowie 2026 r. Oznacza to, że akcje spółki pojawią się na rynku publicznym, a ich posiadacze będą mogli je swobodnie sprzedawać lub dokupować, tak jak w przypadku innych notowanych spółek. Warto pamiętać, że kurs akcji na giełdzie zależy od popytu i podaży, czyli od tego, jak rynek oceni perspektywy i wyniki spółki – dlatego nie można zagwarantować z góry żadnego poziomu zysku.

Dla tych, którzy chcą dalej wspierać rozwój projektu i uczestniczyć w jego wzroście, dostępna jest możliwość objęcia nowych akcji w trwającej ofercie publicznej. Oferta rozpoczęła się w październiku i daje szansę na zwiększenie swojego zaangażowania jeszcze przed wejściem spółki na giełdę. To także okazja dla nowych inwestorów, by dołączyć do grona akcjonariuszy na wcześniejszym etapie.

Szczegółowe informacje o warunkach emisji, terminach i sposobie zapisu można znaleźć na stronie dorzeczy.pl.

Giełda jest chyba szansą dla niezależnych projektów?

Tak, na GPW są bardzo dobre przykłady sukcesów finansowania społecznościowego. Stoją za nimi wyraziste osoby, które przyciągają inwestorów. To trend, który jeszcze długo będzie obecny – nie tylko w Polsce, lecz także na świecie.

Z tego, co pan mówi, wynika, że giełda to nie tylko narzędzie zysku, lecz także wolności gospodarczej i budowania niezależności.

Zdecydowanie tak. Kredyty bankowe w Polsce często są trudno dostępne, a banki działają według schematów. Giełda daje możliwość pozyskania kapitału bez utraty kontroli nad firmą – można sprzedać część udziałów, rozwijać się i dobrać partnerów. To mechanizm wzmacniający gospodarkę, bo obywatele wspierają firmy innowacyjne i ambitne. Porażki zawsze będą, ale błędów nie popełnia tylko ten, kto nic nie robi.

Warto też zauważyć, że INC i InnerValue pokazują, iż rynek kapitałowy może finansować nową falę polskiego biznesu.

Od lat specjalizujemy się we wspieraniu finansowania innowacyjnych firm. Warszawska giełda to w większości polskie spółki i polscy akcjonariusze, co wzmacnia patriotyzm gospodarczy. Mamy branże, które dają nam rozgłos na świecie – kosmiczną, MedTech, farmaceutyczną czy IT. To dowód, że giełda to przestrzeń, w której rodzi się nowa fala biznesu opartego na wartościach, technologii i jakości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

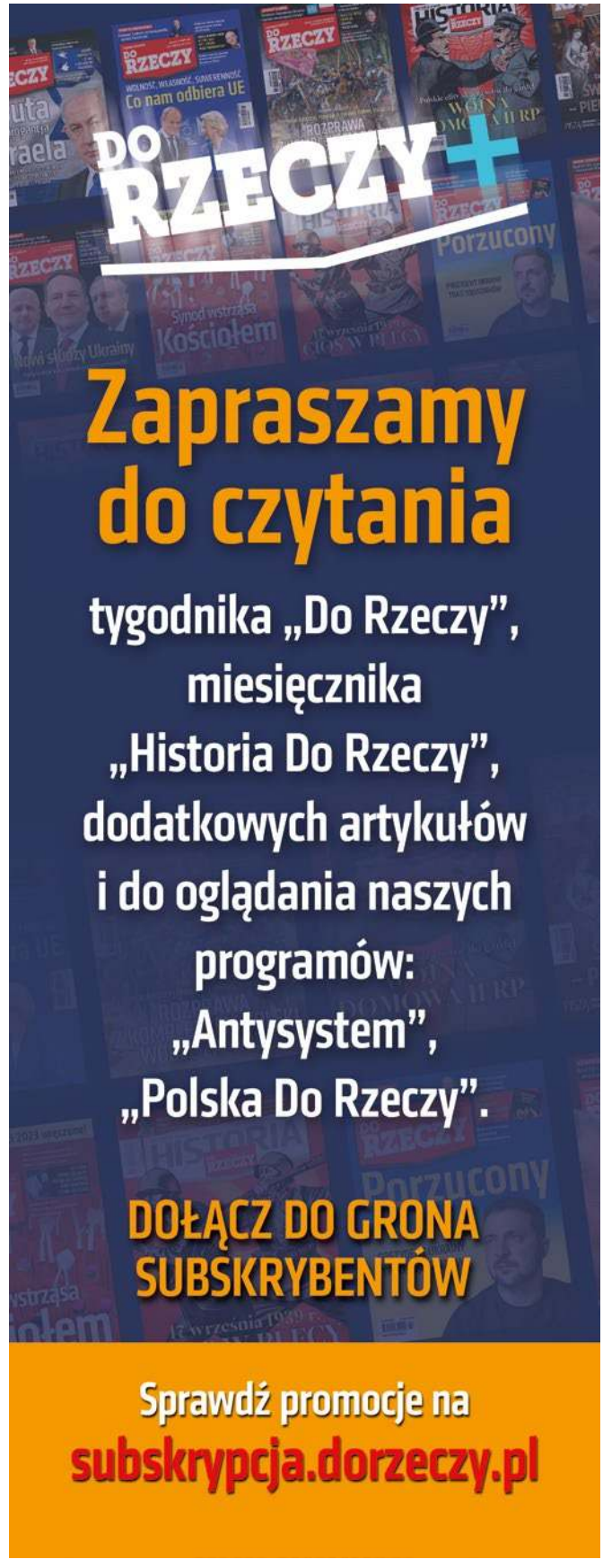

eprasa.pl 43498c26b4

Inne czasy, inne obyczaje

Joanna Bojańczyk

Nie będą nas pouczać żadne hrabiny – myślą ludzie. Zrobiło się trochę jak w PRL: precz z elitami, niech żyje lud. Z tą różnicą, że dzisiaj lud nie jest z fabryk i hut, ale z kanapy w telewizyjnym studiu

FOT. ADOBE STOCK

Ale się pan nasłucha – powiedziałam do kasjera w Auchan, starszego pana, który właśnie obsłużył młodego, dobrze ubranego człowieka. Ten płacił, nie przerywając głośnej rozmowy, w której opowiadał komuś przebieg wczorajszej imprezy.

– To jest po prostu złe wychowanie, brak szacunku – odpowiedział kasjer i machnął ręką z rezygnacją, pogodzony z takimi sytuacjami.

Podniosło mnie na duchu, że właśnie kasjer komentuje w taki sposób niegrzeczne zachowanie o wiele młodszego od siebie klienta, który prawdopodobnie zajmuje wyższą od niego pozycję społeczną.

Hierarchie się odwróciły. Słowo „elity" przestało działać jak komplement. Pieniądze, markowe ciuchy, eleganckie miejsce zamieszkania nie wystarczają, żeby stać się kimś, kto wyznacza wzorce. Atrybuty powodzenia materialnego działają wręcz obciążająco.

Media społecznościowe demaskują kompromitujące zachowania samozwańczej „klasy wyższej". „Jedenastoletni chłopiec w niebieskiej kurtce szalał na elektrycznej hulajnodze tak, że przechodnie uciekali, wjeżdżał w ludzi, wymuszał pierwszeństwo na samochodach, do tego – według świadków – był wulgarny, zachowywał się agresywnie.

To wydarzyło się w dzielnicy, która ma opinię ekskluzywnej. Wilanów, rezerwat wyborców Platformy Obywatelskiej, ma problem z agresywnymi nastolatkami, którzy piją w miejscach publicznych, zaczepiają ludzi, prowokują i obrażają. Nie boją się ochrony, z którą się wykłócają. „Syndrom bogatych dzieci" – komentuje Internet.

Niedawno, próbując wejść do prywatnej szkoły podstawowej, utknęłam w progu. Uczniowie tłumnie wypadali na boisko, bo właśnie zaczęła się przerwa. Nikt nie przepuścił mnie w drzwiach. Podobnie obojętne na obecność innych ludzi zachowania widzi się w kurortach narciarskich we Włoszech i w Austrii, gdzie przyjeżdża wielu Polaków. Narty to drogi sport, nastolatkowie, którzy przyjechali tu z rodzicami, mają tego świadomość. Są głośni, bezczelni, szpanują drogim sprzętem, wpychają się do kolejki do wyciągu. – Narciarstwo zjazdowe stało się obciachowe. Lexusy i bmw na parkingu, a na górze chamstwo – skomentował znajomy narciarz. Smutna refleksja.

CIAŁO PO ODCHUDZANIU

Zasady savoir-vivre'u nie dotyczą już wyłącznie problemu, z której strony talerza ma leżeć nóż, a z której widelec. Obecność w naszym życiu komórek i Internetu wywróciła wszystkie sfery życia. Internet wdarł się w intymność, zdemokratyzował zachowania. Portale plotkarskie upubliczniły intymne chwile życia. Celebryci sami je udostępniają, bo bez obecności w mediach przestają się liczyć. Ktoś ufarbował sobie włosy, ktoś skrócił sukienkę, ktoś opalał się nago na balkonie. Aktorka serialu prezentuje ciało po kuracji odchudzającej, inną paparazzi złapali, jak obżera się ciastkami. Gwiazdy pokazują swoje mieszkania, chwalą się łazienkami, wyposażeniem, mówią, co ile kosztowało.

Czy w takich czasach dawne formy grzeczności mają jeszcze jakieś znaczenie? Czy ważne jest, że w e-mailu napiszemy „pozdrowienia" czy „z poważaniem"? Czy topless to przekroczenie? Przecież na festiwalach widzimy aktorki w połowie nagie. Czy w pociągu można zdjąć buty i siedzieć w skarpetkach? Jest cały zestaw pytań dla savoir-vivre'u Anno Domini 2025 bardziej aktualnych niż ustalenie, ile czasu ma trwać pierwsza wizyta i czym należy jeść szparagi. Do nich życie dołącza wciąż nowe.

Słowo „savoir-vivre" brzmi reakcyjnie i staroświecko. „Dobre maniery"? To pachnie naftaliną. Narzucanie jednej osobie przez drugą sposobu zachowania wydaje się ryzykowne. Za dobrze wychowanego uważa się każdy. To inni trzaskają drzwiami przed nosem, przerywają rozmowę, siorbią przy stole i nie odpowiadają na e-maile. Inni źle się zachowują, my nigdy.

eprasa.pl 43498c26b4

Jednak sądząc po liczbie wydawanych podręczników savoir-vivre'u, nie czujemy się wcale tak bardzo pewni siebie. Chętnych, żeby podciągnąć się w sztuce dobrych manier, nie brakuje. W Internecie kupimy wiele podręczników: dla dzieci, dla kobiet, dla nowoczesnych kobiet, dla singli, nowożeńców, podróżujących samolotem, internautów. Etykieta wina, ubrania, kwiatów i telefonów komórkowych. Podręczniki biznesowe stanowią osobną, istotną grupę.

Literatura służąca sztuce życia nie powstaje dzisiaj w salonach arystokracji. Rolę wychowawcy od elit przejęły osoby publiczne. Ich sposób ubierania, zachowania, mówienia jest wytyczną dla mas. Wydawałoby się, że media pilnują standardów, przynajmniej się starają. Prowadzący wiadomości czy fakty dziennikarze zwracają się grzecznie, mówią „dziękuję” i „proszę”. Jednak wystarczą jedno czy dwa nagrania puszczone na dziko w Internecie, żeby prysł mit ich kultury słownej. Czy spotyka się to z dezaprobatą? Sądząc po wpisach internautów, słysząc, co mówi prowadzący, kiedy nie jest na fonii, ludzie oddychają z ulgą. Na szczęście naprawdę facet nie jest takim sztywniakiem, na jakiego wygląda. Bluzga jak każdy z nas.

Kilka słów, które kiedyś nazywano „brzydkimi”, dawno przeszło do sfery języka codziennego w Internecie i częściowo w telewizji. Chyba jeszcze tylko radiowa Dwójka się uchowała, telewizja publiczna wciąż „wypikowuje” je według starych zasad. Jednak w Netflixie nie ma już filmu, który nie ostrzegałby przed „wulgarnym językiem”, tak bardzo stał się on powszechny. Wszyscy tak mówią. Te słowa są w napisach, czyta je lektor.

NIEŚMIAŁOŚĆ TO BŁĄD

W III RP odrodziła się potrzeba ucywilizowania narodu po latach siermiężnego obyczaju. Wysypały się kursy, szkolenia i podręczniki. W magazynach zaczęto pisać o arystokracji, ale próba wykreowania jej na nową elitę się nie powiodła. Większe niż na własną tradycję było parcie na wszystko, co zagraniczne, międzynarodowe. Zamiast skromności lansowano asertywność, słowo, które pokolenie przedwojenne nazwałoby zapewne bezczelnością. Młodzi chcą stwarzać pozytywny, w stylu amerykańskim wizerunek własnej osoby. Tak uczą zagraniczne podręczniki i krajowi psychologowie. Nieśmiałość jest przeszkodą w karierze.

W podobnej postawie utwierdzają wypowiedzi showmanów i polityków, z których niektórzy także są showmanami. Powiedzieć o kimś cham, idiota czy kretyn – nie ma sprawy. Zapewnia popularność. Jest swojskie i bezpośrednie. Widownia czuje, że to swój chłop. Nie będą nas pouczać żadne hrabiny – myślą ludzie. Zrobiło się trochę jak w PRL – precz z elitami, niech żyje lud. Tylko dzisiaj lud nie jest z fabryk i hut, ale z kanapy w telewizyjnym studiu.

Przykładów nie brakuje, a chociaż niektóre pretendowałyby do kategorii żartów, to żartami nie są, ale kompromitacją.

Premier Donald Tusk przystawiający dwa palce do pleców Donalda Trumpa, dający do zrozumienia, że chętnie by w tym miejscu przyłożył lufę pistoletu. Bronisław Komorowski i jego szogun na wizycie państwowej w Japonii. Pijany Aleksander Kwaśniewski w czasie wizyty na wysokim szczeblu przy grobach w Katyniu. Aleksandra Miller i jej sukienka w napisy „sex love romance” w czasie wizyty królewskiej pary z Japonii. Jolanta Kwaśniewska w spódniczce mini w czasie wizyty królowej Elżbiety II. Po Małgorzacie Kidawie-Błońskiej można by się spodziewać więcej ogłady, więc dziwi, kiedy przy zaprzysiężeniu prezydenta Nawrockiego nie wie, kiedy siedzieć, a kiedy wstać, i desperacko rozgląda się, szukając pomocy.

SPODNIE TYLKO NA MRÓZ

Czy dawniej maniery były lepsze? Nie wiadomo. Podręczniki i kodeksy istniały także, jak słynny kodeks Boziewicza, ale było ich mniej. Jednak paradoksalnie ludzie, których savoir-vivre dotyczył, mniej ich potrzebowali. Z pewnym zestawem zachowań się człowiek rodził. Potem wzrastał otoczony ludźmi, którzy te sprawy rozumieli podobnie. Granice własnej klasy społecznej przekraczało się nie w sytuacjach towarzyskich, lecz po to, by wydać polecenia służbie.

W demokracji każdy obcuje z każdym, chce czy nie chce. Skutki zachodniej rewolucji obyczajowej końca lat 60., z jej hasłem „zabrania się zabraniać”, dotarły z ponad 20-letnim opóźnieniem. Komunizm wprawdzie odżegnywał się od burżuazyjnych norm, ale sam obyczajowo był restrykcyjny. Spróbowałby kto położyć nogi na fotelu w kinie, zaraz przyleciałby kierownik i z sali wyrzucił. W szkole dzieci wstawały, gdy do klasy wchodził nauczyciel, nawet towarzyszom i towarzyszkom zdarzało się cmoknąć damę w rękę.

W pewnym sensie komunizm spetryfikował niektóre przedwojenne zasady. Może nie zaprzątał sobie głowy tworzeniem nowych, może nie miał czasu na głupstwa. Po wojnie ukazało się kilka podręczników savoir-vivre'u jeszcze w starym stylu, ale szybko stalinizm ukręcił łeb zamiarom wychowywania narodu w duchu, nie daj Boże, przedwojennym. W socjalistycznej świadomości nie było miejsca na takie bzdury jak trzymanie łokci przy sobie.

Gdy władza poluzowała, pojawiły się ponowne próby skodyfikowania zachowań w nowej sytuacji. Pierwszym arbiter elegantiarum PRL został Jan Kamyczek, który przez wiele lat prowadził w „Przekroju” rubrykę pt. „Grzeczność na co dzień”. W 1956 r. wydał książkę pod tym tytułem. Pod pseudonimem Kamyczek ukrywała się krakowska dziennikarka i malarka Janina Ipohorska (napisała także scenariusz serialu „Kapitan Sowa na tropie”). Kamyczek w żartobliwy sposób próbował ocalić trochę starych zasad, inne odrzucał, niektóre dopasowywał do życia w gomułkowskich M3. Choć większość porad czyta się dzisiaj z przymrużeniem oka, to podbudowy ideologicznej nie sposób nie wyczuć. Opis obyczajów, który z nich wynika, czasem kabaretowy, gdzieniegdzie powieje grozą.

Przy lekturze uroczego poradnika Jana Kamyczka i Barbary Hoff „Jak oni mają się ubierać” (rok 1958) ma się wrażenie, że jeśli chodzi o modę, to przez 50 lat przeskoczyliśmy nie jedno, lecz parę pokoleń. Kiedy i gdzie można chodzić w spodniach? „Na wczasach, na wycieczce strój ten jest dla niewiast powszechnie przyjęty. Są też rodzaje pracy, gdzie sam się prosi. I nic w tym złego, jeśli w czasie mrozów czy słot koleżanka przyjdzie w spodniach na uczelnię czy też do biura. Wszystko to nie przeszkadza, że spodnie dla kobiety nie są strojem normalnym, lecz okolicznościowym. A więc noszenie ich w sytuacjach, które tego nie wymagają, trąci pretensjonalnością, a czasem jest wręcz niestosowne”. Sporo się zmieniło od tamtych czasów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 43498c26b4

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Pogrzeb dwóch królów

Przez cały dzień 11 sierpnia 1733 r. Warszawa i Krakowskie Przedmieście były świadkami niezwykłej ceremonii pogrzebu dwóch królów: Augusta II Mocnego i Jana III Sobieskiego, jego małżonki Marii Kazimiery, królowej polskiej, a także Jana Stanisława, wnuka królewskiej pary, syna królewicza Jakuba, którzy dopiero teraz doczekali się pogrzebu. W nocy ciała zostały przewiezione na Zamek Królewski, rankiem odbyły się egzekwie, podczas których bp Andrzej Załuski wygłosił długie przemówienie. Po południu orszak wyszedł na dzisiejszy plac Zamkowy, gdzie uformował się ogromny kondukt. Pod kolumną Zygmunta biskup sufragan kujawski wygłosił mowę pogrzebową przypominającą zwłaszcza zasługi króla Augusta II. Następnie orszak ruszył Krakowskim Przedmieściem na południe, skręcił na zachód, w stronę Pałacu Saskiego, który ma być odbudowany na dzisiejszym placu Józefa Piłsudskiego, potem skierował się wzdłuż Ogrodu Saskiego do traktu na Kraków.

RYS. OBA

Kondukt pokazywał wspaniałość władców polskich. Na czele z zapalonymi świecami szli dworzanie w żałobnych strojach, za nimi chorągwie i dobosze wybijający rytm marszowy. Następnie postępowało 274 zakonników i zakonnic, dalej kupcy i magistraty Starej oraz Nowej Warszawy. Następnie księża misjonarze, wreszcie siedmiu biskupów. Dalej jechał na koniu archimimus, czyli dawny adiutant króla Augusta, przybrany na czarno i wyobrażający monarchę. Koń okryty był takimi samymi kapami, mężczyzna trzymał w ręku nagą szablę obróconą ostrzem w dół. Za nim szedł regiment gwardii koronnej otaczający i osłaniający wozy z ciałami. Następnie senatorowie niosący insygnia królewskie Augusta. Następnie jechał wóz z trumną Marii Kazimierzy i jej wnuka. Za nim wieziono Sobieskiego, a potem szczątki Augusta, ten jednak wóz poprzedzany był przez 12 szlachciców i księdza. Wszyscy jechali na wierzchowcach okrytych czarnymi całunami. Kondukt zamykała kompania grandmuszkieterów pod dowództwem Wacława Potockiego. Wzdłuż trasy ustawiono 18 armat, przy których czuwali puszkarze z zapalonymi lontami. Na placu Saskim (dzisiejszym Piłsudskiego) orszak zatrzymał się na chwilę. Oddano wówczas trzykrotną salwę. Dalej wozy pod eskortą ruszyły do Krakowa, gdzie szczątki królewskiej rodziny zostały dużo później złożone w kryptach na Wawelu.

Pogrzeb zorganizowany był przed zaczynającą się 25 sierpnia elekcją przez stronnictwo popierające elektora saskiego Fryderyka Augusta i mające zdobyć dla niego głosy szlachty. Jednak przemowy biskupów, jak pisze Jacek Staszewski, nie mogły przekonać elektorów do głosowania na syna Augusta II, któremu pamiętano wciągnięcie nieprzygotowanej Rzeczypospolitej w wojnę ze Szwecją i ruinę kraju. W Warszawie i w całym kraju trwała już kampania przedelekcyjna, gdyż wkrótce na Woli Fryderyk August miał zmierzyć się z kontrkandydatem francuskim Stanisławem Leszczyńskim, wspieranym przez ambasadora Ludwika XV. Trwała kampania w ówczesnych „mediach", pod którymi rozumieć należy rozpowszechnianie druków ulotnych, podczas gdy warszawskie karczmy, pałace i dwory odgrywały rolę dzisiejszego Internetu. Tak jak dzisiaj walka polityczna przybierała coraz brutalniejsze formy. Na przykład ambasador Monti wykupił wszystkie warszawskie drukarnie, aby uniemożliwić stronnictwu saskiemu tworzenie i drukowanie paszkwili godzących w Leszczyńskiego. Pisma elektora saskiego trzeba było zatem drukować za granicą, co sprawiało, że docierały na pole elekcyjne z opóźnieniem. Do walki z Sasami włączył się nawet prymas Teodor Potocki.

Niestety, strona saska miała w swoim ręku potężniejsze argumenty – na Warszawę maszerowały wojska rosyjskie, które później przeprowadziły pod wsią Kamion własną elekcję, na której wybrano oczywiście Wettyna.

Tymczasem trumny ze zwłokami dwóch królów przez Radom, Kielce, Jędrzejów i Miechów dotarły do Krakowa, gdzie spoczywały na Wawelu aż do 15 stycznia 1734 r. Wówczas, w dniu poprzedzającym koronację Fryderyka Augusta, który wstąpił na tron polski jako August III, wwieziono trumny na Wawel, do katedry, gdzie po nabożeństwie złożono je do krypty pod kaplicą Wazów. Na swój pogrzeb Jan Sobieski, zwycięzca spod Wiednia, czekał 38 lat. Jego szczątki przeniesiono później, w 1784 r., do wyremontowanej krypty św. Leonarda, jednak dokonano wówczas przykrej profanacji. Okazało się bowiem, że sarkofag, który wówczas przygotowano, jest za mały! W związku z tym zbudowano nową, bardzo ciasną trumnę, po czym niejako „upchnięto" w niej czcigodne szczątki. Poprawiono to dopiero w 1938 r., wkładając starą trumnę do nowej, miedzianej i powtórnie zamykając w sarkofagu. ©℗

eprasa.pl 43498c26b4

HYUNDAI INSTER

FOT. JAP.

Jury nagrody World Car Awards w Nowym Jorku właśnie ten model uznało za Światowy Elektryczny Samochód Roku 2025. Podobnych wyróżnień Inster ma już wiele. Koreańczycy są nagradzani m.in. za śmiałą stylistykę. I muszę przyznać, że spotkałem osoby, którym design tego miniauta naprawdę się podoba. Ja do tej grupy nie należę. Dla mnie Inster wygląda, jakby jakiemuś sześciolatkowi kazano narysować, jak sobie wyobraża skrzyżowanie auta Jasia Fasoli z multiplą. De gustibus non est disputandum.

Poza dyskusją jest fakt, że mierzący 3,8 m długości Inster nie nadaje się ani na samochód sportowy ani rodzinny (i nie chodzi o to, że ma tylko cztery gwiazdki w testach zderzeniowych Euro NCAP). To po prostu typowe auto do miasta. Malutkim elektrykiem łatwo jest zaparkować (i to bez oglądania się na parkomaty), a do tego w Polsce można się nim legalnie poruszać po buspasach. Plusem jest również przyjemne, sprężyste zawieszenie.

Inster sprawdzić się więc może jako drugi lub trzeci samochód w rodzinie. Chociaż mogą nim podróżować maksymalnie cztery osoby, to w kabinie miejsca jest zaskakująco sporo. Plastiki są co prawda twarde jak serce recenzenta, ale dobrze spasowane (nic nie trzeszczy). Jest nawet oświetlenie ambientowe (64 kolory do wyboru). Prawie nie ma za to bagażnika (jego pojemność to 238 l). Da się jednak złożyć na płasko wszystkie siedzenia (łącznie z fotelem pasażera z przodu). Można wówczas przewieźć nim nawet dłuższe meble w kartonach czy mały kajak.

Nabywca Instera ma do dyspozycji dwa poziomy mocy (97 KM oraz 115 KM). Obie wersje mają 147 Nm momentu obrotowego. Nawet najmocniejsza odmiana na sprint od zera do 100 km/h potrzebuje aż 10,6 s. W cenniku są też dwie pojemności akumulatora: 42 kWh oraz 49 kW. Ten drugi Koreańczycy nazywają „dalekozasięgowym", choć ma 355 km zasięgu WLTP.

Czy da się nim wyjechać za miasto? Tak, ale nie bez powodu na autostradzie często instery jadą prawym pasem za ciężarówkami. Wówczas zasięg nie topnieje zbyt szybko, a miniauto nie jest tak podatne na podmuchy wiatru (140 km/h to już w Insterze sport ekstremalny). Prędkość maksymalna dla mocniejszej odmiany wynosi 150 km/h.

Realny zasięg na jednym ładowaniu w jesiennych temperaturach wynosił podczas testu w cyklu mieszanym około 300 km. Przyznaję: miałem włączoną klimatyzację. Jeśli się ją wyłączy i kupi ściereczkę do zaparowanych szyb, to zasięg urośnie o ponad 20 km. Wyszedłem jednak z założenia, że nawet Greta Thunberg nie chciałaby nowego auta bez klimy. Zlekceważyłem więc tę podpowiedź komputera pokładowego. Na autostradach starałem się jednak nie przekraczać średnio 100 km/h.

Maksymalna moc ładowania prądem stałym to 85 kW. Na szczęście krzywa ładowania od proc. 10 do ok. 70 proc. jest dość płaska. W pół godziny można więc uzupełnić baterię z 8 proc. do 58 proc. (co pozwala pokonać ok. 190 km).

Bazowa wersja Instera kosztuje 107,9 tys. zł (ma już kamerę cofania, automatyczną klimatyzację, 10,25-calowy ekran systemu multimedialnego, a także cyfrowe zegary z 10,25-calowym wyświetlaczem). Doposażona wersja Smart kosztuje zaś 139,9 tys. zł. Bez rządowych dopłat Inster nie ma więc sensu. Po dopłacie z programu „NaszEauto" nowiutkiego Instera można jednak mieć za około 60 tys. zł...

BEYERDYNAMIC AVENTHO 300

Wysoka jakość dźwięku, obsługa Dolby Atmos, rewelacyjna bateria oraz łączność Bluetooth 5.4 – to największe zalety słuchawek klasy premium niemieckiej marki Beyerdynamic.

Klasyczne, eleganckie słuchawki zostały solidnie wykonane z użyciem aluminium oraz wysokiej jakości tworzywa. Są też ergonomicznie zaprojektowane. Komfortowe, miękkie pady są dobrze wyprofilowane i zapewniają świetną wentylację. Trzeba jednak pamiętać, że słuchawki ważą 319 g, a nacisk musi być wystarczająco silny, aby niezależnie od sytuacji dobrze trzymały się głowy. Nie można więc w nich słuchać muzyki bez przerwy przez kilkanaście godzin i mówić, że prawie się ich nie czuje. Podczas normalnych dwu-, trzygodzinnych sesji są jednak naprawdę wygodne.

Parowanie Bluetooth idzie błyskawicznie, świetnie sprawdza się też multipoint, czyli możliwość jednoczesnego połączenia słuchawek ze smartfonem i komputerem. Nawigowanie za pomocą panelu dotykowego i przycisków wymaga już przyzwyczajenia – początkowo trudno wyczuć, co się naciska. Po kilku dniach wszystko działa jednak intuicyjnie.

Czas na najważniejsze: dźwięk w Aventho 300 jest czysty i pełen szczegółów. Bas jest mocny, ale na szczęście nie przytłaczający. Dzięki temu wystarczająco wyraźne są też średnie i wysokie tony. Testowane słuchawki obsługują kodeki AAC, aptX Lossless, aptX Adaptive i LE Audio. Na pochwałę zasługuje również bateria. Producent podaje, że pozwala na 50 godzin pracy na jednym ładowaniu. Podczas naszego testu ten wynik wyniósł ponad 60 godzin. Brawo!

W tej półce cenowej nie mogło się obyć również bez solidnego etui, które ochroni słuchawki podczas podróży. W zestawie są też m.in. dwa przewody (USB-C oraz klasyczny AUX z minijackiem 3,5 mm), dzięki czemu słuchawki można połączyć ze źródłem dźwięku również przewodowo.

Nieco gorzej na tle konkurencji wypada ANC, czyli Active Noise Control (aktywna redukcja hałasu). Bose lub Sonos w tej kategorii radzą sobie lepiej, choć i w przypadku Aventho 300 poziom tłumienia hałasów z zewnątrz jest już całkiem niezły. Inne wady? Audiofilom brakować może kodeków LDAC i LDHC 5.0. Z kolei w dedykowanej słuchawkom aplikacji nie ma języka polskiego.

Tuż po premierze minusem była też wysoka cena – producent za ten model żądał ponad 1700 zł. Obecnie Aventho 300 kosztują 1299 zł. Za takie pieniądze z pewnością są warte uwagi.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 43498c26b4

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Zalety ziemniaków

Jesteśmy już w nastroju jesiennych przepisów, zrobiło się nieco chłodniej, wieczorami nawet bardzo chłodno. Czas zatem, aby jeść ciepło i treściwie. Jesień to bogactwo warzyw, które codziennie wykorzystujemy w swojej kuchni. Ziemniaki niewątpliwie należą do naszych faworytów, mają wszechstronne wykorzystanie w kuchni, można je przygotowywać na wiele sposobów. Mają jednak wysoki indeks glikemiczny.

Jest jeden sposób, aby ziemniaki nie powodowały takiego dużego wyrzutu insuliny – możemy po ugotowaniu schłodzić je w lodówce, a następnie zjeść na zimno w postaci sałatki ziemniaczanej ze świeżymi warzywami. Błonnik pokarmowy z warzyw i ziemniaki to dobre i bardzo zdrowe połączenie, zwłaszcza gdy dodamy oliwę z oliwek. Nie wszystko jednak możemy schłodzić i zjeść na zimno – np. placki ziemniaczane, chrupiące i dobrze wypieczone smakują najlepiej na gorąco. Tak samo, jak kluski śląskie przygotowywane z ugotowanych ziemniaków. Wielu przepisów po prostu nie da się zmienić, możemy jedynie z nich zrezygnować.

Ziemniaki są źródłem witamin C i B6 oraz błonnika, szczególnie pod skórką. Dlatego warto gotować je wraz ze skórką (ale przedtem należy porządnie je wyszorować) i zjadać w całości. Są również szczególnie bogate w błonnik pokarmowy i dodają nam energii. Najważniejsze zaś – należy przygotować je bez użycia tłuszczu, czyli piec w całości lub gotować na parze. Zrezygnujmy również z okraszania ich skwarkami i tłustymi sosami, wtedy będą dla nas zdrowsze. Dlatego dziś proponujemy babkę ziemniaczaną prosto z Podlasia, ale w wersji bezmięsnej dla zmniejszenia kaloryczności.

Babka ziemniaczana z Podlasia

• 2 kg ziemniaków • 2 cebule • 2 jajka • 120 g mąki pszennej • 4 ząbki czosnku • 1 duża płaska łyżka soli • 1 mała łyżeczka pieprzu • 1 mała łyżeczka majeranku • 1 mała łyżeczka papryki czerwonej słodkiej • 2 duże łyżki bułki tartej • 2 duże łyżki masła do wysmarowania formy • 4 duże łyżki oliwy – 2 do smażenia, 2 do masy babki • 50 ml mleka lub śmietanki słodkiej • duża garść zielonej pietruszki natki posiekanej

Ziemniaki ścieramy na tarce na drobnych oczkach lub blendujemy w blenderze, odstawiamy na jakiś czas, aby wytrąciła się woda. Potem wodę odlewamy i oddzielamy skrobię z ziemniaków, którą dodamy do masy babki. Jedną cebulę ścieramy lub blendujemy, drugą kroimy w kostkę i podsmażamy na oliwie na złoty kolor. Do odcedzonych ziemniaków dodajemy mąkę, czosnek przeciśnięty przez praskę, jajka, cebulę tartą i podsmażoną, wszystkie przyprawy, natkę pietruszki, oliwę i odzyskaną skrobię, słodką śmietankę. Całość mieszamy, wyrabiamy i dobrze doprawiamy. Piekarnik nagrzewamy do 180 st. C, foremkę smarujemy masłem, obsypujemy bułką tartą, przekładamy masę i wstawiamy do piekarnika. Pieczemy góra-dół w 180 st. C przez 60–70 min. Na koniec możemy posypać tartym serem. Podajemy na ciepło albo najlepiej następnego dnia podsmażoną z obu stron. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Grunt to aspirować

Hyundai godny Konstancina" – to reklama na dużym billboardzie na drodze wojewódzkiej 724 z Warszawy do Góry Kalwarii. Wzruszające, cóż za awans cywilizacyjny dla Koreańczyka, który niedawno zasługiwał tylko na Grochów i Żerań. A teraz – proszę – może śmiało spojrzeć w twarz teslom, mercedesom i porsche bez obawy, że zepchną go z jezdni jak zawalidrogę.

Wszak Konstancin to brzmi dumnie. Kto nie chciałby tu mieszkać? Znani i bogaci byli tu zawsze. Tylko takich na to było stać: po pierwszej wojnie budowali się tu adwokaci, właściciele fabryk, bankierzy. W dwudziestoleciu doszli aktorzy, literaci, dziennikarze, malarze. Stefan Żeromski, Wacław Gąsiorowski, Józef Wedel. Biedniejsi, żeby wdychać zdrojowe powietrze, wynajmowali pokój w jednym z licznych pensjonatów.

Dzisiaj każdy, kto aspiruje do elity, nie tylko finansowej, musi mieć tu rezydencję. Lista bogatych Polaków ma swoich przedstawicieli we wszystkich branżach: biznes, media, rozrywka.

Ale gmina Konstancin-Jeziorna, która liczy niespełna 23 tys. mieszkańców (starzejąca się struktura demograficzna – młodzi odpływają), to nie tylko najstarsza, strzeżona przez konserwatorów strefa A i jej prominentni lokatorzy. To także bloki Mirkowa i Grapy, to rozciągnięta w przestrzeni zbitka wsi. Konstancin to brzmi dumnie. Borowina, Kawęczynek, Czarnów, Kierszek – mniej.

Można by tu przyjechać na kurację, jak dawniej jechało się do wód. Z wód wprawdzie jest tylko rzeczka Jeziorka, ale za to powietrze sosnowe, a solankowy opar z tężni ma uzdrawiającą moc.

To jedyne chyba miejsce na świecie, gdzie rudery sąsiadują z pałacami. W sąsiedztwie pięknie odnowionej willi La Fleur, która mieści kolekcję dzieł sztuki (przed domem rzeźba Dunikowskiego), biedadomek. Na dużych, leśnych działkach straszą rozpadające się domy. Właściwie nie rudery, lecz wspomnienia po eleganckich willach.

Mit Konstancina nie byłby tak fascynujący, gdyby nie uzupełniały go historie zakulisowe. Sensacje i skandale życia bogaczy przybliżyła Ewelina Ślotała w książce „Żony Konstancina".

„Odczarowuje mit życia ludzi z pierwszych stron gazet i list najbogatszych Polaków. Szczerze i bezlitośnie obnaża mechanizmy członków tej hermetycznej grupy, w której blichtr, gigantyczne pieniądze i pozycja kamuflują codzienność pełną uzależnień, przemocy, zdrad i ludzkich tragedii" – zachęca wydawca.

Jak widać, nie tylko Hyundai jest godny Konstancina. Prawdziwe historie z życia celebrytów stawiają nas na równi z Beverly Hills, choć miastem bliźniaczym Konstancina jest tylko skromniutkie Saint-Germain-en-Laye we Francji. ©℗

eprasa.pl 43498c26b4

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Kogucia polityka

Kiedy się zastanowić, co oznacza pojęcie „polityka", człowiek trafia na kilka definicji, począwszy od starożytnych Greków. Było tego sporo i ewoluowano tu od dobra wspólnego aż po definicje bardziej pragmatyczne, którymi były twierdzenia, że polityka to sztuka uzyskania i utrzymania władzy. Ten ostatni trend wskazywał na nieobecność celu, gdyż nasuwało się od razu pytanie: „OK, zdobycie i utrzymanie władzy, ale po co?". Z braku tej odpowiedzi wyszło, że władzę zdobywa się dla samej władzy, a raczej dla benefitów wynikających z jej posiadania.

Uważam, że w ewolucji pojęcia „polityka" doszliśmy już do krawędzi, poza którą nie ma już nic. W lingwistyce, by odkrywać aktualne znaczenia pojęcia, które ewoluuje, patrzy się, w jakim kontekście, a raczej rozumieniu jest używane. Wystarczy tylko popatrzeć, jak się stosuje i do czego takie pojęcie. Ja codziennie słyszę, że ten i ten zrobił to „z powodów politycznych". Pewnie tak jest wśród polityków, których działanie nacechowane jest polityką. Z tym, że to polityka właśnie w aktualnym znaczeniu tego słowa. Jakich więc sytuacji dotyczy ten frazes „zrobił to z powodów politycznych"?

Najczęściej, a właściwie w przeważającej większości dotyczy to sytuacji, gdy ktoś (najczęściej z obozu przeciwnego) dokona jakiegoś świństwa, by zdyskredytować swych rywali. Oznacza to, że obecnie polityka to przede wszystkim domena działań negatywnych, agresywnego ataku na przeciwnika po to, by go poniżyć w oczach obywateli. Poza tym chodzi wyłącznie o operacyjne stosowanie tak pojętej polityki, która nie służy obywatelom, tylko przyczynia się do wygrania wyścigu w wyborczej konkurencji, jest więc dla obywatela spisem chwytów poniżej pasa. I tylko tym – spełnienie oczekiwań elektoratu jest tu kwestią wtórną, przepustką do władzy z napisem: „A co szkodzi obiecać?".

Skoro te zwaśnione koguty trzymają się za swoje czuby i nic z tego nie wynika, to publiczność powinna być po pierwsze znudzona, a po drugie – zdegustowana, gdyż jest to gra o sumie zerowej: zastygłe koguciki na środku politycznej estrady wymieniają się ciosami dziobków, a widzowie nie mają z tego żadnej – obiecanej – korzyści. Nie żyje im się lepiej, no, chyba że przeniesie się całą sprawę w dziedzinę emocji zatytułowanych „nasz kogucik jest lepszy".

I moim zdaniem polityka wylądowała w takiej jałowej dla społeczeństwa zatoczce. Mamy wątpliwej jakości przedstawienie i coraz bardziej rozemocjonowaną, ale i zdegustowaną widownię. Dziś zapowiada się nawet nie podmianę, ale tylko inne imiona dla tych samych kogucików. Ciekaw jestem, czy widownia to kupi… ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Sekta samobójców

W sondażu Instytutu Badań Pollster przeprowadzonym 11–12 października na pytanie: „Czy teraz, dwa lata po wyborach, nadal zagłosowałbyś na obecnie rządzących?" – 65 proc. pytanych, wyborców KO, Trzeciej Drogi i Lewicy, odpowiedziało TAK!

Socjolog czy psycholog wiedziałby, jak to wytłumaczyć. Dla mnie ten sondaż dowodzi, że w grupie ponad 7 mln 810 tys. obywateli odezwał się gen samounicestwienia. Zbiorowe samobójstwa zdarzały się w dziejach ludzkości. Dramatyczny przejaw desperacji był udziałem obrońców Masady w 73 r. Znany jest przykład z Krety w 1866 r., gdy obrońcy klasztoru Arkadii, wraz z ludnością cywilną, z obawy przed pohańbieniem przez Turków, wybrali śmierć przez wysadzenie się w prochowni. To jednak, że dwie trzecie wyborców KO, TD i NL nadal są skłonne popierać obecną większość sejmową, przypomina raczej tragiczne wydarzenia z 1978 r. w Jonestown, w Gujanie, gdzie 900 członków sekty Świątyni Ludu, założonej przez Jima Jonsa, popełniło samobójstwo.

Dla kogoś, kto tylko ogląda media obsługujące obecny obóz władzy, w dobie platform społecznościowych, nie jest możliwe utrzymanie się wyłącznie w hermetycznej bańce. Trudno mi więc uwierzyć, że można nie wiedzieć, jak dramatyczna jest sytuacja kraju, np. jaki jest stan finansów publicznych naszej wspólnej skarbony. Deficyt budżetowy w 2024 r. wyniósł 211 mld, na ten rok prognozowane jest 289 mld, podobnie na rok 2026. Ponieważ część zadań publicznych finansowana była i jest z pieniędzy pożyczonych poza budżetem, łączny deficyt za te trzy lata przekroczy 1 bln 100 mld zł! Tak monstrualną kwotę trudno sobie wyobrazić. Upraszczając, rząd Tuska zadłużył w tych latach każdego z nas, od noworodka do staruszka, na kwotę ponad 29,7 tys. zł. Te pieniądze kiedyś trzeba będzie oddać, a obsługa takiego długu to kolejny, potworny koszt.

Inna sprawa to demolowanie wymiaru sprawiedliwości przez ministra Żurka. Kolejnym obszarem jest zwijanie i blokada inwestycji rozwojowych.

Najlepiej samobójczy obłęd rządzących ilustruje jednak ich stosunek do największego problemu Polski: zapaści populacyjnej. Tusk już w pierwszych miesiącach odwołał zarząd zajmującego się demografią Instytutu Pokolenia, następnie z minister Leszczyną „otworzył furtki" dla aborcji, a od 2026 r. przeznaczy 500 mln zł rocznie na refundację antykoncepcji. Jednocześnie Koalicja chwali się zawarciem porozumienia w kwestii związków partnerskich. Nie trzeba przypominać, że związek kobiety i mężczyzny oraz ich trwałe małżeństwo jest miejscem, gdzie przychodzi nowe życie, gdzie rodzą się nowi obywatele, a ten kolejny zamach na rodzinę jest zamachem na szanse przetrwania Polski. ©℗

eprasa.pl 43498c26b4

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Nos czekający na gumce

Po dwóch latach rządzenia pobierający pensję premiera Donald Tusk powiedział publicznie, że zrealizował tylko jedną trzecią swoich obietnic wyborczych, ponieważ głosowało na niego 30 proc. ludzi. Stop. Nie, zaraz, chwileczkę, bo może ktoś pomyśli, że ja tu sobie żartuję, otóż nie, on naprawdę to powiedział. Stop. Powiedział to. Stop. Jeśli ktoś nie widział tego kuriozalnego wystąpienia, to spieszę donieść, że Tusk nie miał na swojej twarzy czerwonego nosa na gumce. Jeszcze. Stop.

Jeden z najbardziej znerwicowanych polskich sędziów, Igor Trzęsiłańcuch Tuleya, mówiąc o prezydencie Karolu Nawrockim, chciał, żeby prezydent przeliczył, ile snusów (woreczków z tytoniem) można byłoby kupić za 3 mld zł, które to pieniądze z jakichś powodów rozdano sędziom. Stop. Gdyby ktoś pytał, czemu Tuleya zwany jest Trzęsiłańcuchem, spieszę donieść, że w czasie wygłaszania wyroków zdarza mu się ze zdenerwowania telepać wąską klatką piersiową z taką intensywnością, że zamiast słów słychać paniczne grzechotanie ogniw, ale nie o to chodzi. Stop. Chodzi o to, że w związku z tą wypowiedzią sędzia Dagmara Pawełczyk-Woicka, przewodnicząca Krajowej Rady Sądownictwa, rozpoczęła pewną dyskusję słowem „cham". Stop. Mają państwo coś do dodania?

Profesor Antoni Dudek nie przestaje zaskakiwać. Stop. W czasie kampanii prezydenckiej robił naprawdę wiele, żeby Karol Nawrocki prezydentem nie został, a teraz udzielił wywiadu, w którym poruszył przyszłość Donalda Tuska. Stop. Pozwolą państwo, że zacytuję bliski mi tygodnik „Do Rzeczy": „Profesor Dudek ocenia, że Donald Tusk znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Jego zdaniem za dwa lata premier może być nawet zmuszony do ucieczki z kraju". Stop. Tak tylko bez sensu nadmienię, że zdaje się z Trynidadem i Tobago nie mamy umowy ekstradycyjnej.

Dość już tej banicji, dość. Stop. Młodziutki poseł Adam Gomoła, który w momencie wyboru miał zaledwie 24 lata, wrócił do Trzeciej Drogi, Polski 2050. Stop. Jeśli ktoś nie pamięta, to z tej partii został z hukiem taśm wywalony za podejrzenie popełnienia przestępstwa w sprawie wyborów. Stop. Jak wynikało z taśm, młodzieniaszek miał namawiać kandydata do sejmiku województwa do wpłaty 20 tys. zł na konto prywatnej firmy, co miałoby wpłacającemu w cudowny sposób pomóc w wyborach. Stop. Gomoła zaprzeczał, ale taśma nie zaprzeczała. Stop. Dbająca o najwyższe standardy moralne partia Hołowni i Koboski wyrzuciła go z ugrupowania. Stop. Teraz można było go już jednak przyjąć. Stop. Czemu? Co się zmieniło? Stop. Nic się nie zmieniło. Dziękuję za uwagę. ©℗

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Pretorianie ostrzą miecze

Z beztroską tromtadracją opowiadają nasi politycy o ćwiczeniach obronnych, mających przygotować do służby wojskowej chętnych obywateli. Medialne krotochwile czyniła sobie z przeszkolenia wojskowego nieposkromiona wojowniczka prawicy, żona „małego premiera" rządów PiS, Marianna Schreiber. Nie gorszym żartownisiem okazał się Rafał Trzaskowski, potwierdzający patriotyczny zapał uczestnictwem w weekendowym szkoleniu wojskowym, gdzie pozował w kolejce po tradycyjną grochówkę.

Ostatnio objawiło się więcej chętnych do krótkotrwałego „pójścia w kamasze" polityków. Pretekstem stało się uruchomienie „masowych szkoleń obronnych", przygotowywanych i zapowiadanych buńczucznie od wielu miesięcy. „Jeżeli tylko uda się to pogodzić z obowiązkami zawodowymi, to chętnie będę w nim uczestniczył, nawet kosztem urlopu" – zapowiedział gotowy do wojskowej mitręgi wicemarszałek Sejmu Krzysztof Bosak. W dawnych czasach nauczyciele fechtunku dorabiali na salonach i dworach lekcjami tańca. Zapewne doświadczenia pozyskane w „Tańcu z gwiazdami" pozwoliły marszałkowi założyć, że uda mu się zostać żołnierzem, urywając z urlopu kilka dni. Do zdobywania „podstawowych" wojskowych umiejętności gotów jest poseł Rafał Bochenek: „Jeżeli byłaby taka możliwość, to sam chętnie bym skorzystał [...]. Podstawowa wiedza z zakresu tego, jak zachować się w trakcie potencjalnej wojny, jak posługiwać się bronią czy wreszcie jak atakować wroga, jest niezbędna" – ogłosił rzecznik PiS.

Sowiecki marszałek Konstanty Rokossowski groził generałom sądem za posyłanie rekrutów do walki bez przynajmniej trzymiesięcznego szkolenia. Nie chciał pędzić na rzeź „materiału ludzkiego", który miast „mięsnych szturmów" zasługiwał na lepsze wykorzystanie. Od ostatniej wojny światowej złożoność taktyki wojskowej, sposoby współdziałania różnych rodzajów broni oraz techniczne zaawansowanie sprzętu uczyniły wyszkolenie żołnierzy jeszcze trudniejszym i bardziej czasochłonnym. Czyżby nasi politycy „podkładania min" pod politycznymi rywalami i eliminowania hakami partyjnych kolegów też nauczyli się na wyjazdowych szkoleniach, w kilka weekendów? Dlaczego zakładają, że z „podstawową" wojaczką pójdzie im łatwiej?

„Ich ćwiczenia są bezkrwawymi bitwami, a bitwy krwawymi ćwiczeniami" – pisał o legionistach rzymskich historyk Józef Flawiusz. Jedyną z instytucji starożytnego Rzymu, w których przedstawiciele współczesnej elity politycznej mogliby się zapewne łatwo odnaleźć, jest towarzyszący legionowym obozom „lupanar castrense". ©℗

eprasa.pl 43498c26b4

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Fantastyczna podróż

Hiobowe wieści można przekazywać na różne sposoby. Na przykład Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne w Poznaniu na swojej stronie internetowej zaprezentowało taką wersję: „Już po raz 24. tysiące biegaczek i biegaczy opanuje poznańskie ulice z okazji biegu maratońskiego. W tym roku wytyczono nową trasę, na biegaczy i biegaczki czeka fantastyczna podróż przez najatrakcyjniejsze poznańskie lokalizacje".

W ten sposób poznańskie MPK obwieszczało poznaniakom, że w niedzielę 12 października ścisłe centrum stolicy Wielkopolski zostanie w godz. 8–16 wyłączone z ruchu kołowego i tramwajowego, ponieważ biegające Towarzystwo Przyjaciół Polskiej Ortopedii (ileż to zabiegów na stawach kolanowych szykuje się w przyszłości, nie tylko w poznańskich szpitalach!) akurat będzie w trakcie „fantastycznej podróży" zwanej inaczej Poznańskim Maratonem. Ta „fantastyczna podróż" to eufemizm ukrywający dolegliwą rzeczywistość dla tysięcy zmotoryzowanych poznaniaków nie tylko odciętych od „najatrakcyjniejszych lokalizacji" swojego miasta, lecz także mających poważne trudności z dojechaniem lub wyjechaniem ze swoich domów lub z dotarciem do swojego kościoła parafialnego na niedzielną Mszę Świętą (jako mieszkaniec poznańskiej Ławicy wiem, o czym mówię).

Zwróćmy jednak uwagę, że autor (autorzy?) cytowanego komunikatu poznańskiego MPK zaprezentował krzyczącą nietolerancję, a władze przedsiębiorstwa i nadzorujący jego działalność poznański magistrat nie zauważyli tego poważnego uchybienia; szczególnie kłopotliwego w kontekście tak inkluzywnej „fantastycznej podróży", jaką od 24 lat jest Poznański Maraton. No bo jak można było zapraszać w tę podróż tylko biegaczki i biegaczy, zupełnie pomijając „osoby biegające"?

Takie wykluczające uchybienia są natomiast zupełnie obce władzom Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza.

W czasie niedawnej, uroczystej inauguracji roku akademickiego na UAM Jej Magnificencja Pani Rektor prof. dr hab. Bogumiła Kaniewska witała „studentki, studentów oraz osoby studiujące". Zapowiada to rok tętniący rzetelną wiedzą naukową i pozbawioną jakichkolwiek uprzedzeń i wykluczeń dydaktykę, jak przystało na „uczelnię badawczą", którą jest uniwersytet kierowany przez panią rektor.

W czasie niedawnej, uroczystej inauguracji roku akademickiego na UAM Jej Magnificencja Pani Rektor prof. dr hab. Bogumiła Kaniewska witała „studentki, studentów oraz osoby studiujące"

À propos hiobowych wieści i życia uniwersyteckiego: Uniwersytet Warszawski otworzył niedawno nowy wydział w swoich strukturach. Nowy fakultet nazywa się płciowość i seksualność. Z pewnością ta inicjatywa warszawskiej uczelni, ciesząca się co najmniej moralnym wsparciem ze strony Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, zapowiada szybowanie UW w szanghajskich oraz innych prestiżowych rankingach monitorujących poziom naukowy, a także otwarcie na innowacyjność uczelni wyższych. Chociaż i tutaj nie obyło się bez istotnego przeoczenia. Bo przecież nie sprawdzono, jaki skrót wychodzi z nazwy nowego wydziału uniwersyteckiego. Aż się boję go tu przytaczać.

Inkluzywność inkluzywnością, ale wszystkie uczelnie w Polsce oraz instytuty naukowe żyją o tej porze roku tylko jednym: ewaluacją. To à propos hiobowych wieści zwiastujących różne klęski i nadzwyczajne wydarzenia. Raz na cztery lata instytucje naukowe w Polsce poddawane są ocenie (ewaluacji) przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Od jej wyników uzależnione są prawa do nadania stopni naukowych, a w konsekwencji również posiadanie lub odebranie statusu uczelni akademickiej. To zaś oznacza dostęp lub odcięcie od subwencji budżetowej.

Ocenia się prace naukowe punktowane. Witamy więc w nieznanym bliżej większości czytelników świecie „punktozy" i „grantozy". Świecie, w którym krążą rocznie miliardy złotych. Jak uczelnia dobrze zapłaci, to jej pracownicy opublikują w jakichś czasopismach greckich czy słowackich dzięki firmie pośredniczącej w „kontaktach w świecie naukowym" nic niewnoszące do naukowej debaty artykuły, ale za to wysoko punktowane.

Zwiększają się w ten sposób szanse na zajęcie przez uczelnię najatrakcyjniejszych lokalizacji w drabince ewaluacyjnej. Tyle że ani nauka, ani podatnik żadnych korzyści z tej fantastycznej podróży nie odniosą. Oto maraton absurdów, trwający w nauce polskiej znacznie dłużej niż 24 lata. ©℗

eprasa.pl 43498c26b4

GAZA

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Radek Sikorski pochwalił Trumpa. „Trzeba przyznać, że i treść, i styl negocjacyjny prezydenta Donalda Trumpa odniosły sukces" – powiedział szef MSZ, gdy Hamas oddał zakładników. Przy okazji Sikorski skłamał, mówiąc: „Polska od początku wspierała Trumpa". No nieprawda! Nie wspierała. Wcześniejsze wypowiedzi Radka Sikorskiego nie świadczą o wspieraniu. Filmy, na których Tusk robi za plecami Trumpa głupie żarty, też nie pokazują wsparcia.

Radek Sikorski mógłby wszystko ponaprawiać i byłoby to w interesie Polski, gdyby powiedział coś takiego: Panie prezydencie, przepraszam za moje wcześniejsze wypowiedzi na Pański temat. Myliłem się. Uważałem Pana za bufona i politycznego głupka. Na moje usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że nie ja jeden. Działaliśmy w dużej grupie przywódców europejskich. Byliśmy oburzeni, gdy w trakcie pierwszej kadencji kazał Pan krajom europejskim płacić zaległe składki do NATO, a teraz Panu za to dziękujemy. Za głupka, który nie zna się ani na polityce międzynarodowej, ani na dyplomacji, mieli Pana tacy ludzie jak prezydent Francji Macron, kanclerz Niemiec Merkel oraz premier Kanady Trudeau. Wszyscy się myliliśmy. A teraz trzeba przyznać, że Pański styl negocjacyjny odniósł sukces. Pan miał rację, my nie.

***

Hamas wypuścił ostatnich zakładników – 20 żyjących. Wyglądają jak więźniowie z Auschwitz, szkielety obciągnięte skórą. Tym razem nie da się bronić Hamasu, mówiąc, że to tylko żydowska propaganda. Przekazywanie więźniów transmitowały telewizje z całego świata, w tym polskie. Widzieliśmy na własne oczy, jak ci ludzie wyglądają – żywe trupy.

Hamas miał też zwrócić zwłoki 28 zamordowanych, aby rodziny mogły pochować szczątki swoich bliskich, ale Hamas oddał tylko cztery trumny. Gdzie jest reszta? Mówią, że nie wiedzą. Czemu w takim razie dzień wcześniej podpisali porozumienie, w którym zobowiązali się oddać 28 ciał? Hamas przy stole negocjacyjnym kłamał – wiedzieli, że nie mają tych zwłok, być może zostały zasypane pod gruzami w wyniku żydowskich bombardowań, a być może są w takim stanie, że Hamas woli ich nie pokazywać światu. Tortury zostawiają ślady. Zagłodzenie na śmierć też widać. W tej sytuacji nie należy głupio ufać, że Palestyńczycy dotrzymają reszty zobowiązań. No np. całkowite rozbrojenie… Hamas to organizacja terrorystyczna. Gdyby się rozbroili, to co będą robić potem? Organizacja terrorystyczna bez broni? Nierealne.

***

Po wycofaniu żydowskiego wojska z Gazy Hamas pokazał, kto tam znowu rządzi i jakie to rządy. Oglądałem to w polskiej telewizji. Pokazali, jak Palestyńczycy wykonują egzekucję na własnych ludziach. Egzekucja bez sądu, bez rozprawy, bez obrońców. Wybrali kilku „kolaborantów", powalili ich na kolana, zawiązali im oczy i strzelali z karabinów w tył głowy.

Egzekucje z wyroku sądu – sądu, a nie samosądu – wykonuje się, stawiając skazańców naprzeciwko plutonu egzekucyjnego. Natomiast strzał w tył głowy osoby klęczącej to barbarzyńskie obyczaje islamskich terrorystów. Hamas wysłał sygnał do swoich rodaków. Dookoła miejsca egzekucji stali cywile, oglądali, filmowali. Społeczeństwo palestyńskie wysłało sygnał do świata – nadal akceptują barbarzyństwo Hamasu.

***

Nie należy głupio ufać, że Izrael dotrzyma swoich zobowiązań pokojowych, skoro na dzień dobry zostali ograni – zamiast uzgodnionych 28 trumien dostali tylko cztery, a zamiast ustalonego „całkowitego rozbrojenia Hamasu" widzą film z egzekucją. Ani Hamas, ani Izrael nie będą się trzymać porozumień. Dlatego ktoś musi ich do tego zmusić.

Nadzorowaniem Strefy Gazy mają się zajmować państwa arabskie. To osobisty sukces Trumpa. Państwa arabskie mają na swoim terenie różne organizacje terrorystyczne i wiedzą, jak je trzymać na smyczy. Żaden kraj muzułmański nie chciał przyjmować do siebie palestyńskich uchodźców. Bronili się przed tym, mimo że Ameryka chciała im za przyjmowanie uchodźców płacić. Nie chcieli ich. I zrobią, co się da, aby zamknąć Palestyńczyków w Strefie Gazy – niech siedzą u siebie.

Trump proponował ten interes np. Egiptowi: Przyjmijcie swoich braci Palestyńczyków. Egipt bronił się przed tym mocno, a teraz z Egiptu do Strefy Gazy wracają ogromne rzesze ludzi (podobno 2 mln) i Egipt się cieszy, że się ich może pozbyć. Jordania, Liban oraz bogate kraje nad Zatoką Perską – nikt nie chce u siebie Palestyńczyków.

I Europa też nie powinna ich przyjmować. W roku 1992 na podstawie przepisów specjalnych dostawali prawo pobytu na terenie Unii Europejskiej. Teraz 74 proc. żyje z zasiłków, a 57 proc. figuruje w kartotekach kryminalnych. Kraje arabskie rozumieją, że importowanie na swój teren ludzi zradykalizowanych oznacza zagrożenie dla własnych obywateli. Członek Parlamentu Europejskiego, Anders Vistisen, podał następujące dane: 71 proc. Palestyńczyków popiera masakrę Żydów dokonaną 7 października 2023 r. Terroryzm ma poparcie palestyńskiej większości.

***

Palestyna i Izrael są jak dwa buldogi, które chcą się wzajemnie zagryźć. Pokojowy plan Trumpa polega na tym, że ktoś ma trzymać te buldogi na smyczach. Buldoga palestyńskiego ma poskramiać grupa państw muzułmańskich. Izrael ma być powstrzymywany przez USA.

Radek Sikorski i cała reszta jego kumpli Macronów nadal gadają o rozwiązaniu pokojowym „dwa państwa". Żadne z tych dwóch państw nie godzi się na istnienie tego drugiego, więc nie da się wprowadzić tego rozwiązania. Palestyna nie godzi się na istnienie Izraela na ziemi palestyńskiej. Izrael nie godzi się na istnienie państwa palestyńskiego na ziemi, która od wieków nosi nazwę JUDEA. Obie strony mówią o tej samej ziemi. Nie jest wykonalne, aby dwa niezależne od siebie państwa istniały na tym samym obszarze. Śląsk musi być albo polski, albo niemiecki, a nie polsko-niemiecki. Niemcy zostali zmuszeni do oddania Polsce Śląska. Nikt nie proponował rozwiązania „dwa państwa na jednym terenie", bo jest niewykonalne. ©℗

eprasa.pl 43498c26b4

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

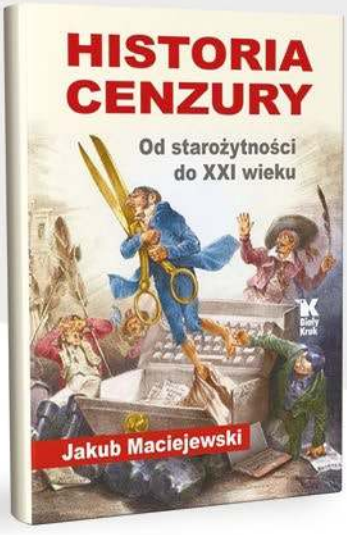

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JAKUB MACIEJEWSKI: „HISTORIA CENZURY. OD STAROŻYTNOŚCI DO XXI WIEKU"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1564~~ ZŁ

497,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 1067 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 43498c26b4

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

ROCZNA SUBSKRYPCJA DoRzeczy+ GRATIS

Zainwestuj w akcje Do Rzeczy S.A

Twoje media. Wspólna sprawa.

Paweł Lisicki
REDAKTOR NACZELNY TYGODNIKA „DO RZECZY"

Rafał A. Ziemkiewicz
PISARZ I PUBLICYSTA TYGODNIKA „DO RZECZY"

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom Maklerski INC S.A.

eprasa.pl 43498c26b4